

W 7 roku życia rozpoczął naukę w klasztornej ^{pierwszy} ~~parochialnej~~ szkółce.
Cóż to była za nauka! Nauczycielka na stałą stała; uczyła nas, ale
więcej czasu poświęcała się z jej małymi dziećmi lub pomagając w pracy
domowej właścicielki. To roku, takiej nauki znalazłem tylko nazwy liter
alfabetu oraz pieśni: ^{"Bogu, czci i miłości"} "Łoże, chwała, cnota". Patrząc na portrety rodziny
carskiej, powtarzałyśmy aż do ośpienia imiona i tytuły całej rodziny
cesarskiej. Do roku oddano nas do wyższej szkoły parafialnej. Był to
spółojciec dalekoczymy, ^(ale nie było się i w tej szkole) To raz pierwszy
spotkałem się z grona chłopaków, którzy ciągnęli dobrze wyćwione
"panienki" na włosy, poszturchiwali, a nauczycielka rozprawiała się z naszą
grubą linią, dawała "łapy", karała godzinami klęczeć w kącie. Byliśmy
poł oświecą carskiej Rosji. Obowiązkowa nauka języka rosyjskiego w
szkole, język rosyjski w urzędach. Ale nasza nauczycielka potajemnie
uczyła nas geografii i historii polskiej. Podczas wizyty inspektora,
chowaliśmy część książek na piec lub za szafą, a kto z dzieci nie znał
dobrze tytułów cesarskiej rodziny - pozostawał w domu.
Ojciec mój ^{z dachy} drobnym kupiec. Leniwy, woli pograć w karty, bawić się w towa-
roystwie. Wesół, dowcipny, lubiany wśród swego kręgu znajomych. Stale
za te ~~prawy~~ zapraszany na wszelkie czeliny, śluby i temu podobne
uroczystości. Matka jego przeciwieństwo. Cicha, wyćwiona w cisłej
tradycji religijnej, gdzieś tam - panem domu, a ona kobieta winna mu bezwarunko-
we posłuszeństwo. Tak też chciała wychować i nas - swoje 5 córek.
Najważniejszą dla niej jest opinia "świata", sąsiadów. Prawdziwa dulszyczka
pożądać: "Wypada czy nie wypada?" Ile razy ojciec na zwróconą uwagę, że
nie dla o. rodziny, urządzał awantury, matka prędko biegła zarykać okno,
kłaniać, by ciszej krzyżował. A to, że dzieci wiata i słyszą nie miało
znaczenia. Wychowała o wyścigi i stancie przynależnej rodziny. Codziennie
rano ojciec wychodził do miasta, a matka uniesienie prosiła: ^{Ta} "Zostaw pieniądze
na zakupy." On słyszał się i ruszał jakiegoś pieniądza na tył. Matka pokornie:
"To mało, trzeba na świątę i na zakupy świąteczne". A ojciec: "Trzymaj się
cie mnie." ~~Wtedy~~ Matka ~~nie~~ pokazywała mu rezultat, gdzie strunulatnie

Uspokajam ją. Spróbuj się do mnie zbliżyć. Ja wolę koleżanki z życia
biednych dzieciaków, sierotek, które wychowują mi lzy. Dał mi matki, dał
mi dzieci doroczy, doroczywy do doroczenia, która musiała przyjechać
po chleb do miasta. Trzeba nauczyć ją chociaż czytać. Patrzy z zadowo-
leniem, gdy pracownica, czerwona od prania i szorowania ^{pracy} próbuje wywo-
dzić nieznacone litery. Nauczylam niewiele, bo zmieniały się często.

Trudna była sytuacja, jak tylko nauczyły się trochę gotować i
czyszczyć. Nie podobaly się ojcu, odwiedziły kawalerów, chociaż ośmieszali
flirtować ze znajomymi kobietami. A już najgorzej, gdy wychodziły na
sejmy ^{dywagacje} w ciąży. Nam dzieciom nie pozwolono przyglądać się tym sprawom.

A mnie strasznie było tak być dziewczęt. W ich ^{bezdolnym} życiu, samotnym życiu,
-la każdego, kawalera to nie był "tłumok", a panie Kasia, Gosia, które
prawi się miłe słówka, żeby zdobyć jej przychylność. Nieraz w parku
siada przy niance żołnierzy z kozłami. Nianka mówi do dzieci: "Idźcie się
dalej bawić", a sama szczęśliwa, że ktoś na nią zwrócił uwagę w jej
trudnym życiu. Już za coś ciekawego na niedzielę, już nie tylko kościół
na niedzielę-jako pewna odmiana życia. Jakże często taka miłość kończyła
się samobójstwem, ^{chwilowym} gdy nie można znaleźć pracy z dzieckiem. Jeżeli miała
trochę pieniędzy, to oddawała dziecko "na garnuszek" do stróżki lub
na wieś/ ^{dom} t.z. fabryk aniołów/, a sama szła jako nianka-karmi-
cielne dziecko, dziecko pańskie.

Matka często rodziła się ~~z rodziną~~ z rodziną, ale szczęśliwego życia nie
umie sobie wymedlić. Sama znała obce języki, czytana jak na tante pracy.
Ale miłość doprowadzała do niej tylko niewolnicę nawet z krzywdą
dla własnych dzieci. Baza materialna naszego domu często cieniała się.
Trzeba się zwracać po pomoc do rodziny. Ojciec stornicowo trwał po-
ratki, robił długie. Czasami chował się przed krewnymi, kał mi klamał, gdy
krewny drwali: "Idź i powiedz, że mnie nie ma w domu". Czasami widział
przez okno w cukierni lub restauracji. Stąd prosił: "Nie mów namie," i
wchodził do ręki cukierni. Wciąż je zawsze w kieszeni dla owieczek dla-
kienia: najstarszej i najmłodzej siostry. Mnie nie znosił. Patrzył na
niego często z dozą nienawiści i zazdrości matki.

Rok 1914. Pamiętam ten piękny letni dzień. Wstaliśmy z matką. Na ulicy jakaś niezwykła panika: ludzie gdzieś biegą, kobiety lamentują, wrzaski płaczą przed wywieszonymi ogłoszeniami, jak się pędzi do mobilizacji, takta mobilizacja. Przed sklepami tłumy ludzi, sprzedawcy nie wiedzą co robić. Zatknięte. Padają znane tylko z książek, aflektii historii słowa. Wojsko. Otwieramy drzwi rozpakowane kotki. Wojska Rosji z Niemcami. Nie gotujemy obiadu, tylko kaszę. Skończył na ulicy tyle ciekawego, nowego. Matka nie puszcza. Trzeba siedzieć w domu. Cały porządek życia wywrócony. Ojciec siedzi w domu, my nie odrabiamy lekcji. Przysłuchujemy się rozmowom starszych. Pożnierze rosycacy opuszczają kosztary i już po kilku godzinach od ogłoszenia mobilizacji trupa żołnierskiej niewieścich na rowerach przyjeżdża do Kalisza, który znajdował się blisko granicy. Prezydent miasta bez protestu oddał klucze miasta. Nałożono dużą kontrybucję, wzięto 10 zakładników. Coraz częściej zbierano wyznaczone pieniądze. Miasto jak gdyby zamknięte. Zakładnicy zginęli. Wprowadzono stan wojenny. Wiosna każdemu obywateli musiało palić się światło. Ojciec ze strachu zaczął się w łazience, bezpieczniejszej niż na oświe i zaczął teraz modlić się, zostawiając wszystkie kłopoty ratce. Jak wytywił 5 dzieci? W domu gotowano tylko z kapuszców ziemniaków i kaszy. Matka, codziennie stawiała kaganki wieczorem na ognach. Od czasu do czasu na początku słychać strzały. Później zaczęło się na rozkaz pruskiego majora Preuskera bombardowanie miasta. Zaczęły się potrawy. Podczas strzelaniny schodziliśmy do piwnicy bez ojca i tam na kartoflach i węglu siedzieliśmy, czekając końca strzelaniny. Węgiew zsumwał się i boleśnie ranił skórę. Strzelanie ucicha, wypelnarwy, czarni od węgla. Mało wody, więc ocieramy tylko nalcot węglowy i kładziemy się spać na podłodze. Tęsknimy za chlebem i żołnierskim stercem chrustym z kredensu. Parapetom ojciec poszedł na strzechy by przez dach obejrzeć, co się wokół dzieje. Poszedł na nit. Wracamy wielokrotnie do siebie, że całe miasto w ogniu. Wszyscy mieszkańcy naszego domu postanowili uciekać. Matka chwyciła cenniejsze rzeczy po zakamarkach. Część zakupiła w piwnicy. Wrótko kilka węglek, dała nam transzynę dla ochrony do noszenia. Ktoś przyprowadził z cegielnią dziesiątą.

mała brzošką z koniem. Wpchał się to tam posciel, posadzono najmłodsze
dzieci. I oto podczas ulewnej deszczu ruszyli w drogę, wierząc, że
w taką pogodę Niemcy nie będą strzelać. ~~Reżymem~~ ^{Widok} ~~za miastem~~ ^{widok}
tłumy ludzi. Szosa pociąga do krowiska ludzkiego, jak głąb całe miasto
wyległo. Wiosnąmiany widok: byli starzy i młodzi, kaleki i chorzy.
Kobiety niesły ^{przez} małe dzieci. Oto ~~na~~ ^{na} sparaliżowana kobieta, a
dwie małe dziewczynki ^{były} ciągnęły ją na wózki od węgla. Do naszej brzoški
wyciągały kobiety dzieci, pośladki, chorzy czepli się boków. Niemców nie
widać, ukryli się przed deszczem. Przy drodze w rowach leżały martwe konie,
połamane ² jakieś samochody, ³ ~~ciężkie maszyny~~, rozprute nierżniny, różne
pudełka i tłumaki. ~~Niemcy z Ukraińcami~~ nie mają siły i rzucają po
drodze swoje paczki. Ludzie potracili głowę ze strachu. ~~Sto~~ ^W ~~ktos~~ ^{ktos} niesie
kanarkę z klatką, drugi doniczkę jak skarb najcenniejszy. Szuchał w tym
deszczu płacz kobiet i zgarzonych dzieci, które w tłumie gubią swoich
upiekunów. Włókę się koło matki. Papier z ^{nowe produkty} ~~ciężkie~~ produktów namoczył się
torbki polny, więc wysypał wszystko nasen do fartucha. Zwieszona do
nitki, szeroka zębami. A deszcz pada bez przerwy. Trzy strzyżowaniach
dróg tłum zatrzymuje się. Dokąd idzie? Wilowo idzie do krowiny, który
mieszkają pod Haliczer. Jedni patrzą na drugich. Gdzie znaleźć dach nad
głową? A krowini przegratani spotykają nas ze złości. Panika. Strach przed
Niemcami, sami postanawiają uciekać dalej. Po kilku dniach nadchodzą
wieści z Haliczer: większa część miasta ^{spalona} ~~zniszczona~~. Stare historyczne
miasto, jedno z najstarszych leży w ruinach. Czy miała to być lekcja
potężona naprotek zaliczo kilka Niemców. Strach przed Niemcami warstwą
Jedni idą dalej do miasteczka Uniejowa. W dzieci cieszyli się: nie ma
szkoły, ciężkie zmiany, przesładowki, widać tyle nowych spraw. Ale matka
Teszczuła, ocalała. To na jej głowie spoczywała troska o rodzinę.
I znów wiadomość o następujących Niemcach ^{Panika} ~~wygnali~~ ^{była} nas z cichego miasteczka
do Łodzi. Zatrzymali się do cioci, siostry matki. ~~W~~ ^{Po} paru dniach
ruszamy w stronę Warszawy - myślałem, że tam już chyba Niemcy nie dojdą.
Dworzec zatarasowany ludźmi, dostać się do pociągu wprost wydaje się
niemożliwością. Ojciec zawsze umiał sobie radzić z władzą - gdzieś zdołał

bilety kolejowe. Przy odjeździe się każdego pociągu sala ludzka, ^{stany} rzucają się szturmem. Przy ~~pojeździe~~ ^{przejeździe} ~~krótkim~~ ^{przejeździe} się narażają do pociągu, do jakiegóż kasy w korytarzu. Ile razy jeszcze będziemy uciekać?

A w Warszawie też już podniecenie. Dużo uciekinierów z prowincji.

Trudno znaleźć ^{miel szkodliwi} pomieszczenie z 5 dziećmi. Więc ostatecznie razem z ^{miel szkodliwi} siostrą ukrywamy się, by później cichaczem, po kryjoku przedostać się do pokoju. Spiny wszyscy razem na dwóch zastawionych łóżkach. Ujadamy wspólnie z obiadu dla 7 osób.

Warszawa wywiera na nas oszałamiające wrażenie. Pierwszy raz widzę trawaj, Wisłę i tyle dużych ^{my my} ciekawych sklepów. Tak jasno wieczorem. Niestety, pewnego dnia obudził mnie w nocy straszny ~~hałas~~ ^{hałas}: to wojsko rosyjskie opuszczało miasto. Łoskot przejeżdżających armat, tupot marszującej piechoty napełniał hałasem całą dzielnicę. Dziwiliłam się: "Tak ich dużo, tyle armat, a boją się Niemców?" ~~A Niemcy znów posuwali się na przód~~ Ludność polska nienawidziła żandarmerii i wojska rosyjskiego, ale Niemcy to zapowiadało się jeszcze gorzej. I o tym najlepiej wiedzieli Kaliszanie. Niezależnie chociaż wyczerpana matka ~~proponowała~~ ^{proponowała} niedźmielę, żeby już pozostać na miejscu, ojciec zdobył gdzieś pieniądze w rodzinie i poszedł po bilety na dworzec. Dalej od Niemców, do Rosji, na Białoruś!

I zaczęła się nowa tułaczka. Pamiątkam Smoleńsk, Dzwinsk, Witebsk. Tutaj zatrzymaliśmy się i tutaj matkę spotkał nowy cios. Dotychczas ojciec nie wzywano do wojska, ale widocznie za^{ła}żło brak^{ku} mięsa armatniego, bo i on otrzymał wezwanie do wojska, chociaż miał gorszą kategorię zdrowia. Nie poszły błagania, wzięli^{li} zostawiając kobietę z 5 dziećmi.

Na froncie coraz ^{fe hylki} gorzej. W kraju głód, brak produktów. Błoga warsztaty. Stopniowo matka wyszywała się świeżymi pierścienkami, zegarka. Chciała było trudno, ^{głódno} postanowiła kształcić chociaż swoje starsze dzieci. Poszedł do 4 klasowego gimnazjum w Witebsku. Nie ^{a dostał ob. gimnazjum} znał dobrze język rosyjskiego, ruciwał półki o klasę niżej. W domu mówili tylko po polsku. Mówił się na parę godzin często, nie rozumiejąc treści. ~~Żadne~~ Tylko ambicja podtrzymuje. Nie posiadamy żadnych podręczników szkolnych.

bilety kolejowe. Przy pojawieniu się każdego pociągu fala ludzka, tłumy rzucają się szturmem. Krewni pomogli, dostajemy się nareszcie do pociągu, do jakiegoś kącika w korytarzu. Ile razy jeszcze będziemy uciekać?

A w Warszawie też już podniecenie. Dużo uciekinierów z prowincji. Trudno znaleźć pomieszczenie z 5 dziećmi. Więc ostatecznie razem z siostrą ukrywamy się pod schodami by później cichaczem, po kryjomu przed właścicielem przedostać się do pokoju. Spimy wszyscy razem na dwóch zestawionych łózkach. Zjadamy wspólnie dwa obiady dla 7 osób. Warszawa wywiera na mnie oszałamiające wrażenie. Pierwszy raz widzę tramwaj, Wisłę i tyle dużych, pięknych ściepów. Tak jasno wieczorem. Niestety, pewnego dnia obudził mnie wieczorem straszny hałas: to wojsko rosyjskie opuszczało miasto. Łoskot przejeżdżających armat, tupot maszerującej piechoty napełniał hałasem całą dzielnicę. Dziwiłam się: "Tak ich dużo, tyle armat, a boją się Niemców?" Ludność polska nienawidziła żandarmerii i wojska rosyjskiego, ale Niemcy - to zapowiadało się jeszcze gorzej. I o tym najlepiej wiedzieli kaliszanie. Więc, chociaż wyczerpana, matka proponowała nieśmiało, żeby już pozostać na miejscu, ojciec zdobył gdzieś pieniądze w rodzinie i poszedł na dworzec po bilety. Dalej od Niemców, do Rosji, na Białoruś!

I zaczęła się nowa tułaczka. Pamiętam Smoleńsk, Dzwinsk, Witebsk. Tutaj zatrzymaliśmy się i tutaj matkę spotkał nowy cios. Dótychczas ojciec nie wzywano do wojska, ale widocznie zaczęło brakować mięsa armatniego bo i on otrzymał wezwanie do wojska, chociaż miał gorszą kategorię zdrowia. Nie pomogły błagania, więli go zostawiając kobietę z 5 dziećmi. Na froncie coraz gorzej. W kraju głód, brak produktów. Stoją fabryki, warsztaty. Stopniowo matka wyzbywała się swoich pierścionków, zegarka. Chociaż było trudno, głodno, postanowiła kształcić chociaż swoje starsze dzieci. Poszłam do 4 klasowego progimnazjum w Witebsku a siostra do gimnazjum. Nie znałam dobrze języka rosyjskiego, musiałam pójść o klasę niżej. W domu mówiliśmy tylko po polsku. Uczyłam się na pamięć często

te wzmianki o siostrze. Tylko ambigui polityczne

Po powrocie na szkołę trwała z matką w domu /byłam drugą z kolei, a
najstarsza nie chciała-gimnazjum!/. szczerze, prac, niec chleb, a później
zmęczona biegłam do koleżanki i tam odrabiałam z jej podręczników lekcje.
Czasami udało mi się w szkole przepisać jakiś wiersz na pauzie. Wieszka-
łyśmy w małym pokoiku, za klasą. Trzeba przechodzić przez most na rzece
/Zachodnia Dvina/, gdzie zimą była silny wiatr, a w cienkim płaszczu i
rękawiczkach tylko można marzyć. Szkoła nie zainteresowała się głodnymi
dziećmi. Prawda, był jakiś komitet dła pomocy uciekierom, to udało się
matce otrzymać zwolnienie z opłaty szkolnej. Odżywianie coraz gorzej.
Kłaski na froncie, spekulacja, brak na rynku żywności. Podczas wyrabiania
chleba matka dosypywała do maki drobno posiekaną skórę-bardzo wycień-
chleba. To znów piekła raz na 2 tygodnie: chleb bardzo czerstwy można
cieniej kroić-oszukać żołądek. Dla lepszego zabezpieczenia kłaska o 106
wysoko na szafie. A my dzieci z zazdrością i żalem patrzyłyśmy na rynek,
która tam potrafiła dostać się i jeść nasze bogactwo. Miejscowa ludność
też cierpiała, ale radziła sobie lepiej, miała większe zapasy. A matka
ja sama jedna na obszarze z 5 dziećmi! Najmłodsza często chorowała-nie-
chroniczny bronchit. Coraz trudniej zdobywać żywność, nawet tę liczącą
i ograniczoną żywkę strawy. Koło nas mieszkała zamożna właścicielka
ziemska ^{zestarych} zapasów sypała swoim kurem zboże i okruszek chleba, a
moje młodsze siostry czatowały na te godziny i rywalizowały z kurami.
Gdy matka gdzieś u sąsiadów częstowano kawałkiem chleba, ona chwiała go
i przynosiła dzieciom. Gotowałyśmy jak większość kobiet rosyjskich w
tych czasach-w dużej "pieczce"-piecu chlebowym. Czasami głód pchał mnie
do nieudolności. Po cichu uc'watał/rodzaj wideł/ wyciągałam żelazny
garnek z rzedziutką kaszą-jadałam prędko 2-3 łyżki, ^{zły mi pomysł} dolewałam wody.
Wszystko mi-ale głód zły doradca. Coraz trudniej zdobyć jakiś produkt
^{Pojadłuchim} ^{zły} Po a siostrę na kartofle na wieś. Zabroniono prowadzenia
żywności prywatnym osobom. Jedziary, a tu kontrola. Najadłyśmy się stras-
chu. Poradnik konduktor-ignł mu dzieci. Siostra z workiem weszła do sklepu
cji i jakoś szczerze otęszło się. Często tylko ludzie nie robili, o
oszuścić głód. Coś tam było z kurami, a kurki karofli. 7 typów...

Bupin razem z siostrą wyszli z domu do miasta - do szkoły.
W mieście niedokończona. Częste rewizje. Specjalnie, gdy do miasta przy-
jechała jakaś ważna osoba. Nie ufali ~~specjalnie~~ ^{specjalnie} bieżącym-uciekającym
z Polski. Pamiętam, kiedyś przy przejeździe przez Witebsk carscy Nikołajewi
wsadzili do arszatu zapobiegawczego wszystkich mężczyzn cudzoziemców.
A mężczyzn młodych i zdrowych prawie ^{tu} nie widać. Niemcy podchodzą do
Witebska. Coraz starsze roczniki ^{wypru} płyną na front. Coraz więcej rannych
wraca do miasta. Kapitale pełne. Matka spokojna o ojca. Nie widzi. Trochę
go urzędnikiem ^(podniedziak) gospodarczym na zapleczu wojska. Wrota niezadowolone
wśród mieszkańców. A nie widać końca wojny. ~~(Wszyscy narzekają na prze-
dłużającą się wojnę)~~. Cała energia ludności skierowana na poszukiwanie
żywności. A ilość zawiadomień o śmierci na froncie wciąż rośnie i rośnie.
Rok 1917. Luty tego dnia po wyjściu na ulicę widzę tłumy ożywionych lu-
dzi. Całują się, płaczą jak gdyby z radości, obejmują się, zupełnie sobie
obcy ludzie. Jakiś szlak radości ^{uszyty} obijał gromady. Podchodzę. Słyszę: "Car/andy
wał na rzecz brata. Pewnie niedługo koniec wojny! Jeszcze zima, chłodno
a ludzie dzień cały na ulicy. Nie mamy tego dnia lekcji w szkole. Fry-
wamy z zapalem portret znienawidzonego cara. Specjalnie znienawidzony
przez dzieci polskie, których był smorą od najmłodszych lat.
Już nie trzeba powtarzać i wymieniać wszystkich tytułów rodziny cara.
Czekamy na koniec wojny. Obalono cesarstwo-jest republika. Niestety
przekłeta wojna kontynuuje się. Nawet jak na 13-14 dziewczynkę zbyt
dużo nowych słów i pojęć. Rady delegatów. Rząd Tymczasowy. Lenin. Bojles-
wicy. Kereński. Nowe pieniądze-kerenki. Ludność przyjmuje je nieufnie.
Dorośli po pierwszej radości chłodną zachmurzeni. Wojna nie kończy się,
a sklepikarze z obawy przed kerenkami, pochowali ostatnie produkty.
Spekulacja wzrasta się. Ojciec wpada na chwilę i znów musi wracać do
swego odzisału. Często słychać strzały. Niemcy? Wojna domowa?
Ostatnio, żeby zaoszczędzić ^{pieniędzy} mieszkanie w piwnicy. Kiedyś w nocy podczas
strasznej burzy woda wzięła się do naszej piwnicy. Noc głęboka, nikogo
do pomocy, pioruny ~~ogłuszające~~ wydają się uderzają niedaleko naszej
sufity. Wokół na ścianach i stropie. Bezradna matka ogłoda podczas

Nie, nie dam cię. Moj łól maie oandri. Próbuje ciągnąć się za włosy, awer
pać się. Na chwilę tylko poprawa, bo oto zapadł jednak w półsen. Nagły
hałas mnie podrywa. To ktoś podał fałszywy alarm: "pociąg". Zaczyna się is-
na Sodoma, ludzie zrywają się, pędzą do drzwi, trącając wszystkie po dro-
dze. Nagle gwizd: to tylko samotna lokomotywa przejechała. Ludzie Wracali
do sali. Rozpoczynają się rozpaczliwe krzyki o zajęte już miejsca.
I tak trwa kilka dni. Brudne, osowiałe, często głodne dzieci siedzą na
poikodze. Nareszcie nadjeżdża prawdziwy pociąg. Atak tłumu, krzyk, rwetes,
płacz dzieci. Ojciec wykazuje dużą energię: w biegu wskakuje do wagonu tow-
rowego. Już jedziemy, raczej wleczemy się. Co pewien czas pociąg zatrzymuje
się. Widzę znów nienawistnych Niemców, ale już nie wyglądają tak butnie
jak w 1914 r. - w Łaliszu. Rozdają nam jakiś lepki czarny chleb i marmo-
ladę z buraków i czarną ciecz-kawę. Po pewnym czasie pociąg ^{staje} ~~zatrzymuje~~
się w polu. Każą nam wyjść. Baraki. Kwarantenna. Mamy tutaj pozostać pod
obserwacją, przejść różne szczepienia/tyfus, cholera, ospa/. Ma się rozu-
mieć wojna, głód, brak mydła sprzyjają rozpostrzenianiu różnych epidemii.
a Niemcy chcą się przed chorobami uchronić. Bez tego nie dadzą pozwolenia
na dalszą podróż, do ziemi, gdzie chwilowo jeszcze się czują gospodarza-
mi, chociaż ziemia zaczyna palić się pod ich stopami.
Przypomina mi się "Ojciec zadufionych" Słowackiego. Lato. ^W ~~W~~ barakach
dużo. Trudno wytrzymać na drewnianych narach. W nocy atakują pluckwy.
Codziennie gonią nas Niemcy do kąpielni i na zastrzyki bolesne. Pryłoty,
brak mydła, niebezpieczeństwo zarażenia się właśnie ¹ tutaj wzrasta.
² W barakach spiny na dwórce na deskach pod gołym niebem. Ludzie na pari świeca
gwiazdy, a wokoło pala się orniska, jak w obozie cygańskim. Ludzie gotują
co, któ wziął na drogę. Fewnego dnia, siedzi wokoło orniska. Pora obiadu.
Nagle wiadomość: "Nędzie pociąg, zaraz będą z wyłki wywoływać narwiska."
Zapomnianie jedzenie. Pędzimy w stronę wyłki, gdzie jakiś Niemiec odwrócił
je narwiska szczepiliwych, uznanych ^{tu} za zdrowych. Nareszcie słyszymy nas
narwisko i ironia. Katka złapała zatrzymujący się obiad, poparł ja zobie cały
mu, kurdy złapał je któ ś ś i po chwili pociąg ruszył. Nareszcie jedziemy po polu
ku ziemi. Naszy prawy narwiska. Katka ciężra ciężra o ty.

atmosfery, mojej rodziny. Już nie temat najważniejszej wypieniaczki, zarobku, dobra partii, a bohaterstwo, przyroda, sztuka, poświęcenie dla drugich. To okres czytania poezji, głód wiedzy, marzenia i szukanie celu życiowego. Postanowiłam kontynuować w przyszłości studia i koniecznie pójść na polonistykę. Nie miałam perspektyw ukończenia szkoły w Kaliszu. Rodzicom na tym nie zależało. I tak można wydać zarząd-to główne ich marzenie!

Napisałam do siostry ciotki w Łędzinie z prośbą, by umożliwiła mi ukończenie szkoły. Napisała mi: "Pomyśl sobie, niech u mnie skończy szkołę, wstąpiłam do 6ej klasy żeńskiej szkoły w Łędzinie. Odczuwałam co to jest filantropia nawet w rodzinie. Pojechałam uczyć się, a faktycznie byłam do wszystkiego. Ciotka młoda, wesola prowadziła ożywione życie towarzyskie. Mieszkanie duże, a dla mnie nie znalazło się określonego kąta do nauki. Dwóch synów 15 i 10 letnich rozpierzchniętych, nieokiełzanych, psutych przez dziadków, mieszkających w tym samym domu. Chłopcy nie uznawali żadnego autorytetu. Korespondenci i wychowawcy zmieniali się jak rękawiczki, a w przerwie ja musiałam wypełniać luki. W domu stałe goście, przyjęcia, trzeba pomagać służącej, piec, wycierać kurze. Ciotka ubierała mnie często w swoje ubrania, a nie przytro. Nie była to zła kobieta-prosto nie pamiętała o takich drobiazgach... ja napr. okładki w szkole. Moje poczucie mniejszej wartości tutaj miało swe źródło. Ja nie chciałam się uczyć. Nie czytałam, nie chodziłam do kina i teatru. Ja nie, w tych warunkach, aby lekcję odrabiałam na kolanie, aby zbyć się się bardzo źle. Nikt z grona nauczycielskiego nie zainteresował się, dlaczego uczę się w tym zamożnym domu tak słabo, dlaczego nie biorę udziału w wycieczkach i zabawach szkolnych? Szkoła większa część dziewcząt córki zamożnych obywateli miasta. (Przedy żelaza, jakieś kontakty z kopalniami). Zbliżyłam się do jedynej córki górnika, Janki, która dojeżdżała do szkoły z kopalni, koło Łąkowej Górki. Imponowała mi śmiałością, pozą, szczerym podziwianiem spraw społecznych. Przyciągała mnie do siebie, była dawno wewnętrznie zadowolona. Kiedyś pojechałam w niedzielę do jej domu: Skromne proste, robotnicze mieszkanie. Uderzający kontrast: Z jednej strony u córki i siostry, z drugiej po ciotki i pracy liczenie się z kalendarzem. Zaczynałam po kątach czytać broszurki, poruszające

długość noclegowa, zwałować się z koniecznością walki o lepsze życie
roboników, a dotychczas nie jesteś członkiem Partii, tylko sympatykiem".
To był silny wpływ dr Janusza Korczaka. Kochałam dzieci i bałam się, że
się zamkną dom dziecka. Coraz bliżej było, poszukiwałam dzieci i ich matki.
/Tak przecież było z domem dziecka - dla rodzin więźniów politycznych w
Pole. Tak też było na moim wyjeździe z zakładu w Cieszanowie/. To było sił-
sze. Ale stale pomagałam towarzyszy. Dawałam różne polecenia. Często
przechowywałam nielegalną literaturę. Mój paszport i czyste nawiązki wy-
korzystywałam. To polpisywałam się gdzieś jako przyszły redaktor, to odbie-
rałam paczkę z więzienia i z wzmuszeniem patriarchy jak po zabiciu to-
warzyszy wylaniały się na pułapkach ważne wiadomości więzienne.

Ale nie potrafiłam jak inne koleżanki połączyć przynależność partyjną
z pracą w domu sierot. (Dopiero po latach zrozumiałam ten błąd.)

I właśnie w tej rozterce pod wpływem wiadomości o Związku Radzieckim,
pod wpływem koleżanek/Poemat pedagogiczny - Makarenki!!!/ i filmów/Bezdomni
zaczęłam marzyć o pracy w ZSRR. W tym okresie przyjeżdżano specjalist-
ycznie z nauczycielami. Wobec tego postanowiłam gorąco powiększyć ywa wiedzę teore-
tyczną, zdobyć dyplomy. Teraz byłam tym marzeniem. Nie pragnęłam nigdy
łatwego, wygodnego materialnie życia. Chciałam siebie odnaleźć w sensownej
pracy.

Zdecydowałam się na wyjazd do Belgii, gdzie pedagogika w tym okresie
specjalnie w powiązaniu ze znanym pedagogiem dr C. Decroly - stała na
wysokim poziomie. *7 km zdobyć niemiecki dyplom*

Zaczął się nowy rozdział w moim życiu.

- 12 -

Planowany wyjazd do ZSRR

Pok 1934. Oto mam upragnione dokumenty oraz listy polecające. Spłaca-
wcielę się Inturistem, natężając na 5 dni. Wydało mi się drogo otwarcie, by-
żyć i pracować w ZSRR. Jestem szczęśliwa. Wiorę trasę z Belgii do Moskwy
łatwiej niż z Polski, choć zbyt duża ciekawość policji dla sympatyków ZSRR.
Koledzy z koła studentów Marksistów odprawiają mnie na dworzec z kwie-
tami i drożymi upominkami. Zadręszając: "Szczęśliwa, zobaczysz tyle cieka-
wych i ciekawych rzeczy."

Zatrzymuję się w Halissy, by pożegnać rodzinę, a szczególnie matkę. Już mi
nie próbuje zatrzymać mnie w domu. Przez okno wagonu widzę na pożegnanie
jej twarz, zalaną łzami.

Byłoby dużo dla mnie radości, by smutek mógł długo trwać. Z jakim entuzjaz-
mem powitałam pierwszego radzieckiego konduktora, a brama powitalna:
"Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" wprowadziła w stan podni-
cenia. Już blisko... Oto i Moskwa. Wygodne autobusy Inturista zawożą nas
do hotelu koło rzeki Moskwy. Hotel luksusowo urządzonej na modę Zachodu.
Lokaje w czarnych ubraniach z białopięknymi serwetkami obsługują
gości. Na stołach wyszukané potrawy, kawier, wina. Na specjalnym podwórku
orkiestra. Drażniło, bo w tych latach jeszcze były duże braki w zaopatrze-
niu zwykłej ludności. Na sali bardzo dużo wojskowych. Są tak samo obsłu-
ni jak przyjezdni. A w hoku wejściowym siedzą jacyś mężczyźni cywile.
Obserwują każdą wchodzącą i wychodzącą postać.

Po posiłku zajeżdżają autobusy, by zebrać naszą grupę na zwiedzanie mia-
stapodług ustalonego programu na całe 5 dni. Musi poznać Moskwę i jej
mieszkańców. Ale wyrzykać się kierownikowi wycieczki. Trzeba zrealizować
swoją plan. Idę do prof. S., kierownika pracowni psychotechnicznej przy
uniwersytecie, który listownie zgodził się na zaangażowanie mnie do pracy
i radził osobiście zgłosić się do niego, chociażby przyjeżdżając z wyciecz-
ką Inturista. Praxia, na ostatni mój list nie dostałam odpowiedzi, ale
mogła być jakoś niedokładność poczty. Teraz więc idę z listem od profes-
ra z Brukseli. ~~Widzę~~ Przechodzę pod wskazany adres, zatracam się do końca
z zapiskami i, gdzie mogę, zwiadam prof. S. Tem z wielką konsternacją

sprosił ją *moje* młotem: "Nie wiem, gdzie profesor". Właśnie idę do
pracowni psychotechnicznej. Tytam asystenta/?: "Jak można porozumieć się
z kierownikiem pracowni, prof. S.² Ten ci ²zawsze ¹również odpowiada: "Profe-
sor nieobecny". A na moje pytanie, kiedy będzie może pozwoli mi na *niego*
poczekać" - odpowiada: "Profesor wyjechał", - następnie, widząc moją rozpacz
i chcąc prawdopodobnie wyrzucić z siebie odpowiedzialność - radzi *zadzwoń*
do żony profesora. ^{"Moja ci pomoże"} Daje mi numer telefonu - Dzwonię. Odpowiada mi *żona*

Smutek *Przepraszam*, przedstawiam się kim jestem, tłumacząc dlaczego dzwonię i
proszę o skontaktowanie mnie z mężem. Słyszę: "Wyjechał". Płagam w odpo-
wiedzi jeszcze raz: "Proszę dać mi adres męża. Pojadę do niego lub za *depesz*
ję. Przeciwnie na jego propozycję przyjechałam". Głos: "Rozumiesz wazne trud-
położenie, ale więcej informacji udzielić nie mogę". Cisza. Rozmowa skoń-
czona. Co robić? Spróbuję inaczej. Mam jeszcze list profesora *G.* do swego
przyjaciela Karola Radka, ~~który~~ *G.* gorąco polecał mi, pisał o ~~nie~~ *nie* b. serdecz-
nie i prosił o pomoc w znalezieniu pracy w ZSR. Wszystko cię *portar*

się jeszcze raz. Na mój telefon nie ma odpowiedzi. W biurze *adresowa* *pytam*
może zmienić mieszkanie. Odpowiedź: "nie znamy". Na moje powtórne pytanie:

uwaga: "Proszę nam nie przeszkadzać w pracy". Co za pech! Jeszcze próbuję.

Idę do redakcji "Izwestij", gdzie pracował Karol Radek. Słyszę: "Nie ma go"
Opowiadam, że muszę go znaleźć, bo może on pomóc mi porozumieć się z pro-
f. S. Wtedy ktoś dowcipnie: "Pytacie o taką znaną rzecz. Jak kogoś nie ma w domu
to może jest na Łubiance. Podaje mi nie pamiętam numer domu. Dotychczas
nie wiem czy prosto uprzedzono Radka, że nie wolno mi przyjaść, bo *gręda*
o Karolu Radku mówi, że został aresztowany w 1936/37, a mój pierwszy
wyjazd odbył się w 1934/.

pytanie Dzisiaj po latach dźwiga się moją naiwności. Biorę tramwaj w stronę
Łubianki. Zgadza się. Jest. Ale co to? Duży czerwony *grzech*, otoczony *murami*
Nie widać zwykłych mieszkań ludzkich. Przed bramą wjazdową stoi żołnierz
z bronią w rąku. Krąży wokół domu. Wydzia się, że znów ktoś chodzi za
mną, jakiś nieczysty towarzyszy mi ^{mu} ścieżki cały. Poślednio do żołnierza: "Co
to za ministerstwo?". A on: "Przechodzi, tutaj nie wolno zatrzymywać się".

Buntuję się wewnętrznie. Tyle wysiłku. Ostatnie 4 głodowe lata:—

Czy może zwrócić? Zostane tylko w sferze zarobkowej? Muszę zdobyć profesora.

W) Kisa Inżyniera tylko na 5 dni! Znowu podchodzi: "Muszę wejść. Jestem przyjezdna. A on znów: "Wejść nie wolno". Ktoś z ciekawością zatrzymuje się po przeciwnej stronie ulicy. Kja wobec ostrzeżeniu strażnika, wyczerpana nerwowo, odchodzi na drugą stronę. Przeciwdział ~~nie~~ i szepta: "Czy nie wiecie, to przecież więzienie Kubińska." Cierpi się o ścianę, żeby nie urwać. W głowie chaos. Wraca do hotelu. Władę się. Coś trzeba zrobić. Coś jeszcze wewnętrznie protestuje. Cały plan mają diabli wziąć? Nie. Sama poszukam pracy. Mam przecież dyplomy, świadectwa. Człowiek rył: "Co się stało z profesorem, dlaczego posadzili? Nie mam kogo zapytać się."

Na drugi dzień, nie namyślając się długo, idę prosto do Narkompros.

Czytałam w Polsce, że tutaj pracuje Nadejda Konstantinowna Krupskaja, żona Lenina. Ona zrozumie i napewno pomoże. Po wielu perypetiach w dużej smutku Narkompros dostaję się do sekretarki Krupskiej. Przedstawiam się i proszę o spotkanie z Nadejdą Konstantinowną. Sekretarka ubolewa: "Zła da. Towarzyszka Krupskaja jest w domu-chora. Podaje mi domowy telefon. "Proszę zadzwonić później. Teraz pewnie odpoczywa."

Poznaję sekretarkę. Pytam się, czy jest możliwość dostania pracy w ich dziale opieki nad dziećmi. Opowiem o sobie, pokazując ~~nie~~ papiery na potwierdzenie moich słów. "Owszem"—odpowiada—"pracy u nas dużo Narkompros ceni takich fachowców i poszukuje." Nagle pada pytanie: "Czy macie prawo zamieszkiwania w ZSRR?" Na moje przeczące potrząśnięcie głową—^{ukreśliła} oświadcza chłodno moje papiery: "Najpierw musicie zdobyć prawo pobytu, a dopiero później możecie dostać pracę. Starajcie się." Znowu ślisko.

Nie mam ochoty wyjść z tego pokoju: tutaj pracuje żona Lenina, jako przyjaciół. Tutaj w tym domu powstało tyle mądrych dekretów w sprawie

wychowani dzieci i młodzieży. Obscarnuje interesantów. To proste, skromne kobiety

Jedną proszę o klasek dla niepełnoletniego, który jako tytuł dokumentu trzyma na

kolanach, inne o dom sieroty dla wnuczki, to o rentę lub rewiąż ^{jakieś} ~~jakieś~~

rodzaj postanowienia. Zbiedzane i zatroskane kobiety wierzą w pomoc, która

moją tutaj przyjąć ci żony Lenina. Przyjmuje ~~bardzo~~ żniwie z katedra prac
ca jej sprawę. Sekretarka przyjmuje wszystkie podania i jednocześnie roz-
dzi jak mają w poszczególnych sprawach postępować.

Schodzę o piętro niżej - do działu szkolnego. Urzędnicy ciekawie przyglą-
dają się, chyba po klasach/poznają, że cudzoziemka. Wychodzę do różnych dzia-
łów/szkolnictwo podstawowe, średnie, przedszkolne/. Rozmawiam z naczelnika-
mi tych działów. Wszędzie powtarza się to samo, wszędzie tur nie do prze-
biecia: brak prawa zamieszkiwania na terenie ZSRR - nie możemy zaangażować.
Wychodzę z funkcji z Markompros. Dawonę do mieszkania Krupskiej. Chocia
ją zobaczyć! Młody żeński głos mówi: "Towarzyszka Krupska bardzo zapraszam,
i chętnie". Wychodzę o prawo pomówienia chociażby telefonicznie. Zgadza się, a
zauważa, że rozmowa ma być nie denerwująca i krótka: "Oszczędzamy Nadia-
dę Konstantinownę, to przecież piękny człowiek i żona Lenina.". P. o. chwila
słyszę w tubce słaby głos kobiety. Witam i mówię: "Nauczycielstwo podległe
we Polski i Belgii ja² pozdrawia i życzy szybkiego powrotu do zdrowia.
Tow. Krupska: "Serdecznie dziękuję i proszę z mojej strony przekazać
waszym towarzyszom życzenia pomyślności w ich pięknej pracy pedagogicznej,
którą uważnie śledzę w prasie. Przepraszam, że was nie przyjmuję. Widowiska
nie dają mi. Ale z wszystkimi sprawami możecie zwrócić się do mojej sekre-
tarki w Markomprosie. Ona ułatwi wam zwiedzanie instytucji, które was
specjalnie interesują. Pozdrawiam raz jeszcze i przepraszam." Cisza. Koniec
rozmowy. Czy mogłam mówić choremu człowiekowi o swoich troskach?
Drugi dzień mych starań kończy się fiaskiem. A wokół toczy się barwne
życie tak inne niż u nas. Mimo tego wielkiego zniewolenia ciekawe
obrazy przeobrażają się przed moimi oczyma. Suchy otwarty na ulicy. Żurawie
iś, a głośno pędzą, płyną. Ulica Gorkiego - obrzydliwa fala ludzka, Plac
płk. Żerzyńskiego z rozpostartymi ogromnymi gmachami, Czerwony Plac, Kremle-
z mauzoleum Lenina. Jest na co patrzeć i co podziwiać. Wychodzę do sklepu
z pieczywem. Staję w długiej kolejce po cięte. Ciężny, żywni jeszcze cięte
cięż. Wchodzić czeka cię na taśmę, gdzie leży kilka skromnych ciastek.
Pędnię do stołówki. To nie Interist. Duża kolejka po ulubione
czosnek/zupa z kiszanej kapusty/Troska jogurt, drożdżowe ciasto. Zapiekanki

51
Budzie prosto i skromnie ubrani. Kobiety w ciusteczkach lub beretach
męczący w furaczkach. o rok 1934. Jeszcze uliery szutne i szare, ale
przy klockach tury no razeły. Trzmaje prowadzone przez kobiety. Wądzio
noc plakatów. Oddział radosnej młodzieży ¹skłóci ²wądzio.

Temperona-wracam do Inturista. Mój "cioci" chyba za mną. Też odroczenie!
Lotac, mójde uocredkować myśli. Wyciągam wszystkie papiery i notatki.
Czy pozostała mi jeszcze jakaś nowa droga do dalszych starć? Nagle
przypominam sobie, że mam gdzieś adres F. Chociaż jedna przyjaźna, znana
osoba w Moskwie! F. studiowała na uniwersytecie w Brukseli. Ojciec Belg
matka Rosjanka. Spotykaliśmy się z nią w związku studentów marksistów. Za-
przyjaźniliśmy się. Rozumiała dlaczego chcę pracować w ZSRR, bo i ona
po skończonym studiach wyjechała do Moskwy. Ona urodzona w Moskwie miała
prawo po dojściu do pełnoletniości optować za obywatelstwem radzieckim.
Wyjeżdżając, dała mi adres brata. Teraz pójde w rade,

Zasnęłam uspokojona, a nabrałam ochoty do nowych prób.

Następnego dnia gdzieś w bocznej uliczce odnalazłam mieszkanie brata F.
Jej brat, nauczyciel obarczony liczną rodziną jeszcze studiując, robi wra-
żenie bardzo zmęczonego i przygnębionego. Bardzo trudno o mieszkanie, więc
koleżanka musi przebywać w tej nerwowej atmosferze. Ucieszyła się moim
przybyciem, ale gdy usłyszała o moich perypetiach w Moskwie, namurzyła
się: "Natychmiast zniszcz listy polecające. Możliwe, że ci twoi znajomi są
uwięzieni jak ostatnio dość znaczna ilość osób. Poszukajmy innej drogi
Napisać podanie z prośbą o prawo tymczasowego zamieszkania na terenie ZSRR
Znam ciebie jako porządnego pracownika, marksistę i spróbuje poroczyć
się w twojej sprawie z ludźmi." Napisałam na miejscu podanie i zakoczy-
łam życiorys. Napraszała mnie do siebie, ale widziałam, że brat odcinał
z ulgą, gdy po wypiciu herbaty-odeszłam. A na drugi dzień koleżanka
powiedziała mi szczerze, że brat jej radził, by nie zaprowała się moją
sprawą. To może zaszkodzić całej rodzinie. Ona jednak zdecydowała się
zaprowała mnie do urzędu paszportowego. Niestety, po pewnym czasie
zaćcili mi wszystkie papiery z notatką "odroczone". Okazuje się, że brat
najpóźniej dostał zezwolenie do pracy. Błędne koło! Tracę decydując,

jeżeli jest ci zadowolona i okrotnie: ⁴zadowolony, jeżeli pracujesz,
Moja znajoma doprowadzała się". Potrzebni ludzie do pracy. I tutaj człowiek
który marzy o takiej pracy. ^{Radu}"Staraj się o przedłużenie twojej winy. Potrze-
ba więcej czasu", Przedłużył za ostatnie pieniądze wizę turystyczną
na 3 dni. Na drugi dzień znowu poszedł do urzędu paszportowego przy
jakimś ministerstwie. Kierowniczka b. sympatyczna kobieta przeprowadziła
ze mną dłuższą rozmowę. Za rękę moje podanie i pośmiałe słowa: "trze-
bam pomocy. Będzie dobrze". Na drugi dzień otrzymałem papiery z adresem
czerwonym atramentem" załatwić w trybie przyspieszonym". Zczęśliwa
oddaje róż paszport zagraniczny i wypełniam ankietę o tymczasowy radia-
ki dowód na 3 miesiące. Odbywamy radosną naradę, ^{Lepiej} Festali, to poja-
dę dalej na prowincję, gdzie ludzie bardziej potrzebni. Przecież mam
siostrę w Magnitogorsku, wyjechała już dawno z Polski, kiedy byłem w Belgii.
Groziła jej sprawa? Zwracam się powtórnie do Markowarcu. Teraz, gdy pro-
szę o pracę w Zakładzie Marnitogorska, od razu dostaję skierowanie do
szkoły średniej w charakterze psychologa/wtedy jeszcze pedagogie nie
była potępiona w ZSRR/. Koleżanka opłaca mój bilet kolejowy, Boję się
czekać, by jakaś nieprzewidziana przeszkoda nie odebrała mi to prawo.
pracy.

odkija się ci dłoń.

W wagonie na narad. aż do samej góry rozłożona pościel-ko na ją dosta-
ła kilka rubli u konduktora w zapłorbowanym worku. Tak samo u konduktora
rota dostać ^{zmea wdy} "kibisio". Prawie większość rodzin ma czajniki. Swobodna atmo-
sfera w pociągu. Kilka dni wędłnej podróży łączy ludzi. ^{zawieszki ludne} Siedzą na
kantonie. Jakież młode dziewczynki wypiekuja ciastuszki. Ludzie leżą
rozmawiają, część starszych ~~pi. ciast~~ W łacie grają w domino. Atmosfera
domowa. Perdecznie czepstują mnie pierocami. Wyculi ci yba, że cud-cwier-
Nie cieszę mnie, to ci ciałabyt- jak naiprędzej upodobnić się do miejscowej
obywatela. Przecież nar wyci owywać radzieckie dzieci. "Powiedzcie jak tam
tyją w Polsce?". Słuchają ciekawie, gdy opowiadam o bezrobociu, o dzieciach,
dla których brak miejsc w szkołach. "A czego wy jak wy nie wypędzicie
obszarników i kapitalistów?" Lubią opowiadać o sobie, o potężne ZST,
o wojsku, o socjalistycznym budownictwie. Wszystko jest "naj". Ciekawe, że
nie czują prostoty swego bytowania. Pociąg pędzi, Godziny szybko mijają.
Na jakiejś stacji nadają decesję do siostry w Magnitogorsku. Sakoła nie-
czasu, straconego na sen. Nadejodzi wieczór. Nagle wydaje mi się, jak gdyby
głazieć wybuch 2 duży pożar. Niebo czerwone. W jednym miejscu jak gdyby pło-
mienie tryskają do góry. Jesteśmy w obwodzie Czelabinskim. To pracuje góra
Magnitka, na stokach Uralu. Tywalczy uśmiechają się z mojego zdumienia.
Dojeżdżamy do Magnitogorska. Na stacji wita mnie radośnie siostra z mężem.
Poznali się gdzieś na dalekim zesłaniu, założyli rodzinę, mieszkają razem.
Siostrą w ciąży, ale ożywiona, radosna. Cieszy się z mojego przyjazdu. Lubi
mnie. To ja wyciągnęłam ją z mieszczańskiej atmosfery naszego domu w
Kaliszu. Umieściłam ją na dwuletnich kursach dla przedszkolank w Warsza-
wie. Ponosiłam wszelkie koszty materialne, patronowałam jej nauczę i pom-
gałam w urzeczliwieniu. Teraz role zmieniły się: to ona pomoże mi urzecz-
dzić się w Magnitogorsku. Jest tu rolniczką pałacem dziecka, który dopiero
buduje się. Patrzę z podziwem jak pędzi odważnie po rusztowaniach, o czym
dyktuje z majorem budowy, odbywa konferencje z inżynierem w sprawie
dodatkowego obiektu w kuchni, wędle omawia szczegóły przyszłego pałacu
dziecka jako jego użytkownik-kierownik i padacz. Jej mąż też odjeżdża.

prace wykwalifikowanych, zdobywców potrzebnych w Magnitogorsku: zawód elektryka-montażysty, ~~inżyniera~~ inżyniera. Zmniejsza duże ilości kursów. Szerokie możliwości do zdobycia różnej kwalifikacji, potrzebnych na miejscu. Młodzi starszy i młodsi. Zdobywają dyplomy i kwalifikacje. Mąż siostry też uczęszcza na wieczorowy uniwersytet robotniczy. Warunki bytowe jeszcze bardzo trudne. Mieszkanie siostry to zaleśki pokój w drewnianym baraku. Liną dwunożną wiszą z rurami. Łóżko, polowa łóżeczka, stołek, w kącie nędzna umywalka. Rzeczy wiszą na ścianie ^{na gwidach} w wszystkie. Śpią na polowym łożku. Duszne, gorące i o rozpacz-pluckowy! Wstają, zapalają światło uciekając, żeby po chwili znów mnie zaatakować. Na drugi dzień biorą się za porządki. Ukroją, rzyją, parzą wrzącą gorącą wodą, część wrogów pokonają. Siostra pociesza mnie: "Zobaczysz, niedługo będzie lepiej. Tutaj przecież było pustkowicie. Na początku mieszkali w lepiantach, teraz już są baraki, a później będą piękne domy." I prowadzi mnie na brzeg rzeki Ural, gdzie zaczęto budować nowy piękny Socgorod. Obok z nocą pełni zapachu. Pokazują z dużą tramwaj, który ma ruszyć 1 maja i połączyć hutę z osiedlem. Podziwiają ludzi. Cały tydzień pracują, a w dzień wolny ~~on~~ pracują społecznie: układają szyny na trasie przyszłego tramwaju, porządkują plac zabaw dla przedszkola, próbują założyć park. Walczą uroczyście z wiatrem, niecierzącym ich wysiłki, z trudną przyrodą ^{z wiatrem i} na pustkowiu. Tędrzki brzości trudno przyjmują się, więc uroczyście sadzi się ^u po raz drugi i trzeci. Dzień cały pracuje wielki kombinat górniczy. Ruda stale posuwa się na wózkach do pieca. Dzień cały podwożą węgiel z Tagłobia Kuznieckiego, Karagandy. ^{winę} Wszędzie wykresy, tablice wydajności pracy, wykaz najlepszych robotników. Cała energia dla huty, a sprawy bytowe na dalszym planie. Ludzie jeszcze nie ubrani, ~~dotarcie do stółców nie prowadzi~~ trudności z dostawą, dojazd do ^{składowi} nie przeprowadzony - więc brnie się w błocie. ~~Me~~ ^W Kuznieckie mówią: "Najpierw podniesiemy pracę huty, zwiększymy wydajność - później będzie za wieś". Ale w Magnitogorsku dużo elementu napływowego. Kuzuni, Polacy i inni. Po większej części młodzi. Wśród pewnej części z nich nastrój niezadowolenia. Oni znają GOSZ tylko z opowiadań. Myśleli, że to odrazu kraj wózków i wózków napływów.

A tutaj ¹ trzeba pracować, trzeba kulować sobie i drugie życie. Trzeba ² trochę ograniczać się, by zbudować mocne podstawy kraju, wiało z nich ³ dzięki rzemieślnicza/krawcy, szewcy/ lub handlowa. A tutaj potrzebni robotnicy z młotem, kilofem i łopatą. Potrzebny wykwalifikowany personel techniczny. Słabci załamywali się, marali, nie ośmielili czekać na lepsze jutro, chociaż życie stopniowo ulegało zmianie. Wzruszona byłam przedszkolem. Otóż ⁴ pośród baraków ⁵ starych stał jasny domek przedszkola. Wszkłam. Czysto, pełno kwiatów. Dzieci dobrze i czysto wyglądają. Dostają mleko, nawet słodczyce. Wogóle wszystko co najlepsze dzieciom, a później najlepszym robotnikom. /przy-
działy specjalne kiełbasy, obuwia i t.p./

Po trzech dniach wypoczynku, poszłam do dyrektora szkoły, przedstawiając mu skierowanie z Markowprosu. Przyjął mnie łyczliwie i powiedział: "Chcę władze w Łoskowie, żeby tutaj w szkole powstał gabinet pedagogiczny. Ja się na tym nie znam. Dam wam duży pokój. Urządzajcie się. Chętnie wam pomogę." Jestem pracownikiem pedagogicznym w radzieckiej szkole!

Już nie tałęć od różnych pań filantropiek. Już nie martwię się, że dzieci będą bezrobotne po skończeniu szkoły. Nie będzie szowinistycznych waśni.

(Po przez wielkie trudności dowieżłam do celu) Dzisiaj moje święto!

Trzeba teraz dobrze pracować z dziećmi rodziców, budujących socjalizm.

Stopniowo zapekniałam mój pustki pokój. Już s'olił, krawka, kilka obrazów. Odzież od inżyniera, zdobyłam chronometr, w przedszkolu wagę. Powoli poczu-
wałam się narodzić. Nauczycielka szkoły przyjęła mnie nieufnie:

"Właściwie nie wiadomo, co ona będzie robiła. Za co weźmie pieniądze?"

Starałam się ten mur nieufności obalić. Przedstawiłam plan mojej pracy.

Chodziłam na lekcje do klas, obserwowałam dzieci. Omawiałam z wychowawcami wypadki dzieci trudnych. A tych ⁶ dużo. Przyczyny: rodzice element napływający, ⁷ dużo cudzoziemców. Dzieci w ten sposób były opóźnione. ⁸ Ciężko

ków-12, 13 latki. Przyczyny opóźnień w nauce często z przyczyn społecznych.

Rozpocząłam wywiady domowe, starając się pozyskać nie tylko dzieci ale i rodziców. Zaklinatyzowałam się stopniowo, robiłam plany pogłębiania pra-

Nie wracałam się trudnościami. Praca pasjonująca, i życie ciekawe wokoło

I oto nagle - proz z jasnego nieba: Tętnego dnia wytrąca mnie do dyrektora

Wchodzę i widzę 2 tancerzy. Nie witają się, odchodzą do mnie, wstają i
mi paszport zagraniczny, dając ^{zwrot} mi jego dowodu, który otrzy-
małam w Moskwie. S. P. uśmiecha się strasznie słowa: "W przeciągu 24 godz
opuścicie ZSRR i to nie przez Moskwę, tylko drogą okrężną. Macie więc
tylko na drogę". Dyrektor szkoły doradza: "Bardzo mi przykro, ale zwalniam
was z pracy w szkole. Byłem z was zadowolony. Ale rozkaz - muszę się podpo-
rządkować". Na moje pytanie co się stało, czy naruszyłam jakiś przepis
czy popełniłam jakiś błąd, czy ostryżem, czy otrzytałam cukrę, lakonicznie odpo-
wiedź: "My tutaj na miejscu nie wiemy. Przechodź rozkaz z Moskwy".

Generowana proszę o zwłokę, chcę zadepeszcować do koleżanki F. w Moskwie
z zapytaniem, co się stało, wyjaśnić, czyżby. Urzędnicy radzą ^{nie} spieszyć się
i natychmiast szykować do wyjazdu. Nerwy nie wytrzymują. Wybucham ^{gorączkowo}
żłami. Dyrektor ^{podaje} mi kisielnik z zimną wodą. Siemana wlokę się do sio-
stry. Radza mi nie poddawać się, a działać. Przede wszystkim wysłać tele-
gram do koleżanki w Moskwie. /Do dzisiejszego dnia martwię się, czy
przeze mnie nie dostała się też do obozu/. Prosiłam o wyjaśnienie sprawy
w biurze paszportowym. Siostra moja umawia się z ogrodnikiem o kąt dla
mnie, dokąd wieczorem w inny płaszczy, bez okularów przebradam się jak
złoczyńca do małego ogrodu. Tam przeżyłam 3 dni. Moskwa milczy. Pradepes-
dowałem pocztą. Była nielegalnie-wiza skłoniła się.
Decyduję się na krok szalony: postanawiam mimo zakazu jechać do Moskwy.
Znajomy siostry, młody człowiek poszedł ze mną okólną drogą na dworzec.
Grał rolę paru zakochanych narzeczonych... ^{Namówi} ział mnie serdecznie pod-
rwać, kupił bilet I klasy, wręczył mi walizy i pocałował do puszczenia wro-
nu/przedziału/. Pociąg ruszył. Doznaję wielkiego uczucia ulgi i radości!
Niestety, na krótko. Po 3 minutach jazdy otwierają się drzwi, ukazuje się
konduktor i jakiś cywil: "Proszę o bilet i dowód osobisty." Podaję bilet
odwlekam straszną o wilę i fiiby sarkam paszportu. Cywil: "Proszę tutaj nie
grać komedii i pójść za mną". Jak we mnie wychodzę na korytarz. Pociąg
pędzi w kierunku Moskwy. Pracownik WPD podaje mi rączkę bagaża.
Pociąg zatrzymuje się. Mój opiekun każe mi zejść i ostrzega, wyciągając
pewodwer: "Nie uciekać, bo będę straszyć". Wstyd mi - mówię do niego jak do

jałoność, przestępcy. 2 obywateli wronów wyłaziła z ciemności i starożytnie
twarze podziwowe. To musiało być coś dużego. Jedni w pustym nocy.
Idący w stronę przedziału kolejowego, gdzie mój "ciociuś" dzwoni do
NWD w Magnitogorsku: "Jest - przyjeżdżajcie". I oto po krótkim czasie pod-
ry wyjechała linuzina z powrotem /najbliżniejsza stacja od/, którymi w dwu-
jedźdźlar-to miasto NWD /...^W Magnitogorsku, w NWD - prory padała na moje
głową: "Wasze szczęście, jesteście cudzoziemcami, a to by się źle skończyło".
A później pytanie o czy macie jeszcze pieniądze na bilet do granicy -
przez Swierdłowsk? Na moje zaprzeczenie, jadę zdaną do dyrektora szkoły
i każe mu natychmiast wypłacić ^{mu} pobory. Idaje się za 3 miesiące /78/
Następnie "starszy" spojrział na mnie i mówi: "Zawieście ją do siostry." ^{sk}
się polegna, weźmie okulary i swoje rzeczy. Niech nie powie, że wy śli
ludzie". Jedziemy do osiedla. Siostra na mój widok wybuchła łzami, w histe-
rycznym ataku zapomniała o obecności urzędnika. To niebezpiecznie teraz
złoroczy i przeklinać. Jest już w zaawansowanej ciąży. Uspokajam ją,
układam, następnie, pozostawiam jej wszystkie rzeczy. /jeszcze wielkie
trudności z zaopatrzeniem!/. A wtedy jednak urzędnik przedstawił przy-
sceną mówi: "Trzeba wziąć walizkę, a to na granicy od razu przesadzi"-
powiedzą, co to za turystyka bez walizki". Wyraucam wszystko z walizki,
biorę ręcznik i trochę drobiazgów. I znów ^{na} na drzewo. Rozkaz pod kontrolą
kupi bilet II klasy do granicy przez Swierdłowsk. W drodze moja "opieką"
żelazna leży na górnych narach. Na dole - ja przestępca. Nie wstydzę się
Zakrywam głowę płaszczem i gorzko płaczę przez dłuższy czas. Wyczerpana
płacem - zasypiam. Budzę się po pewnym czasie i zdumiona widzę, że nie w
konwojenta. I prawdopodobnie miał pilnować mnie tylko do granicy ^{obiek} wojskowej
a później poszedł sobie. Czasami teraz odpuszczam zastanawiam się o tej
wtedy u mnie wzięło się tyle odwagi, przedsiębiorczości i energii?
Oto ^{swierdłowski} ~~walim~~ poszedłem w Swierdłowsku z pociąg i poszedłem wprost do granicy
NWD, do okna widać. /Tam rozkazował mój paszport - zarzanierny i opo-
wiedzielnik wymyślony w pośpiechu historii: byłem u siostry w Magnito-
gorsku, zjechał się u niej i nie odstępował - wiedział stolicy - miasto
NWD. A przecież to było. Wyobraźcie sobie - widzieli i pociąg

Wysłała ją z tymi rzeczami. Zmusił ją też stać w korytarzu o
wychodzącej, żeby wysilił, żeby przestać w 1938. Zatrzymała do zarady komu-
nary z sobą, 12/ polskiej, a ten powiedział: "Wierzę, że to trudne po-
łożenie. Jak to było wasz pomysł? Nie jest to dla wasz polityczny. Nad-
tem straszenie: przekażcie przekażcie przekażcie i to przekażcie. Temu
wasze nazwisko jest "nazwisko" z ostatnich przesłani. To wasze szczególnie
te strony wasz ~~ty~~ o paszport zagraniczny." Przy poleceniu Pieszowa dała
mu 200 złotych. Powiedziała: "To wasz potrzebne w Polsce, żeby wiedzieć ^{nie}
przebiegać się przy granicy w oczach i spokojnie pojechać do Warszawy".
Przejść, o ile nie ten dług połyka nasz pnie przekazywać Polski./tak
to różni, nie ilam/.

Wiedziałam jeszcze trochę pieniędzy i wzięłam na dwa dni. Już straciłam energię
do walki o prawo życia w pierwszym państwie socjalistycznym na świecie.
~~Przebiegała~~ W tym okresie poznałam szereg dziewczyn, poznałam naprawdę
lepiej i więcej niż wycieczka z Inturisa. Postanowiłam jeszcze wykor-
zystać ostatnie dwa dni. Byłam w teatrze dla młodzieży, w parku im. Gorkiego.
~~W tym okresie~~ Była jakaś uroczystość. Złoty ~~dan~~ ^{dan} rozdany z plakatem
Wielki samolot uniósł się w powietrze, a w nim nadładował robotnicy Moskwy.
Później nastąpiła, jak mi opowiedziano katastrofa. Drugi samolot zachwiał
o skrzydło pierwszego. Podniesiona atmosfera całego miasta.

Skończyły się pieniądze radzieckie. Poszłam do klubu dla cudzoziemców.
Prawdziwy międzynarodowy dom. Szukałam może kogoś znajomego z Polski.
Radzę się towarzyszy z Polski, a ktoś na party: "Najlepiej wyjechać ^{z nami} za Rosja-
nina". No i obrazem znalazł się kandydat Róży, że mu wystarczy życie kano-
nika. ~~A Rosjanie nie chcą~~. Był obrzydliwie wrażliwy. Zresztą pojawił
się wątpliwość. Ostatni dzień wizy. Czy to wcale w takiej sytuacji
możliwe do zaliczenia? Oddając moją rozpaczliwą radę towarzyszy za Rosję
Po drodze coś mnie pokusiło, by pójść do osoby w wydziale paszportowym
wyjątkowo łagodnej i sympatycznej. Dużo niecierpliwość, jak gdyby ktoś
rozprawał z nią i nie chciał w tej sprawie skrócić. Chłodno, urzędowo,
odwołując się do drzew, czy nie wchodzi. I zarzuca: "Blażeno dotychczas -

czas nie czućbyście ZSSR. A na zakończenie, witając moją komunistką:
"To nie w mojej kompetencji. To sprawa Ministerstwa Spraw Zagranicznych
w Nowym Czerwonym Placu. Krenl. Pięćnaście minut później Leńska-¹⁹ , który zaczął swoje
ciężkie w historii ludzkości. Podniósł rękę pracy ręk. Budował z myślą o
dzieciach - przyszłym pokoleniu.

Wlokę się głodna i zrozpaczona. I dłużej myślę w tym stanie: żeby tak ruci-
kanier w jakąś szczytową awanturę, posadziliby do więzienia-zosłabam".
Ale bunt wewnętrzny wzywa mnie: "nasz obywateli", kierujących moim życiem.
Korczakowiec, wychowawca? Dzwiczy mi w uszach: To sprawa Ministerstwa
Spraw Zagranicznych. Więc bezryślnie jak zakipcyzowana idę w tym
kierunku. W informacji pytam się nerwowo, gdzie można przedłużyć wizy Pola-
cylla I piętrze. Urzędnik bierze do ręki mój paszport, podnosi na mnie
zdurione spojrzenie, sprawdza coś w rejestrze i szybko gdzieś dzwoni.
Siedzę biernie, apatycznie na krześle: "Wiedź się dziecko, co chce."
Pojawia się drugi urzędnik, patrzy na mnie, zapisuje numer mojego pasz-
portu. To o wili awantury rozmowa przez telefon: "To ona". Po drugiej
stronie telefonu: "Niemożliwe". Dyskusja ożywiona. Siedzę spokojnie, jak
sdyby to nie o mnie chodziło. "Typowa" - jak mówię w gwarze uczniows-
kiej. Urzędnik prowadzi mnie gdzieś do innego pokoju. Tam siedzi jakaś
ważna figura-cała pierd w medalach i różnych naszywkach, w której nie
orientuję się. Piękne meble, podłoga pokryta dywanami. Wszystko mi jedno.
Nawet nie przeszedłem na najbliższym fotelu. Burza z grznotami i pie-
runami przeszła nad moją głową: "Jak śmiała narużać zakaz przyjazdu
do Moskwy? Jakiś ktoś pozostawia naruszając zakaz władzy." Zburzący
spokojnie, że tylko myśl, że cofnięto ^{myśl} pozwolenie dała mi energię, by bro-
nić mego prawa pozostania w ZSSR. Burza przeszła teraz telefonicznie
do Karmitowskiej. "Dlaczego napisaliście, że opuściła kraj, a ona była
w moim gabinecie." Jęcze awantura do Gwiedzińska. Jak śmieli samowolnie
przedłużyć pobyt cudzoziemiec? Skowron wzywa ci rwali. Siedzę pokonana-
stała ogromna reakcja. Przy mnie "Wiedza" odwołuje na dworku:
"Jaki najbliższy pociąg do granicy. Mówicie tylko bilet pierwszej kl.
sypialnia. Nie szkodzi, że daleko siedząca. Jesteście - rozumie".

Spojrzała na siebie zmierzwaną i zapytała: "Pieniądzy prawie nie ma. No, co? Kucharysami miejsce w sypialni i klacy. Kiedyś odbierasz, /i rzeczywiście/ w 1941 r. sądziła, kiedy przynosił mi ten dług /Już nie wypuszczono mnie z gmachu. Niektórzy saroci od odwieźli mnie na dworzec dąbarnego sypialnego. Konwojent został na korytarzu. Razem ze mną na dół nie jechał, jechał gdzieś inny. Jak się okazało kupiec z Chin.

Przeplatałam noc całą, utkwivszy głowę w poduszkę, żeby nie przeszkadzać temu sąsiadowi z dołu. Ale chyba dorył się o co chodzi, bo konwojent stał przez całą drogę przy naszym drzwiach. Mój sąsiad próbował bezskutecznie podnieść mnie. Miał mu chyba było, prętko wolał takiego gorzkiego placzu. Próbował ~~bezskutecznie~~ podnieść mnie pudełkiem czekolady i potarakaniami. Nie widziałam, nie reagowałam. Pociąg podjeżdżał do granicy. To był rok 1935.

Na granicy nie miałam specjalnych trudności. Wszak byłam od 1930 r. poza granicami kraju, na studiach w Belgii. Wycieczka do TCH też z Brukseli. Pieniądze otrzymane w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu ułatwiły mi drogę do Warszawy. Tracałam jak bankrut: cały szereg planów i marzeń /ciężko/ zawałił się.

W okresie między 1935 a 1939 r. znów pracowałam w instytucjach dziecięcych. Włączyłam się do walki o lepsze życie dziecka sieroty. Z jednej strony po przez związek wychowawców /Frakcja wychowawców przy związku klasowym/, z drugiej - codzienna walka z paniatami prasowymi, oniekaniami i zarządami sierocinców. Większość zakładów znajdowała się w ciężkiej sytuacji. Brak personelu, a najważniejsza korupcja - nieuczciwość na wielu szczeblach pracy i rejestrowania i stowarzyszeń filantropijnych.

Parzysta załaziła na Pradze. Szalała od głodnych dzieci, żeby były grzeszne, żeby dobrze uczyły się a przede wszystkim żeby radziły się codziennie. A one w samej Warszawie broniły swego prawa o istnienie. Chodziły w niedzielę przedsiębiorcze na pracki rynek, sprzedawały sobiadowe rzeczy kradzione, dokarmiały się. A pani prasowa śledziła, żeby starsze dziewczynki oddzieliły od reszty do całonocnych, były podkurzone i całowały nozdrza. Wzięła się o to o sobie: "Właśnie u pani tyle śmiechu na jej..."

Przed wyjazd do...

urowa, strasna to była 1939/40. Mieszy w Warszawie. Rekrutacja, szyn-
ny, brak żywności. A do tego b. silne mrozy i śniegi.

Tróciła kierowniczką domu sierot, którą formalnie zastępowała. Nie
czuła się potrzebna. Liczono ją tylko obojętnie przy stole.

~~W tym czasie~~ (czuła się związana z tymi, którzy poszli na ścisk).

Widz nie poruczał swoich zarząd o pracy w ZWZ, pracy pedagogicznej.

Postanowiła jeszcze raz spróbować. Wolała. Ludzie potrzebowali. Chyba nie

powinny się starać omyłki. Tyle ludzi wciąż stara się przedostać na

radziecką stronę. Dowiedział się o organizacji grupy kobiet, które

pragnęły przedostać się do swoich mężów. Przechodziła z nimi. Pili nie

znalazłszy jednak przewodnika, który zgodził się przeprowadzić nas

przez porzeczną rzekę Bug. Biorę duży plecak, koldę, ubieram się

ciepło. Tańczę wszystkie dokumenty, zaoszczędzone pieniądze.

Potajemnie zbiegam się w ciemności, gdzie wlezi na ciętą sarną, do

otwartej płóciennej budki. Następnie leżymy pod kołami. Zaczynam wierać

układ, a worki, mające świadczyć, że wiesz produkty. Powoli wóz wyłazi

się na ulicę. Terce mocno bije. Strach. Jeżeli zatrzyma wóz i Nieroz

nie go zniszczy? Przecież wiedzieć nie wolno. W kilka razy ^{hamuję} zatrzymuję wóz.

Wysze niemiecka nowa, kłótnia zagłada pod budą. Leżymy bez ruchu.

Matki zasłaniają dzieciom usta, by nie płakały. Szczególnie jedziemy

dalej. Przechodzi nie szofer przekupik Nieroz. Po kilku godzinach

czuję, że zbliżamy się do wód. Jesteśmy na brzegu rzeki Bug. Wchodzimy do

ciężkiej, z cieczą na nas onieśmielony przewodnik. Widać z dala ^{głęboko} woda, widać

dzieci i duże łolaki. Ciepła. Przez otwór widać dużą przestrzeń

Głęboka karamba pokrywa lód. Czeka na noc, by przejść rzekę.

Narazie przewodnik daje znak-ruszenia. On niemy, w tym momencie

niegłęboko płynie na naszym brzegu. A tu jeszcze dzieci i przecz/wa-

liki, podzieli. Wyobraź sobie, jak stonowicie widać lub zastawia

całą karamba, z trudem wyciągasz nogi, wleczesz się (niektórzy nie)

cała, a koniec drogi nie widać. Narazie przewodnik oznajmia: "Zdaje się,"

dziś, to było odmiennie, a może nawet wcale nie o całe wieki od lewa".

Dzieci kradły się do mnie. "Wiedziały: "Ta pani od Morczaka". Morczak pociągał małe grupy dzieci z każdego zakładu na swoje kolonie letnie. Środkiem były: "U nas też groziły szarowate. Wędnie porządki". Tęże ubrania, siedząc ~~na~~ wędnic/pogranyz korytarzu-boso". Cóż zarząd nie mógł, przekraczał wiele pozytywnych pogodyń. Naprawdę chodził, tłumaczył o potrzebie zmian, udowodniał, kłócił się z Zarządem. Udało się, pozyskał pewne pomysły, ale nadal zatrudniali skorumpowany personel i urzędników. Po roku walki w obawie przed znieczuleniem /i w ten sposób- spalenie/ odchodził.

Pracowałam w magistrackim zakładzie na Woli. I wtedy to samo. Zarząd przysłał się do Morczaka: "U pana Doktora dzieci nie kradną, nie kradną, nie pociągają się. Niech Pan nauczy nasz personel". Pan Doktor posłał grupę swoich wychowawców/byłam w ich liczbie/. Przetrząsaliśmy. Gdy zaczęliśmy najpierw mówić, a później pisać memoriały o panujących tam kradzieżach wśród adwokatów, pracowników kuchni, intendencji i gdy otwarcie podpisywać się - ja i koleżanka lekarska - wymówiono nam pracę. Nie pomogło, że ona lekarz udowodniała ^{przez siebie} ~~na~~ że część produktów ginie. Byliśmy niewygodne - musieliśmy odejść".

Wielu wychowawców zmagalo się z sobą: Jaką wartość ma ta praca? Bezroście wychowanków, którzy opuszczali zakłady, antysemityzm, który w tych latach wzrastał się okrutnie. Wystarczyło pójść na przechadzkę z dziećmi, by czasem jakiś kanień kaleczył główkę lub twarz dziecięcą. Wychowawcy wysuwali nosy, walczyli każdy na swoim odcinku pracy.

Po powrocie z ZSRR musiałam szczegółowo opisać pracę w przedszkolach, szkołach i różnych instytucjach ZSRR. Sprawy dzieci, przyszłego pokolenia nawet w okresach największych trudności zadręczały pierwsze miejsce. Aż przyszło to najtrudniejsze. Wojna. Niemcy. Okupacja. Mógłbym o tym okresie napisać wiele stron. Wydaje się, że na ten temat dzieł wartościowych dużo.

zabłądził, nie wiem gdzie jest. Tracę. Nie chce. Nie chce wpaść
w łapy. Nasze prochy porzucam. Zawraca. Jesteś
bezradny, ~~je~~ ofiary, zdane na jego łaskę. I oto cały sznur wyczynów
ludzi wlecz się z powrotem do chaty. Część kobiet, przekonawszy się
naocznie jak ryzykowna i trudna droga, szczególnie z dziećmi - zawraca
nie poma, że w Warszawie rządzą faszysty. Niejaka grupa do której i
ja weszłam, na drugą noc znów wyszła próbować szczęścia, ale tym razem
z nowym przewodnikiem. Teraz szło się lepiej: mniej rzeczy i bez małych
dzieci. Ale coś nie brakło wtedy szakali, którzy żerowali na ciężkim
położeniu uciekinierów. To oni namawiali do porzucania rzeczy, a później
chodzili tą samą trasą i zbierali walizki i inne rzeczy. ^{Właściwie} Ten wyrył
coś innego. Na środku rzeki poradził kobietom, żeby oddały mu na przecho-
wanie kosztowności, a to powiedziały, że kontrabandyści, przemyt... i załapę
Niektóre ^{właściwie} zaufały i włożyły mu oszczędności ^{właściwie} rzeczy. Po pewnym czasie zabrał
się: "Poczekajcie - rozejrzę się jak lepiej iść. Poszedł z kosztownościami
i ma się rozumieć nie wrócił. Czekały. Już świta. Złoczył jakieś stare
Nietępienie tak stał dłużej. ~~Tracę~~ Po raz drugi oszukane. Czekał
na przewodnika barcelońskiego. Oczywiście przysłał się i zmienił się z na-
imnych kobiet. Ile takich ludzi podczas wojny wykorzystuje nieszczęście
ludzkie i bogaci się, nie zwracając uwagi na łzy i cierpienia!
Słychać szczebanie psów, tych pomocników pracowników pogranicza. W dzień
trudniej przedostać się przez granicę.
Jeszcze nie rezygnuję. Oddalę od grupy, która już nie myśli o możli-
wości przejścia. Pyszłam do małej chaty, gdzie nieskażę stary rybak.
Oddaję mu koldę za prawo zamieszkania ~~stałego~~ w chatce. Trzeba prze-
konać się, że z takim bagażem trudno się swobodnie poruszać. Wój gospodarz
domyślił się o moich cięciach: "Trzeba ci pójść szarej. W gromadzie
za wiej zawiązać. Granicy dobrze pilnują. Zaczekaj aż nastąpi zła pogoda,
wtedy i wartownicy o cwają się, gorzej pilnują." Przeciagu dwóch dni
skurczył jak dostać się do Niemiec - według wiadomości, daleko
świątki. Trudniejsza dla wieści - wóci nauczyciel mówi: "Teraz idź".
Wyszedł na dwór - araba kurwa (nie). Nie ofierował - i, ostatecznie

się na obłąkać. rudo było od ycień. Na początku próbowałam się kierować wskazówkami mojego gospodarza, ale po pewnym czasie, gdy tak brodziłam w tym śniegu, wszystko mi się poplątało: gwiazdy, kierunek wiatru, światła falek. Na nieszczęście Dug w tym miejscu nie płynie równo, a szczykami. Posiada w środku jakieś zarcnięte wyseki, odnogi. Zrozumiałam w pewnej chwili, że błądzę, krączę i wracam do punktu wyjścia. Nagle czuję jak noga wpada w jakąś wodę. Prawdopodobnie natrafiłam na wódz zarznięty przegrzebel, zasynany z wierzchu śniegiem. Nogi zupełnie mokre, ale to pocieszający dowód, że blisko mieszkania ludzkie, wieść. Tylko pytanie jaka? Jak poznać w ciemności? Słychać dalekie szczekanie psów. Reflektory przecinają jasną smugą rzekę. Wilczę-jestem na jakiejś wystawie. Opuściłam na śnieg, chowam za dużą zasapę śniegu. Nagle widzę: po drugiej stronie wydmy pod krzakami też przytuliło się dwoje ludzi. Kto to? W każdym razie nie warłownicy, bo się też ciowają. Kontrabandyści? Ryzykuję: może razem łatwiej-wspólnie znajdziemy drogę. Włód-i ludzie niosą okrytymie toboły rzeczy. Na moją propozycję zgadzają się-idziemy razem. Po kilku minutach nagle czuję z obydwu stron ciwytają mnie jakieś ręce, a ręczne latarki oślepiają zupełnie. Włoda para głizie ulotniła się. Niestety po paru godzin krążenia znajdowałam się znowu po niemieckiej stronie. Dwóch Niemców w białych płaszczach prowadzi mnie na pograniczny posterunek niemiecki. "To już chyba koniec" myślę. Śmierć. I przyznaję się, że dotychczas nie rozumiem jak zostalam przy życiu. Weszliśmy do drewnianego baraku. W pierwszym pokoju spali na drewnianych łóżkach żołnierze. W drugim siedział niemiecki szlady oficer. Zaczął szorstkowo rozpytywać dokąd i skąd idę. Powiedziałam, że mieszkam w Warszawie zupełnie samotna, straciłam pracę, idę do swojej siostry w Białystok. Włoda mi pomógł. Może zdecydował się o moim losie fakt posiadania porządne zegarka, dobrego wiecznego pióra i pieniędzy. Może pierwsza w dżankaniach wojennych? Oficer przeprowadził osobistą rewizję, następnie ręk i zawartość torbki. To ostatnie zainteresowało go najwięcej. Wyłożył pieniądze na stół i dał mi tylko 20 złotych, podał mi papier do podpisan-

te to zgodne z przeszłością, wertował moje dyplomy. Jakaś zagłada, nie
pieniądze i puścić. "Teraz s rzełą wi rziesz w plecy" - myślałam opuszc-
jąc domek. Ale cicho. Gdy później w więzieniu w Moskwie opowiadała,
sędziemu śledczemu o tym fakcie nie uwierzył! "Ten twój podpis to była
twoja zgoda pod karą śmierci właśnie przejść do ZSRR i pracować w
charakterze szpiega na korzyść Niemców". Faktycznie mogli zastrzelić -
chyba ^{by} coś zabrania moich rzeczy i pieniędzy. Przecież mógł zastrzelić i
rozstrzelać. ^{Nam ugi u kichu Niech} Początek wojny kurs karłowatyjszy? W każdym razie, o dwoje
jestem znów na rzece. A wartownik mi pokazuje jak iść w stronę Białego-
stoku. Po drodze znów spotkałam moją parę samurajów. Bardziej doświadczona
ni przyszli przy pojawieniu się Niemców. Młoda kobieta oznajmia: "Ja już
jestem wykończona. Dalej nie mogę. Niech co chce będzie. Pozwól".
Słyszałam blisko nas szuranie wiejskich kundli. To chyba już radziecka
strona. Wdrapujemy się na brzeg. Przed nami wiejskie chaty. Niebezpiecz-
nie tak jawnie wchodzić. Ale kobieta twierdzi: "Zginę, jeżeli nie wejdę do
ciepłego kąta. Jestem mokra, obuwie zamraża. Jest ciemna, głęboka noc
Pukamy do pierwszej chaty. Cisza. Siedzimy na ganku, drżąc z zimna. Po
długim kołotaniu, otwiera się maleńkie okienko, a w nim par iarchalna
głowa ^{sw} ~~starego~~ człowieka. Pyta się: "Czego chcecie". Po nowie poznać-białoru-
Cierzę się wewnątrz: jestem na radzieckiej ziemi. Okładają: "Także i-
liż. Dajcie nam trochę ogrzać się i wysuszyć". Drzwi się otwierają,
uszczęśliwieni wchodzimy. W chatce półmrok. Na dużym ruskim piecu pod-
noszą się głowy rozbudzonej kobiety i dzieci. W izbie strasznie duszno,
ale dla nas to raj-ciepło przyjemną falą przenika nasze zamraża-
nie ciała. Starzec dorzuca drzew do pieca, przysuwa szerokie drewniane ławy.
Zciągamy wierzchnią odzież, obuwie. Cuchny. Tracamy do łóżka. Pytam się
gospodarza: "Czy można dostać konie do Giermityoc?" Na twierdzącą
odpowiedź-energiczna rozciągamy się na ławie. Jeszcze ciemno i zaniedo-
kajona widzę, jak starzec naciąga kożuch i walecki. Na swój niespokojny
wzrost odpowiada: "Idę do syna w sprawie ^{do syna} ~~konie~~". Moi towarzysze podróżni
już śpią. Zatracam świadomość-zasnęłam szczęśliwa. Budzę się-ktos-
cisnie do ręki. Już dzień, w ciemno jasno. Widać jak słońce ^{gwałtownie} ~~krasno~~

i budzi rze. Okazało się, że gospodarz zawiadomil o naszym przybyciu najbliższy posterunek. W strefie rezerwacyjnej otrzymali niemieccy rolnicy natychmiastowe zawiadomienie o przybyciu obcych. Niemcy, wracając z cięty, spojrzeli z wdziękiem na naszego gospodarza, a on: "No, dużo się was tutaj kręci, trudno rozpoznać: porządny to człowiek, czy podły - wróć".
Pracownik ^{gwardii} zaprowadził nas do jakiejś drewnianej stopy. Co pewien czas przyprawiał nas nowymi, zamykał od ~~okna~~ ^{okna} był pełna. Później poprowadzono nas w kierunku rzeki. Co za widok: Cały brzeg prawie czarny. Tłum ludzi. Mężczyźni leżą pokotem na śniegu. To ludzie zatrzymani podczas ostatniej nocy. Jedni uciekali od Niemców, drudzy szli do swych rodzin. Spora ilość sztuklerzy, handlarzy, którzy korzystając z różnicy cen po każdej stronie, przemieszczali kontrabandę towar. Żołnierze pognali tę całą masę ludzką w stronę więzienia. Na miejscu okazało się, że więzienie jest przepełnione, brak miejsc. Wtedy przyjechał na ~~konie~~ ^{konie} jakiś dowódca w otoczeniu żołnierzy na koniach. Cały tłum ludzi ustawiono, porządkując kolumny, w szeregi. A dowódca każdego pytał o nazwisko, narodowość, dokąd i skąd idzie... Następnie bez sądu, prosto na wyczerpie, kazał ludzi podzielić na trzy grupy: największa grupa sztuklerzy. Tych wiozł do więzienia, zabierając dla państwa cały towar, druga grupa tych, co przyjechali z Polski - odesłać z powrotem. A trzecia grupa, a ja w niej to uciekinier z Związku Radzieckiego. Pyta się dowódca o moje nazwisko. I rozłożył się: "Chciała popróbować życia u faszystów. Ty przecież ze Związku. Rosyjskie nazwisko, dobrze mówisz po rosyjsku. Jak ci nie wstyd. Marsz ich z powrotem. A druzi raz takich zdrajców rozstrzelamy". Stał się cud. Nie próbowałam wyprowadzić go z błędu. Zresztą nie było czasu. Na każdą poświęcał 2-3 minuty. Pognali nas, kilku żołnierzy na koniach. Chcieli z fantazją w stronę Siemiatycz. Chcieli tak parę kilometrów, a na polu starego ^{z wsi} "Pracujcie i pamiętajcie: ostatni raz próbujemy".
Jestem szczęśliwa. A jednak na radzieckiej ziemi. Jesteśmy sami. Grupa rozpada się. Niektórzy znów zawrócili: chcą dostać się do kraju, nie pozostała nadzieja. Trudno być na owa! Paniełam sprzedawać jakąś sukienkę, kupiłam owoce i bilety do Siemiatycz, więc już się odroczyłam.

Białystok w tym okresie należał do BSRB. Tłumy mieszkańców z Polski uciekierów/bieżeńców/ wypełniało ulice i urzędy. Nerwowa, podniecająca atmosfera. Ogromne trudności mieszkaniowe, trudności w zaopatrzeniu. Wszystko w stadium organizacji.

Mnie te trudności początkowe ominęły. Zamieszkałam u siostry, która już pracowała buchalterem w Czerwonym Cemiку"/Krasnyj Chimik"/. Przeszli łatwo granicę w miesiącu wrześniu razem z kilkudniowym niemowlęciem, które przyszło na świat w strasznych warunkach podczas oblężenia Warszawy. To mnie udało się je uratować. Matkę wypędzili Niemcy z Poznania w ostatnich dniach ciąży. Przyjechała do mnie do Warszawy. I oto w godzinach grozy-bombardowania Warszawy-nadeszły silne bóle. Żaden szpital nie chciał jej przyjąć. Po długich poszukiwaniach ledwo wyblażałam za wysoką opłatą umieszczenie jej w prywatnej klinice, niedaleko Głównego Dworca. Po dwóch dniach z wielkim niebezpieczeństwem, kryjąc się po bramach podczas alarmów lotniczych i strzelaniny, dotarłam do kliniki. Okazało się, że część lekarzy i średniego personelu uciekła z kliniki. Rodziny zabierały pacjentki. Kilka kobiet i w tej liczbie siostra nie mogły wcale poruszać się. Siostra miała ciężki poród. Już dwa dni krzyczała z bólu. Potrzebna była interwencja chirurga. Co zrobić? Wzięłam adres chirurga i poszłam do jego mieszkania prywatnego. "Panie doktorze, siostra, młoda kobieta zginie bez Pańskiej pomocy. To obowiązek społeczny lekarza pomóc choremu. Dam panu wszystkie moje oszczędności. Niech pan pójdzie do kliniki." A lekarz: "Czy pani myśli, że ja nie mam dzieci i mogę narażać się na śmierć? Tutaj nie ważne pieniądze, a życie". Nie ustąpiłam, aż wziął ubrań pod płaszcz biały fartuch, wziął instrumenty i poszedł do kliniki. W tym okresie pozostały personel ściągnął położnice już do piwnicy. Lekarz obejrzał moją siostrę: "Tutaj natychmiast potrzebna operacja/cesarskie cięcie?/ I oto w brudnej piwnicy, na podłodze przy małej lampce lekarz przeprowadził trudną operację. Przyszedł na świat zdrowy chłopiec.

To był prawdziwy cud. W jaki sposób w tak prymitywnych, anty-sanitarnych warunkach nie nastąpiło zakażenie? Po zabiegu przenieśliśmy siostrę wspólnymi siłami na pierwsze piętro, do korytarzyka bez okien.

Gdy po dwóch dniach przekradłam się do kliniki, nie było śladu domu, gdzie uprzednio mieściła się. Leżały tylko gruzy, ostatki niegdyś dużego gmachu. Podczas bombardowania Dworca-dom uległ kompletnemu zniszczeniu. Chodziliśmy zrozpaczeni wśród gruzów. Było nas kilka osób, rodzin położnic. Podszedł do nas po pewnym czasie dozorca sąsiedniego domu: "Tutaj nie pomoże płacz. Tam wiem były bardzo mocne piwnice, o grubych murach. Może tam się ukryli i ktoś uratował się. Spróbujcie, a może żyją?" Na tę wiadomość rzuciliśmy się gorączkowo do odrzucania cegieł, gruzu. Kopaliśmy, jak kto mógł. Trwało to dosyć długo. Nareszcie! Miał rację dozorca. Znalazłam żywą siostrę, którą jakieś litościwe dusze ściągnęły znów podczas bombardowania do piwnicy. Prawda, bardzo osłabiona. Dziecko sine z krzyku, zanosilo się od płaczu. Głodne, bo i jak w tych warunkach mógł być pokarm u młodej matki. Należało pomyśleć o natychmiastowym zabraniu obojga z tego miejsca. Już inne rodziny zabierały jak kto mógł: na plecach i nosząc. Poszłam do znajomego węglarza. Pożyczył mi ręczny wózek. Posadziłam do niego matkę z dzieckiem i pociągnęłam ze Śródmieścia na Wolę, /Tyle trudu włożyłam w uratowanie tego życia, które tak łatwo zginęło Niemcy zdmuchnęli całą trójkę/+ ojciec/ pod Lenino.

Stary Doktor pozwolił umieścić matkę z dzieckiem koło sypialni 56 dziewczynek "Domu Sierot". Codziennie znalazł chwilę czasu, by zajrzeć do dziecka, poradzić na brak pokarmu matki, by głodne niemowlę utrzymać przy życiu. Pamiętam raz przyniósł trochę mleka, to znów gdzieś zdołał kilka kostek cukru, by poić małego herbatą. A przecież to była najtrudniejsza dni walk o Warszawę. W "Domu Sierot" brakło chleba, Niemowle często płakało w nocy. Wtedy budziły się dziewczynki w sypialni. Unosiły głowy z poduszek, niespokojnie nasłuchiwały. "To dziwne"-mówił Korczak. "Spiają podczas największej strzelaniny, a słyszą, budzą się, gdy łwili niemowle. To im chyba kojarzy się z przeszłością, domem rodzinnym, wzmaga ich niepokój i tęsknotę za najbliższymi. Iż tymi, co im pozostali".

3

Po kapitulacji Warszawy mąż siostry przedostał się z wojska do rodziny i zabrał córkę z dzieckiem. Łatwo przeszli z małżeństwem granicę radziecką. Nie chciałam pójść z nimi. Czekalam na moją następczynię.

Teraz siostra w Białymstoku stara się wyrównać swoją serdecznością moje poświęcenie dla niej w Warszawie. Daje swemu "zbawicielowi" - mieszkanie i żywność. Chce mnie zatrzymać na dłużej, ale ja od pierwszego dnia chcę znaleźć pracę. A to bardzo trudne. Wszystko w początkowym stadium organizacji. Decyduję: "Pojadę dalej, w głąb kraju, gdzie ludzie potrzebni. Wszys'ko jedno. Na początek może być i praca fizyczna, której nie znam. Ale nie święci garnki lepią". Mój krewny Mietek Hejman, który był po wyjściu z Polski w Białymstoku odradzał mi ten wyjazd. Znał historię mojego wyjazdu w 1934r.: "Nie jedź. Mogą odkopać ten nieudany wyjazd. Czasy niespokojne bez zagranicznego paszportu. Pamiętaj, że NKWD nikomu nie przepuści".

Tłumaczył mi rzeczowo, ale ja nie dałam się odwieść od mego zamiaru. Wracać do Niemców, faszystów? Zostać w Białymstoku? To też jak ZSRB Nie wierzyłam, że teraz tę jawną historię odkopią. Sami pewnie już zmienili stosunek do tych spraw sprzed 6 laty. A przecież i Korczak mówił: "Jeszcze nie wylizala się pani z ran moralnych, które długo jako niesprawiedliwe bołą." Wyrzucili za entuzjazm do pracy. I znów próbować?"

Słyszałam i czytałam ogłoszenia w Białymstoku, że potrzebni robotnicy, robią nabór kobiet i mężczyzn. Zgłosiłam mimo protestu siostry swoją kandydaturę na wyjazd do Donbasu. Komisja odrzuciła: "Tam potrzebni do kopalni mocni ludzie. Jeżeli chcesz to weźmiemy na Ural-na budowę".

"Dlaczego już drugi raz przyjechałaś na Ural? O-zarzucał mi później sędzia śledczy w Moskwie." Miałam pewnie tam zadanie. A i element tam niestały, dużo cudzoziemców". Ale przecież to ode mnie nie zależało. Nie było wtedy wyboru oprócz Urala. Była wczesna wiosna 1940 r. Zdecydowałam się ,jadę na Ural. Przed wyjazdem wystąpiła jeszcze trudna sprawa paszportów.

Uciekieniery z perebeżczyki/ stają przed trudnym problemem. Stawiają przed nami ultimatum: albo wracamy do Polski-Niemców lub zgadzamy się na obywatelstwo radzieckie ,wypełniamy ankietę i dostajemy 5 letnie paszporty

ludzie potrzebni. Na początek może być i praca fizyczna, nie świadczy
garbi łopią. ^{Nas} Jego krewny Mietek Hojman odradzał mi ten wyjazd. Znał
historię mojego poprzedniego pobytu: "Nie jedź. Pora to odkopać.
Czasy niespokojne. Pamiętaj, że NKWD nikomu nie przepuści". Ale ja
nie dałam się odwieść od mojego zamiaru. Wracać do Lwów? Tazysta
tę? Zostać w Kijowie? - to też jak ZSRR. Nie wierzyłam, że
teraz odświeży tę dawną historię. Sami już pewnie zmienili stosunek
do tych spraw sprzed 6 lat. A przecież i Korczak mówił: "Jeszcze
nie wyliczała się pani z ran moralnych, które długo jako niesprawie-
wo bola. Wyrzucili za entuzjazm do pracy. I znowu próbować?".

Oczytując ogłoszenia, że potrzebni są robotnicy, kobiety i męż-
czyźni. Zgłosiłam się na wyjazd do Donbasu. Komisja odrzuciła mnie:
"Tam potrzebni są do kopania mocni ludzie. Jeżeli chcesz, to weźmie-
my cię na Ural - na budowę". "Dlaczego już drugi raz przyjechałaś
na Ural?" - zapytał mnie później sędzia śledczy w Moskwie. - "Miałas
porozumienie takie zadanie. A i element tam niestały, dużo cudzoziemców".
I przecież to nie ode mnie zależało. Nie było innego wyboru. Zdecy-
dowałam się. Jeszcze trzeba załatwić paszport. Wszyscy uciekinie-
rzy ^ystają przed trudnym wyborem: albo wracamy do Polski, albo zga-
dzamy się na obywatelstwo radzieckie i dostajemy ~~5~~ 5-letnie pasz-
porty. Cóż było robić? Większość zgodziła się na zmianę obywatelst-
wa. Zgłosiło się do pracy kilkaset osób. Obiecano nowe mieszkania
i pracę według kwalifikacji. Dostaliśmy zaliczkę na zakup żywności
na drogę. Jeszcze kąpiel w "bani" przed podróżą. Żegnaliśmy się z sio-
strą. Nie wiedziałam, że widzę ją ostatni raz.

Jedziemy. Znowu jadę na Ural. Po raz drugi, ale wrażenia sro-
wu silne. Kułbyszow, Ufa, Izżga. Wszędzie widać jakieś wieże wie-
tnicze, wszędzie ludzie pracują, robią las, stawiają budynki, bara-
ki. Już granica Azji i Europy.

W moim przedziale jechała rodzina muzułmańska: mąż, żona i 17-letni
syn. Gawędziliśmy całą drogę o Polsce, Warszawie. Zaproponowali mi

...właśnie wtedy...
...i jeżeli miała...
...tali się...
...ka...
...Nade...
...jest...
...os...
...nie...
...sądu...
...areszt...
...wano...
...prosi...
...ojca...
...k...
...się...
...zale...
...w...
...Tak...
...przys...
...nie...
...wa...
...bo...
...w...
...s...
...mo...
...W...
...M...
...się...
...energ...
...miesz...
...kam...
...H...

cy. i tak przetrwał w kapitalizmie nowy. Niechcący sam siebie
w wzięciu. Lecz nie do końca i w końcu tej placówki pomocy wię-
siej politycznej. Wtedy w niej cokolwiek prasie i radio nie było i mówić o
o czy kimś w tym czasie placówki nie było. Zmieszano i moje nazwisko ja-
nowym razem do urzędnika.

I jednakże nie było wśród przychodzących nie było zawsze najlepszy. Kontynuacja
się tak sam przebiegał, który już przedtem, spotykał w Warszawie w 1937 r.
Ciekawe dowiedzieli się w kraju, kapitalistycznym, którzy cięśli
za komunizm, walczyli, narażali swe życie, często byli bezrobotnymi, teraz
w zacięciu się z codziennym trudnym na powrót życia, braku w zapra-
traceni, trudnym klimatem, przynależnym życia dnia codziennego - zamykali się,
tracili zapał do pracy. Długo w życiu potrafili znieść głód i niedolę i
tutaj nie odwrócili się z chwilowym skróceniem życia. Zresztą wydawało mi
się, że było w tej masie trochę odrozwiniętych robotników, a większość inteligen-
cji i młodzieży przemysłowej. Dużą grupą niechętnie pracowała żona,
tęperem lub plotką. Zapoczątkowali, że nową erę ludzkości trzeba wypracować.
Nie warty było czasu może być gotowe. Najlepsi zamykali się, prosili o
prawo wyjazdu, niektórzy próbowali kasowo nie uciekać. /Nie wiem co się
działo z tymi, którzy prawdopodobnie zażyli życia/.

Na tym tle wyróżniała się rodzina K., z którą nie spotykałem. Cała rodzina - żona
żona i syn zorganizowali się w Brygadę murarską. Murarze byli bardzo
potrzebni: budowano wielki zakład. Od pierwszych dni znaleźli się na tabli-
cy najlepszych murarzy. Organizowali często imprezy. Brak czynny udział w
pracy społecznej. Tak samo jak i ja jeździł na kursy antyreligijne, pracowa-
wał w Związku. Bardzo aktywne, chociaż należał do najlepszych we wszystkich
dziedzinach. Często w wolnej chwili opowiadał mi nadal o swojej prze-
szłości. "Ja, towarzysze, pokochałem partię, którą prowadzę. Chętnie mi
wyraża się. Niechcący, choć drobiazgi, które cyfrowa, chętnie przed sobą.
Cóż, tego ja brałem kontrast między moim zawodem, który jest kłopot, a ich
częstość, które są trudne i niełatwe. Trudni cię, że praca niełatwa
długo o siebie. Ja przy dobrej pracy od siebie coś o ubraniu, a oni co-
paci ubranie, niechcący nie mieli czasu na siebie, na siebie, na siebie."

Hilka razy proponowałam: "Dajcie, towarzyszek, ja wam trochę pomóc porządzić. Nie jestem taka zmęczona, jak wy po fizycznej pracy." Coś odpyrknęła niechętnie: "Pilnujcie waszych spraw". Kiedyś w momencie miłej bezpośredniej rozmowy z tow. X-ja ze swej strony opowiedziałam mu o mojej przeszłości, o pracy z dziećmi, o przyczynach dlaczego nie wstąpiłam do Partii. Opowiedziałam mu naiwnie o moich marzeniach i nieudanej próbie zamieszkania w 1934r. w ZSRR. X. przekomarzał się ze mną: "Ja robotnik, a wy z pochodzenia mieszczańska. Wiem odeszliście od swoich, pracowaliście samodzielnie na chlebie i z wielkim trudem zdobyliście wykształcenie, ale jednak to nie robociarz." Najgorsze było to, że chociaż był starszy i sterany życiem zainteresowałam go jako kobieta. Podczas nieobecności żony prawił mi komplementy i napastował swoją miłością. Zagroziłam, że powiem żonie i jak tylko pozwolą przeprowadzę się do innego domku.

Po trzech miesiący pracy w charakterze/tabelszczycy/kontrolerki-tabelowej, sekretarz Partii wezwał mnie do siebie: "Obserwuję twoją pracę zawodową i społeczną. Nam potrzebni nauczyciele, dobrzy wychowawcy w szkole. Ufam Tobie. Idź i pracuj tak dobrze jak dotychczas". Od pierwszego zostałam zaangażowana jako nauczycielka do niepełnej średniej szkoły naszego osiedla/jeszcze dotychczas przechowuję dokumenty, świadczące o tej pracy. Otrzymałam najtrudniejszą pierwszą klasę.

I oto stoję przed swoją klasą. Małuchy chłopcy i dziewczynki. Takie różnobarwne i jasne, zadbane z wstążkami we włosach dziewczynek i z czuprynakami, które dawno już proszą się o maszynkę lub chociażby nożyczki. Patrzą na mnie nawet z pochodzenia różne twarzyczki. Dzieci różnych narodowości robotnicy przecież zjechali się z różnych części ogromnego kraju, no i dzieci uciekierów/pereleżczików/. Patrzą ciekawie na swoją nową panią. Pytam o nazwisko. Niektóre nie rozumieją pytania. Nazwiska tatarskie, gruzińskie, białoruskie, żydowskie i wiele innych. Okazuje się, że są dzieci, które nie potrafią mówić po rosyjsku. Różne języki, tradycje. Element dzieci niejednorodny. Mało osiadłych rodzin. Nawiczej właśnie wśród dzieci personelu urzędowo-technicznego, który dużo wysiłku w i

- 64 -

pracę. Przede wszystkim starałam się zdobyć ich zaufanie, wytworzyć w klasie atmosferę przyjaźni wśród dzieci. Tępiłam wszelkie objawy szowinizmu nie tylko u dzieci, ale i przez nie i u rodziców. Naprzeciwieństwo stosunek do dzieci tatarskie. Po lekcjach zostawałam z dziećmi najbardziej nasiedziały i indywidualnie pracowałam z nimi. Chodziłam wieczorami do domów rodziców. Próbowalam nawiązać kontakt z matkami, które chociaż mieszkaly jeszcze w tym okresie w bardzo prymitywnych warunkach, czuły, że kocham ich dzieci, chcę im dobra. I dlatego przyjmowały życzliwie niektóre wskazówki, dotyczące higieny, odżywiania i nauki. W rezultacie moich zabiegów poziom w klasie bardzo poprawił się. Poprawiła się atmosfera wychowawcza i dzieci stopniowo opanowały trudny kunszt czytania i pisanie. Żyli się, polubili szkołę.

Sekretarz Partii spotykając mnie gdzieś na zebraniu, chwalił mnie. Wyżywałam się w mojej pracy. Mało interesowałam się kłopotami życia codziennego, kolejkami w sklepie i t. p. Mieszkasz, że niektórzy piszą o tamtych la ach, o zaopatrzeniu piszą w samych superlatywach. Był postęp od czasu roku 1934, ale jeżeli w większych miastach było pewnie wszystko dostatecznie, to tutaj każdy transport czy to koszuł, czy naczyń był natychmiast rozowytywany.

Nadal mieszkalam z rodziną K. Komplementy głowy rodziny nie ustawały. Pewnego razu dostał za bardzo dobrą pracę premię w postaci dwutygodniowego wypoczynku w domu wczasowym /Dom oddycha/. Chytry sam nie pojechał, a żonę. Postanowiłam, że zacznę starać się formalnie o mieszkanie w b. barak nauczycielskim. Ale formalności wymagały trochę czasu. Nadeszła niedziela. Był piękny, ciepły dzień. K. wiedział o mojej tęsknocie za przyrodą i o ci zapoznania się z jego pamiętnikami sarouka. Więc proponuje: "Chodźmy trochę poszukać zieleni. Wspomnijmy Warszawę. Wezmę moje zeszyty i poczytam trochę. Ciekaw jestem Waszego sądu". Zgodziłam się. Poszliśmy za nas osiedle, w stronę wzgórz, porośniętych zielenią. Usiedliśmy, pogawędziliśmy o Polsce, łazienkach, Wile, następnie K. wyciągnął swoje zeszyty i zaczął

i zaczął mi czytać swoje pamiętniki. Była to praca samouka, ale rośnięta. Trudne dzieciństwo, praca zarobkowa już w dzieciństwie, wstąpienie do Partii. X. wiele szczegółów uzupełniał ustną relacją. Narawiałam go, by nadal kontynuował tę ciekawą pracę, opisując swoje ciekawe przeżycia w trygadzie turarskiej.

Głódce coraz mocniej przygrzewało. X. proponuje: "Teraz odpoczniemy trochę przed powrotem. Zmęczym się?". Usiadł pod drzewem, przytknął oczy, odpoczywał, a później wyciągnął się. Zdawało mi się, że śpi. Odeszłam od niego dość daleko. Trywała trochę zieleni, a że wciąż "spiał", położyłam się na sło, cu i nie wiem w jaki sposób zasnęłam. Nagle obudziłam się jakiś ciężar przytkaczał mnie do ziemi. To X. prawdopodobnie czuwaki i gdy zasnęłam, wykorzystując mój sen, próbował wziąć mnie siłą. Chęć wzięłam siłę nie wiem, ale zaczęłam krzyczeć, szamotać się i zagroziłam zawiadomieniem po powrocie z wczasów-jego żony, a przede wszystkim sekretarza Partii. To ostatnie osłabiło jego zapędy. Wiedziałam -zdożyłam sobie wroga. Spojrzał na mnie z nienawiścią: "Panienka!". Wstałam i poszłam sama do domu. Swoją plan przeprowadzki postanowiłam natychmiast zrealizować. Nie patrząc na dzień wypoczynkowy poszłam do dyrektora szkoły i poprosiłam o prawo zamieszkania w domu nauczycielskim, motywując swą próbę trudnościami przygotowania się do lekcji i potrzebą ciszy do poprawiania zeszytów. Uwierzył. Tego samego wieczora przeprowadziłam się. Nigdy nie zapomnę nienawistnego wzroku X na pożegnanie. "Robociarz jej się nie spodobał". A żonę jego po powrocie z wczasów. spotyka mnie na ulicy i w odpowiedzi na moje serdeczne przywitanie-zjadliwie: "Nie wypadało mieszkać z robociarzami". Czy miałam jej powiedzieć, dlaczego musiałam wyprowadzić się? Wolałam milczeć niż rozbić rodzinę. Wolałam. Nie czułam za sobą żadnej winy.

Moje sukcesy w pracy szkolnej i społecznej rosły. Spotykałam X. na kursach dla bezbożników. Drażniło go, gdy zabierałam głos w dyskusji. Trwała jego niechęć i nienawiść do mojej osoby.

Przypominam sobie jak podczas śledstwa jeden z bardziej ludzkich sędziów pytał mnie kilkakrotnie w więzieniu w Moskwie: "Czy nie miałaś"

tar, żeby nie schodzić wrogów, pod Złotouficem /trojpręszczadka/. Czy nie było kogoś niechętnego, kto chciał cię zrujnić i może w ten sposób - jako czujny społecznie - wywyższyć?" Zaprzeczyłam kategorycznie. Po kilku dniach znowu: "Przypomnij sobie, komu zależało na twojej zgubie, na usunięciu cię. Może zemsta. Do jednak widzę, że nie wszyscy Cię chcieli widzieć tam na miejscu". Kiedyś znowu padło pytanie: "Znałaś X. Jaki był stosunek do Ciebie Przemilczaków. Nie chciałam szkodzić ojcu rodziny, dobremu robotnikowi. Dopiero później na przesłaniu jasno stanął przede mną obraz. Ktoś napisał na mnie donos. Przecież wystarczyły dwa podpisy na takim "papierku". Bo skąd władze tak prędko dowiedziały się o moim pierwszym pobycie w ZSR i o wydaleniu z granic państwa? Nikt inny oprócz X, któremu naiwnie wszystko opowiedziałam - nikt nie znał tej sprawy. Sędzia śledczy powtarzał to wszystko, co wiedział X. Nie posiadam konkretnych faktów, ale zestawienie wszystkich danych, uporczywe pytania sędziów - pozwalają mi na postawienie takiej hipotezy. Dzisiaj to człowiek bardzo stary. Jedną nogą, jak się mówi w grobie - nie mogę poruszać tej sprawy.

W nowym mieszkaniu, blisko szkoły, jeszcze więcej czasu mogłam poświęcić dzieciom. Teby zaradzić trudnościom aprowizacyjnym, zadomowić przyjeżdżających rozpoczęliśmy wspólnie ze Związkami przeprowadzać propagandę na rzecz sadzenia kartofli. Każdy mógł na ten cel otrzymać kawałek ziemi. Nie znałam się na uprawie kartofli, ale poradziłam się starych gospodyń i jedna z pierwszych w obecności całej klasy posadziłam ostentacyjnie kartofle. Ten przykład nauczycielstwa podzielała "zaraźliwie" na dzieci, a przez nich na rodziców. Teraz lekcje przyrody często spędzaliśmy na polach, obserwowaliśmy pojawienie się pierwszych kiełków. Na lekcjach wychowania fizycznego wrywaliśmy chwasty. Marzyliśmy jakie piękne będzie w przyszłości nasze miasto, pełne zieleni. Jesie je wykopałam kartofle, były dorodne. Zniosłam je z wielkim triumfem do baraku nauczycielskiego. Niestety nigdy ich nie jadłam, nie zdążyłam. Ślad o nich znalazłam w protokole rewizji, który przysłali mi do podpisania w Moskwie. A zresztą nigdy tych rzeczy nie otrzymałam, nawet po skończeniu wyroku, na zesłaniu. W dzień tych dołynek kartoflanych urządziłam tylko dla dzieci "Dzień pieczącego kar-

tofla. Cóż to była za radość! I taką rozczelną gromadkę wspominałam w areszcie śledczym!

Nadeszły ferie zimowe. W szkole cicho i pusto. Dzieci odpoczywały w domu. Zresztą nie odpoczywały. Tanki wszelkiego kalibru, po większej części zrobione samodzielnie z desek oblepiły każdą górkę i wszelkie wzniesienie. To znów narty lub prosto jazda na własnych spodniach. Wielu z pośród nauczycieli rozjechało się po rodzinnych wsiach i miasteczkach. Kilka osób w tej liczbie i ja w nagrodę za dobrą pracę dobry wynik nauczania w klasie, otrzymało bezpłatną "komandirowkę" - bezpłatne skierowanie na kilkudniowy pobyt w Złotouściu. W projekcie Zjazd Nauczycielski, mieszkanie w hotelu, posiłki w restauracji, pójście do teatru, kina i t.p. Podstawiają nam maszyny. Dzieci maszą nam czapkami. Moja gromadka tuż obok. Dumna jestem - już większość z nich czyta i mówi po rosyjsku. Jedziemy.

I właśnie wtedy, gdy cieszyłam się z rezultatów mej pracy, wróg zaczął swą krecią robotę i dlatego - uderzenie było tak wstrząsające. Wtedy, gdy czułam się pełnoprawną obywatelką radziecką i planowałam jak bardziej ulepszyć, unowocześnić pracę z dziećmi - wtedy właśnie przyszło to najstraszniejsze. Cichaczem w tajemnicy przed innymi, w nocy. Nie robić zamieszania, specjalnie na terenie, gdzie tyle cudzoziemców. Tak jak wielu innych obywateli radzieckich, którzy pewnego dnia "giną" To areszty - w nocy.

Nie robić zamętu w nocy. A może nie płoszyć drugich "wrogów"? Nie trzeba, aby szersza publiczność - społeczeństwo wiedziało o tych masowych, jak często, zupełnie bezprawnych aresztach nocnych. Więc lepiej poza domem, w komandirówce, w hotelu, a ostatecznie wystarczy i noc! Strach zamykał ludziom usta. Ale po ciemności - na ucho, osłuchując się na drzwi, bo ściany też mają uszy - szepcze się, że ten i ten pewnie został aresztowany.

Areszt.

Styczeń 1941 roku. Tak pamiętam ten dzień 7 stycznia. Każdego roku przeżywałam tę tragiczną dla mnie rocznicę. Uralaska zima. Wszystko wokół zasypane śniegiem. Śloneczny, jasny dzień. Nie straszny mi mróz. Już dawno nie czułam się tak szczęśliwą jak tym państwowym wyróżnieniem. Oglądam Żłotoust. Jedząc po konferencji tramwajem. Później zmęczona wróceniami dnia, chłodniew idę do hotelu, gdzie dostałam bezpłatny pokój. Kładę się spać. Jutro dalszy ciąg konferencji. A wieczorem teatr. Zasypiam szczęśliwie. Gdzieś w głębokiej nocy, zdaje się około drugiej - spojrzę na zegar - budzi mnie pukanie do drzwi. /Były zamknięte/. Może to sen? Nie, uporczywe pukanie powtarza się. Kto tam - pytam, leżąc w łóżku. A głos żeński pracownicy hotelu: "Do was przyszli". Oburzona, mówię dosyć głośno: "Nie przyjmuję nikogo w nocy. Niech przyjdzie jutro rano". Odwracam się na bok i układam ponownie do przerwanej snu. Bez rezultatu. Pukanie do drzwi staje się coraz głośniejsze, bardziej natarczywe. I znów ten sam głos: "Koniecznie muszą z wami teraz rozmawiać". Rozdrażniona wstaję, narzucam szlafrok i uchylam trochę drzwi. Widzę najpierw przestraszoną twarz pokojowej, a za nią głowy kilku mężczyzn. Wychodzę zdumiona na korytarz: "O co chodzi. Cóż to za sprawa że w nocy trzeba załatwić?". W jednej chwili jestem otoczona przez 5 mężczyzn, porządnie ubranych. Cywilni. Jeden z nich, starszy: "proszę pójść z nami". Zdziwiona mówię: "Nigdzie nie pójdę w nocy. Można wszystko załatwić podczas dnia." Wtedy on spokojnie wyjmuję książeczkę, legitymację urzędnika NKWD. Znam niestety już taką książeczkę - więc wołam, chociaż oni cały czas mówią półgłosem: "Czy żeby nie obudzić ludzi w hotelu?". "To chyba omył". "Nie trzeba robić hałasu w nocy. Wy przecież pedagog, kulturalny człowiek" - mówi urzędnik. "Tam na miejscu wszystko wyjaśni się, czy to omył". Każę mi się ubrać. Czekają przy otwartych drzwiach. Po co ich aż 5? W oszaleńczeniu ubieram się. Wychodzimy na ulicę. Jest ciemna noc. Cisza głęboka. Przed domem stoi elegancka limuzyna. Jeden z urzędników otwiera drzwi samochodu, każe mi wejść. Sam siada tuż przy mnie. Drugi koło szofera, trzymając rękę na koburze rewolweru. Ruszamy. Za mną z-

staje znów ciemny i cichy hotel. Kazano technicznie zgasić światło, zamknąć drzwi. Na stole zostały kwity/talony/ na posiłki, bilety na imprezy. Nikt oprócz techniczki nie wie, co się stało. Padą szepty po cichu na ucho, domysły. Przepadł człowiek.

Samociąg pędzi bezszelestnie. Po kilku minutach staje. Mój sąsiad otwiera drzwiczki, każe mi wyjść. Urząd śledczy w Złotouściu. Mój "opiekun" wprowadza mnie do pokoju, gdzie siedzi dyżurny urzędnik. Pyta się i dokładnie notuje moje personalia/nazwisko, imię, miejsce i datę urodzenia i t.p./ A ja nie mogę doczekać końca tych pytań i rzucam moje najistotniejsze pytanie: "Dlaczego mnie tutaj bez powodu przywieźli. Co się stało, że aż trzeba było budzić mnie w nocy. Jakim prawem mnie zatrzymała Domagan się, żeby natychmiast mnie zwolniono!" Po chwili dorzucam: "Muszę dzisiaj być na konferencji nauczycielskiej. Tam dają nam wskazówki do pracy na drugie półrocze. W nagrodę otrzymałam biletu do teatru. Mam pójść dzisiaj wieczorem". A urzędnik na wszystkie moje tłumaczenia i gorączkowe "dlaczego" - wyciąga jakiś papier i tonem zimnym oficjalnym: "To nie bezprawie. Oto jest nakaz aresztowania. Odpowiednie czynniki sprawdzą o co chodzi. To nie w mojej kompetencji". Dzwoni. Pojawia się żołnierz z bronią: "Odprowadzić do celi", długi korytarz z drzwiami po obu stronach. Siedzą na stołku i przy dotychczas hamowane płyną obficie. To nikogo nie wzrusza. Wydaje mi się, że urzędnik nie zna mojej sprawy. Jest uprzejmy i powściągliwy. Czeka na rozkazy. Słychać dzwinki telefonu. Raptem drzwi się otwierają. Już dzień. Pada propozycja: "Może chcesz, to możemy ci przynieść obiad z restauracji. Milczę. Po mojej obolałej głowie snuje się bez przerwy pytanie" dlaczego ". Tęś trąsny dzień, tym straszniejszy jako kontrast tego, co mnie oczekiwało, ciągnął się dla mnie bez końca i bez końca błękało się w mojej świadomości: "Dlaczego i za co?". Już wieczór. Zapala się światełko w mojej celi. Otwierają się drzwi: "Zbiera się. Jedziemy". Na moje nerwowe pytanie: "Dokąd" - w odpowiedzi kpiące spojrzenie - nie ma odpowiedzi. Znów ciemny zamknięty samociąg. Wychodzę. Poznaję dworzec w Złotouściu. Ludzie zatrzymują się. Ciekawie przyglądają się.

- 53 -

Idą się porządnie ubranej kobiecie pod eskortą. Dobrze, że to 12 km od miejsca, gdzie żyłam i pracowałam. Nikt mnie tutaj nie zna. A gdyby na miejscu. Bo gdyby mnie teraz widziały moje szkolne dzieci? Przecież kiedyś pytali, co to znaczy więzień. A ja im: "To taki, co naruszył jakiś porządek w kraju. Może popełnił coś złego lub skrzywdził kogoś. W sądzie wyjaśnią, omyłka - to od razu puszczają go do domu. Dwóch konwojentów wprowadza mnie do zakratowanego przedziału/drzwi i okna zakratowane/. Jestem sama w przedziale. Nerwy nie wytrzymują - rzucam się na drewnianą ławkę i płaczę spazmatycznie. Nie mogę się uspokoić. Przepełnia mnie uczucie żalu, krzywdy, niesprawiedliwości. Zdaje się, że przepłakałam parę godzin. Przy drzwiach na straży stał żołnierz z bronią, stał spokojnie, niewzruszony moim płaczem. Zmęczona płaczem zasnęłam. Obudziłam się - świtało już. Ciało rozbite. Sen na twardej ławie, głód - to wszystko osłabiło mnie, że trudem uniosłam głowę, gdy pociąg zatrzymał się. Zdażyłam przeczytać na budynku stacji: Czelabinsk. Więc jeszcze Ural. Wagon, w którym jechałam odczepiono gdzieś nabocznym torze. Do mego przedziału weszło dwóch cywilów. Konwojenci z Złotouścia przekazali mnie miejscowej władzy. Na tylnym torze stała zamknięta karetką więzienną zwany przez więźniów "Czarny Woron"/czarny kruk/. Po raz pierwszy znalazłam się w ciasnej komórce. Ciemno i duszno. Słychać odgłosy toczącego się życia, z którego ty jesteś wyłączona. Wóz mknie. Słyszysz trąbki samochodów, jakieś dzwonki, okrzyki ludzkie. Wóz zatrzymuje się. Jestem na podwórzu więziennym w Czelabinsku. Każą mi wyjść. Jestem oślepią. Znowu przy wejściu powtarza się stara procedura. Ale już bardziej surowo, oficjalnie. Później następuje szczegółowa rewizja osobista. Oddaję wszystkie dokumenty, świadectwa, kilka rubli, które miałam przy sobie. Oprócz tego wszelkie paski, podwiązki, szpileczki. A ja pytam uparczywie: "Za co mnie aresztowali? Czy nareszcie ktoś mi powie jaką zbrodnię popełniłam?" I wtedy słyszę w odpowiedzi szyderczy głos: "No i czego udajesz/Czego prytworjatsja/". A na mój zdumiony wzrok: "Jesteś oskarżona o szpiegowstwo i nielegalne przejście granicy". W pierwszej chwili drętwieję z przerażenia, ale po chwili krzyczę z rozpaczą: "To bezcelna potwarz. Kto to wymyślił to potworne kłamstwo." Znowu opowiadałam o sobie. O pracy w szkole.

Bezlądnie o chęci pracy w ZBR, o pracy społecznej. Rzucam słowa w próżnię: nikt mi nie ufa, nikt nie wierzy. Odprowadzają mnie do celi.

Ciemny małeńki pokój. Wysoko pod sufitem małeńkie okienko. Łóżko - koc mała twarda poduszka. Parasza w kącie. Zgrzyt klucza w zamku - to drzwi zamykają się za mną. W drzwiach jak zwykle. Stale czyjeś oko podgląda cię. Wszystko mi jedno. Rzucam się na łóżko. Jedyna broń: łyzy, łyzy bez końca. Myśli okrutne, szalone przewalają się przez głowę. Nie żyć!. Ile czasu przeszło, nie wiem. Kilka razy otwierają się drzwi. Wołają mnie, by wziąć posiłek, podają coś do picia, coś do zjedzenia. Nie reaguję, nie chcę jeść, nie chcę żyć. Na drugi dzień pojawia się jednak refleksja: "Trzeba jeść, żyć to wszystko pomyłka - wyjaśni się. Muszę mieć dużo sił, by ich przekonać". Gdy otwierają się drzwi tym razem ku zdziwieniu dyżurnej biorę posiłek. Gryzę czarny chleb, popijam ciemną kawą. Leżę dzień cały na łóżku. Obrazy z przeszłości przesuwają się przed moimi oczyma. Jak piękna bajka - obrazy pięknej wycieczki do Danii, Szwecji i Norwegii. Czy kiedyś doprawdy przeżywałam to piękno. Fiordy, morze, piękna architektura, a potem ta straszna ceka?

Nareszcie. Wieczorem klucz zgrzyta w moich drzwiach - otwierają się drzwi. Dyżurna wywołuje mnie do sędziego śledczego. Za drzwiami czeka konwojent z bronią. Dudnią nasze kroki po żelaznych schodach. Konwojent prowadzi mnie krętymi schodami. Jestem spokojna. Wszystko musi się wyjaśnić. Chyba w kraju socjalistycznym sąd działa prawidłowo i człowiek niewinny zostaje wypuszczony na swobodę. Nie, nie jestem zupełnie bez winy. Tak przeszłam nielegalnie granicę, naruszyłam granicę. A prawo zabrania. Cóż - wojna, Uciekaliśmy przed faszystami. I to nie tylko ja jedna - tysiące. Trudno, jeżeli trzeba za to przejście granicy gotowa jestem odpowiadać. Przyszliśmy. W dużym jasnym pokoju siedzi młody człowiek w ubraniu wojskowym. Na stole teczka. A przed nim o dziwo - moje pantofle z baraka nauczycielskiego. Znaczy to, że była rewizja: przeszukiwano moje rzeczy. Konwojent wychodzi. Sędzia wskazuje mi po drugiej stronie stołu. Siadam na stole, pod ścianą.

Młody człowiek z uśmiechem: "No, jeszcze będziesz się wykręcała. że nie jesteś szpiegiem, niewinna? A przecież Twoje pantofle lepiej, co? zupełnie innego nam mówię". Nie rozumiem o co mu chodzi. Zdziwiona patrzę na niego. A wtedy on triumfalnie podnosi się z krzesła, bierze moje pantofle i podsuwa mi prawie pod sam nos "Poznajesz?". Tak poznaję moje nowe brązowe pantofle. "Dobrze chowałeś szpiegowskie dokumenty. Widać dobrze was szkolono?" Odwraca pantofle podeszwą do góry. Patrzę: z obcasów zerwano korki i widać wycięte kawałki. Środki obcasów puste. Nawet nie zauważyłam, że mój szewc wyciął te kawałki skóry. Niektórzy szewcy warszawcy to robili, żeby obcasiki były lżejsze. Na wierzchu przybijali gumę i nie było widać. A teraz podczas rewizji w domu nauczyciela w miejscu mojej pracy, szperając w moich rzeczach i szukając dowodów rzeczowych mego "przestępstwa" pewnie rozpruli wszelkie podszewki i oderwali podeszwy i obcasy. No i gotowy dowód winy! Wycięte dziury, schowane dokumenty. No i ja-przeniosłam je przez granicę. Próbuje tłumaczyć: robiono to dla elegancji. Nawet nie wiedziałam o tych wycięciach." A zresztą "Mówię" "Można napisać do tego szewca. On mieszka w Warszawie na ulicy Krochmalnej." W odpowiedzi ironiczny i szyderczy uśmiech: "Dużo ty znajdziesz teraz szewców w Warszawie. Przez granicę? Czego kręcisz. Przyznaj się, co tam wiozłaś? Gdzie cię szkolono? Kto ci wręczył dokumenty? Skąd tak dobrze znasz język rosyjski?" Gorączkowo opowiadam: "Nawet w tych pantoflach nie przeszłam granicy, a w butach!" "No, to przedtem miałaś zaszyte w palcie, żeby włożyć później. Znany was. Wasze sztuczki." Na mój argument, że dobrze pracowałam w szkole i w organizacji Koprowej odpowiada: "To ty specjalnie tak pracowałaś dobrze. Chciałaś uspić naszą czujność. Im więcej chciałaś zrobić podłości, tym bardziej starałaś się w pracy." Wszystkie moje argumenty odrzuca jako nie istotne. Zdruzgotana bezsenssem mego położenia, milknę. Czuję, że nie ma dla mnie w tej chwili ratunku przed tym rozkosznie uśmiechniętym młodym człowiekiem. Jestem w matni. Nie wierzy mi. Nie ma tutaj nikogo, kto by pomógł poradzić. Sama. A mój "Dręczyciel" czeka chwilę

czeka o wilę: "Coś, nie chcesz jeszcze przyznać się? Toczemy. I tak do-
dziemy do sedna twego przestępstwa. Nie z takich "ptaszków" wszystko
wydobyliśmy! Znamy was, wrogów naszego narodu. Sędzia dzwoni i każe
mnie odprowadzić do celi. Łzy ciurkiem biegą z oczu. "Jak to? To ja
wrog ZSRR? Ja, która całe życie marzyłam, by żyć i pracować w tym kraju?"
Co robić? Pustka w głowie. Rozpacz. Rozbić głowę. Udusić się? Rozbić
szkło-połknąć? Niestety, oko w judaszu wciąż sterczy. Coś podejrzewają.
Bo oto przeprowadzają mnie do innej celi: Ściany zrobione z jakiejś
miękiej masy. Tak samo łóżko, Meble przymocowane do podłogi. Najłatwiej
nie jeść. Leżę. Przyjmuję jedzenie i chyłkiem wylewam wszystko do paraszy
Słabnę. Śledztwo, raczej parodia trwa.. Nie poruwa się naprzód. Codziennie
te same pytania: "Jakie miałas zadania? Kto cię wysłał." Odrzucam mocno
obwinienie o szpiegowstwo: "Wiem naruszyłam prawo, przeszłam nielegalnie
granicę i za to możecie mnie ukarać, że uciekłam od faszystów. Ale zawsze
już od młodości tęskniłam za życiem i pracą w ZSRR. Więc dla-
go teraz miałabym zostać wrogiem. Gdyby tutaj byli moi przyjaciele pot-
wierdzili by prawdę moich słów" SM, je słowa nie odnoszą żadnego skutku
Mur jak stał tak stoi - nie do przebycia. Osłabiona leżę w wolnych godzi-
nach i żyję wspomnieniami przeszłości. To mnie ratuje. Bo w tej samotnej
celi, oddana na pastwę bieżącej chwili, bez przyjaźnej duszy wokół siebie
-mogę postradać zmysły. Aż nagle na kolejnym bezcelowym "doprosie"-sło-
twie, które z każdym dniem stawało się bardziej ostre, natarczywe. Sędzia
widocznie stawał się rozdrażniony faktem, że niczego nie udało mu się
z przestępcy wydobyć. /wyrwało mu się.: Chce ci się na tamten świat-u
mnie nie tak łatwo. Może wyśle cię dalej - tam mocniej poprowadzą sprawę!
Wracam do celi. Może Moskwa. Tam łatwiej rozszupłają ten bezmyślny węzeł
A może chce mnie zas rasyć?.. W każdym razie trzeba żyć. Znow zjadam ka-
szę i chleb więzienny. Aż pewnego dnia otwierają się drzwi: "Zbierać si-
e z rzeczmi. Śegnaj więzienie Czelałinska. Poduszkę zostawiam mokrą od mo-
żez. Dwie" konwojentów sprowadza mnie na podwórze więzienne. Naczelnik
konwoju trzyma zalakowaną kopertę z moją sprawą, Urosła od czasu Złote-
cia. Znajomy "Czarny Wron" /karełka więzienna /zawozi mnie na dworzec

Tróww jadę w więziennych przedziałach/podobno nazywają się stokypinowskie"/. Sama jedna w przedziale. Jestem spokojna. Dokąd mnie wiozą? Nie wiem, nie pytam. Przecież więźniowi nie odpowiadają. W każdym razie gorzej nie będzie niż jest. Serce mi mówi, że może do Moskwy? I niemądrze cieszę się. Tam w stolicy chyba sprawniej działa sąd. Nie ma tyle błędów i niesprawiedliwości! Dojdą prędzej prawdy niż na prowincji. Tutaj najwyższe urzędy sądowe, instancje odwoławcze. Może po drodze uda mi się spotkać trochę zieleni, drzew, za którymi zatęskniłam się. Może usłyszę głosy ludzkie. Przecież Czelabinsk-to pojedyncza cela-najstraszniejsza kara. Wierzę głęboko, że w stolicy państwa socjalistycznego wszystko wyjaśni się się.

Karetką więzienna "Czarny Woron" zatrzymał się. Jestem w domu-w podwórzu, gdzie tak naiwnie starałam dostać się w 1934 roku. Łubianka. Najlepsze więzienie w Moskwie jak mi później mówiły towarzyszki w celi. To prawdziwe "sanatorium" więzienne. Najlepsze warunki materialne, najłżejszy reżim. Początek taki sam, przechodzę przez wszystkie więzienne formalności. Przy pytaniu o co oskarżyli w Czelabinsku-milczę. Zresztą przecież mają papiery. Rozmowa z urzędnikiem przyjmującym odbywa się w grzecznym tonie. Później kąpiel pod opieką dozorczyń. Prowadzą mnie ku olbrzymiej mojej radości do wspólnej celi. To nie wygląda na celę, raczej jakąś salę w domu wczasowym. Rzuca się w oczy nadzwyczajna jak na więzienie czystość. Podłoga pięknie wyfroterowana, osiem łóżek, zasłanych czystą białą pościelą. Pośrodku czysty stół, stołki., białe kubki. Nie widzi się ani nie czuje okropnej parazy. A co najważniejsze nie będę sama. W pokoju w tej chwili jest siedem kobiet czysto i schludnie ubranych o inteligentnym wyglądzie. Tylko okno zakratowane, tylko ciężkie drzwi które zamykają się po moim wejściu ze zrzutem, tylko "judasz" jak wszędzie. Współmieszkanki zajęły się mną serdecznie. Wtajemniczyły w porządek dnia życia więziennego. Później posypały się pytania: "Za co, skąd, gdzie już siedziałam. Na moją skąpą odpowiedź: "To omyłka, która tutaj w Moskwie napewno wyjaśni się, uśmiechnęły się sceptycznie. Zaniepokoił mnie ten wyraz powątpiewania na ich twarzy, nawet miałam żal, że mi nie

wierze. Później po tygodniach zrozumiałam ten uśmiech. Niektóre siedziały po raz drugi. Jedna prosiła uciłnie o rewizję jej sprawy. Poznały już parodię sądu, często szablonowy wymiar kary: Każdy zaarrestowany jest winny. Po przeładzie sprawy E. otrzymała jeszcze wyższy wymiar kary - dorzucili 5 lat. Już teraz ma nie 10, a 15 "Chyba" - mówi "za to, że ośmieliłam się powątpiewać w nieomylnność sądu.". Przez cały dzień byłam ośrodkiem zainteresowania. Opowiadałam o Polsce, o wojnie, Niemcach. Trzeba pamiętać, że to była zima 1941 r., a wojna z Niemcami zaczęła się dopiero w czerwcu. Były wstrząśnięte opowiadaniem o kapitulacji Warszawy z ust nauczycielskiego świadka.

Podobał mi się ład, organizacja życia wewnętrznego celi. Same ustaliły kolejność dyżurów przy sprzątaniu, odbieraniu posiłków. Ustalona godzina celowej, obowiązkowa dla wszystkich.. Nie sądziłam, że spotkam w więzieniu tyle mądrych, ciekawych ludzi. Czasami zdawało mi się, jak gdyby ktoś wybrał pozytywne jednostki, zebrał i umieścił razem. Tak, myślałam, a gdzie są wrogowie ZSRR? Później, prawda, były i inne. Ciekawie zorganizowano życie kulturalne. Codziennie na przykład po wieczornym apelu, leżąc w łóżkach, rozmawiałyśmy. Kolejno każdy musiał się przygotować na określony temat. O ciekawej książce, pisarzu, społeczniku. Albo opowiedzieć o pięknym zakątku swego kraju, odbytej wycieczce i t.p. To lekarstwo przeciw tęsknocie za swobodą, rodziną, przytulnią bólu przeciw bezprawiu. Najgorsze to beczyność - pustka. Większość moich towarzyszek to kobiety wykształcone. Niektóre zajmowały przed aresztem wysokie stanowiska lub były żonami ważnych osobistości. Jedna pracowała w Ministerstwie Kultury, inna w Gosusowie, to znów w Banku Narodowym, w Inturyście. Za co te kobiety posadzono? Kilka na zasadzie pisemnego obwinienia... 2 osób. Czasami to zemsta. Walił się mój świat pojęć o doskonałości aparatu państwowego, w każdym razie sądownictwa.

Tak żał mi nieraz, że po tych wszystkich przeżyciach powstały ogromne luki w pamięci. Nie pamiętam ani jednego nazwiska, które przesunęły się przez te trudne lata w moim życiu. / Oto śródzima domu zły za jakąś

zwróceną tu uwagę, doniósł, że lokatorka jest trockistką, że trzyma nie-
człowiekie portrety Trockiego. A właścicielka, sama członkini Partii, kazała
go dawno wyrzucić na strych i o nim zupełnie zapomniała, leżał między
zapomnianymi grzeczniakami. Posadzili.

K.- wyszła powtórnie za mąż. I oto przy jakiejś sprawie ktoś oskarżył ją
pierwszego męża, który już nie żył, nie mógł się oczyścić z zarzutu, więc
posadzono ją za tego Hige pierwszego męża - z którym się 10 lat temu
rozwiódła. Może i ona wtedy coś wiedziała o "przestępstwie"? Ukryła?
A w domu pozostała 8-letnia córeczka.

H.- pracownik Inturista zna doskonale kilka języków obcych. Przewodnik
dla cudzoziemców po ZSRR. Czy ona winna, że z zagranicy przychodzą na jej
nazwisko z różnych części świata listy z podziękowaniami, a nawet z
zaproszeniami w gościnę. Pochodzi z Polski: gdy w 1918 roku rodzina
wróciła do kraju, ona entuzjaska rewolucji - pozostała. Teraz siedzi po-
czyna tak jak i ja o szpiegowstwo. - kontakty z zagranicą,
Dni posuwały się naprzód według regulaminu więziennego i naszego wew-
nątrz celi porządku, Rano sprzątanie, śłanie łóżek. Przejście do łazienki
później śniadanie. Stukanie w drzwi, zgrzyt kluczy. Przy drzwiach dyżurna
dozorczyni. Więźniowie z koszami chleba, kawą. Dyżurna odbiera żywność
i tak trzy razy dziennie. W porze obiadowej zamiast kubków talerze
z zupą, kartoflami, kaszą. Później po zmywaniu - obowiązkowa cisza. Większość
czyta książki. Więzienie posiada zasobną bibliotekę, Dbano o wychowanie
wrogów narodu. Nie trzeba mówić jakim skarbem była dla mnie książka.
Pozwalała oderwać się od rzeczywistości, zapomnieć o bólu, niesprawie-
dliwości, Codziennie wyprowadzano nas na spacer. Niechętnie zwalniano
kogoś chorego. To chociaż jak mówiono kartobliwie "Sanatorium", każda
nasza nieobecność zużywano na robienie rewizji w celi. Przerzucano
pościel, osobiste drobiazgi - wszystko. A nóż więzień próbuje wysłać
jakąś wiadomość więzienną na zewnątrz. A może chowa coś niedozwolonego
choćby niewinną igłą, zrobioną z zapalniczki?
Wyprowadzają nas na spacer... na dach domu / więzienia / lepsze jedzenie

~~jeżdżą~~ windą, pozostałe idą po schodach pod opieką konwojentów. Wysoko na dachu pusta kamienna przesrta balustrada. Niewidoczny dla nas świat ani my dla świata. Nad nami tylko niebo. Krążyliśmy samotnie w kółko po tej samotności przesrty. Formalnie nie wolno mówić, grożą kaucem. Ale to przecież tylko nasza cela. Więc? "Patrz, jak wysoko ptak leci. Co to może być? Krowa, gołąb? Niebo nad nami wciąż inne - to uśmiecha się błękitem, to całe szare i wtedy i my smutniejsze. Powiew wiatru. Przelot samolotu. Marzy się: "Chociażby skrawek zieleni. Drzewko. Brzoza, chociażby mały świerk, który przypomni las zielony, szum leśnej gęstwiny". Koniec spaceru. Znowu do czterech ścian i "Judasza"? Zdarza się, gdy wracamy schodami idzie naprzeciw nam jakaś grupa więźniów - mężczyzn pod opieką konwojentów, "Wśród konwojentów następuje konsternacja. Pada gwałtowny rozkaz z naszej strony: "Stać. Obrócić się twarzą do ściany. Ale kobiety "Moskwiarki" starają się ukradkiem spojrzeć na więźniów. Rozumiem ich niepokój i bolesną ciekawość. Często aresztowano od razu z Beriofskiego rozkazu całe rodziny. Wystarczyło drobne czasami wysrane z palca podejrzenie. Że powiedzieli to i to o Stalinie. Więc ukradkiem oglądały twarze zmęczonych mężczyzn. Zmęczeni. Może wracają od sędziego. Może jest wśród nich mąż, ojciec, brat a czasami i syn?

W więzieniu jest kantyna sklepik. Szczęśliwi posiadacze pieniędzy mogą tam nabyć papierosy, materiały pisemne, suchary, a przede wszystkim cebulę, które moje współmieszkanek kupują w obawie przed szkorbutem, tą więzienną klęską. Małe stale ktoś częstuje: "Eferi, ty tutaj nie masz rodziny ani przyjaciół? Rodziny? Może tam w faszystowskiej niewoli wszyscy wyginęli. Nikomu zresztą nie przyszkoby nawet na myśl, że ja taka en użęka ZSRR siedzę w więzieniu. Więc, gdy inni dostają paczki - dla mnie pocztę nie łatwiej. Zresztą za granicę więźniom pisać nie wolno. Ale w naszej celi komunistki dzieliły się ze wszystkimi. Tak to były komunistki. Nie zdradziły przeciw władzy radzieckiej. Potępiły tylko obecną działalność NKWD-Beriofskiego i jego pomocników. Wierzyły głęboko, że inne czasy nastąpią, Pamiętam dzień I Maja. Piękny słoneczny dzień. W ten dzień nie-

siono spacerować. I cały dzień zamknięte było okno. Nidek będzie duszno. To nie święto "wrogów" narodu! A właśnie towarzyszki w celi urządziły święto. Postanowiły podkreślić uroczystość tego dnia. A więc wyjątkowo starannie wyfroterowana podłoga. Każda ze swoich rzeczy znalazła czerwony szalik. Właścicielka pocięła go na wstążeczki i zrobiła wszystkim czerwone, jaskrawe kokardki. Każda ze swoich zapasów dała, co miała najlepszego. Na serwetkach z papieru znalazły się: kawałki słodkiego suchara, cukier i nawet okruchy dla wszystkich piernika. Ktoś miał referat. Śpiewano rewolucyjne pieśni, międzynarodówkę. Jakoś nikt nam nie przeszkadzał. Więzienie "Łubianka" znajduje się w Śródmieściu, niedaleko Placu Czerwonego. Weszliśmy na stół i otworzyliśmy okienko. Słychać było wyraźnie okrzyki "Ura"/"HRA", wystrzały i odgłosy przemówień Stalina, powtarzane i wzmacniane przez megafony. Nie wytrzymałam nerwowo-leżałam na łóżku i gorzko płakałam. Płakałam, "wstydząc" się w taki dzień znajdować się w więzieniu w..... ZSRR. Przecież zawsze marzyłam o takim dniu na Placu Czerwonym! Towarzyszki uszanowały mój żal. Często widziały ból, żal, to jawnie w dzień to w nocnej ciszy - w poduszkę, by nie budzić innych. Lżej człowiekowi, gdy ma koło siebie drugiego, który rozumie. Nie potrzeba słów. Czasami tylko podany kubek wody lub lekkie objęcie lub pogłaskanie po plecach. W celi zachodziły co pewien czas zmiany. Otwierają się drzwi, dyżurna woła? "Z-zbiera- się razem z rzeczmi". I już po paru minutach, uścisk dłoni. Odchodzi. Dokąd nikt nie wie. Niektóre spałam później w obozie. Przychodzą inne. Oto jedna. Wesoła, uśmiechnięta i nadskakująco uprzejma. Czuło się w tym wszystkim coś fałszywego. Starła się nas wszystkich sobie zjednać. Uderzał fakt: miała więcej swobody od nas wszystkich. Dostaje bardzo duże paczki, często wywołują ją na korytarz. Drażniła jej wylewna dobroć: bez końca narzucała się, częstowała, starała się wkraść w łaski, zdobyć zaufanie. Specjalnie dużo czasu poświęciła mojej osobie. Siadała często na łóżko, blisko drzwi, wciągała mnie w rozmowę. Użała się nad moim losem. Szczegółowo pytała jak przybyłam do ZSRR, po co, dlaczego. Nie chciała uwierzyć że z własnej, nieprzymuszonej woli przebyłam tak niebezpieczną drogą. "Nie mówiła mi o zaufaniu - przyznaj się że się"

że cię za nią zrodziła się pracować dla "niemców". Uporczywie wracała ci-
razy do tego tematu. Wydawało mi się wtedy, że ktoś stoi pod drzwiami. Jaki-
szelesty, To nie była nasza strażniczka. Sąsiadka moja szepnęła mi cicho
w nocy do ucha: "Ostrożnie z nią. To prowokatorka wpuszcili ją specjalnie do
nas, żeby z ciebie wyciągnąć jakieś zbyteczne słówko". no, ale moja "prote-
ktorka, widząc bezskuteczność swoich usiłowań po kilku dniach zaczęła się
dąsać na mnie: "Widzę, że nie ufasz mi. Nie może być, żeby ciebie tak za nie-
przywieźli aż do Moskwy". Stosunki z wszystkimi mieszkankami utrzymywały
się w atmosferze wielkiej niechęci.. Wreszcie zabrali ją.
Czy nie było przestępców politycznych w naszej celi. Czy zawsze oskarżony
był bez winy. Nie, ale byli w ogromnej mniejszości. Przyszła do naszej celi
młodziutka ładna dziewczyna, może około 18 lat/?/. Dostała później jeden
z najwyższych wymiarów kary -25 lat, A oto jej historia, którą nam szczer-
opowiedziała: Należała do komsomołu. Skończyła specjalny kurs pożarniczy.
Pracowała jako ochrona przeciwpożarowa w dużym i ważnym instytucie prze-
mysłowym. Każdej nocy po wyjściu pracowników dyżuruwała w pustym gmachu.
Była młoda i ładna, naiwna. Poznała młodego człowieka, który już od dłuższe-
go czasu prawił jej komplementy, odprowadzał, nosił kwiaty. Dziewczyna zakocha-
ła się w swoim adoratorze. I oto pewnego razu zaproponował jej, by we-
wspólnie dyżurowali w nocy. Był surowy zakaz wpuszczania kogokolwiek w
nocy na teren zakładu. Jednak uległa jego prośbom i pewnej nocy wpuszcila
go. Okazało się, że to był nasłany przez tajny wywiad agent. Odurzył jakimś
napojem dziewczynę, zamknął ją w dyżurce, podpalił w kilku miejscach insty-
tut i uciekł. Dziewczyna cudem wyrwała się z płomieni i poparzona jeszcze
miała tyle przytomności, że zaalarmowała straż pożarną. Instytut poniósł
wielkie straty, ale ocalał. Delikwentka leżała w szpitalu, teraz czeka na
rozprawę sądową. Czuje się winna: "Komsomolka. Zaufali, a ja głupiec dałam
się złapać. Pódelec nie kochał mnie. Przecież mógłam zginąć",
Taka młodziutka. Niektóre więźniarki, patrząc na nią mają łzy w oczach,
przypominając sobie własne dzieło.

A oto druga też wróg polityczny. Pewnej nocy wpuszczono do nas piękną
młodą kobietę w ślicznym stroju. Przezroczysta sukienka z gazy, srebrzyste

pantofelki. Pracowała jako sekretarka tłumacza w ambasadzie japońskiej. Jeden z dyplomatów zaproponował jej wyjazd do Tokio i w perspektywie małżeństwo. Jednocześnie prosił ją o jakiegokolwiek poufne informacje. Otrzymała ostrzeżenie z NKWD, żeby nie zapominała, że jest przede wszystkim obywatelką radziecką. Oczarowana perspektywą dostatniego życia, nie zwróciła uwagi na to ostrzeżenie. I oto poróż, którym wracała z przyjęcia w ambasadzie, przywiózł ją prosto do więzienia na Luriance. To była kobieta, myśląca tylko o dostatkim życiu. Żałośnie wyglądała w swych świecidełkach. Po kilku dniach zeszła farfala z jej włosów, spłynęła wszelka smutność. Niechętnie przyjęła i nasza gromadka rada była, gdy po kilkunastu dniach ją zabrali.

Codziennie wywoływano kogoś na badania do sądziego. Każdy z nas klucza ni ten w oznaczonej porze przyprawiał nas o przyspieszone bicie serca. Po kogoś do sądziego, a może do innej celi.... a może na swobodę?

Na początku dano mi trzy dni na odpoczynek, a później już słyszałam prawie codziennie sakramentalne słowa: "Tjomkina Katulda Mironowna k śledowatjel" /Terkin Matylida do sądziego/. Wywoływała dozorczyń, stojąc w otwartych drzwiach.

Za drzwiami już czekał konwojent z bronią w ręku. Prowadził mnie krużgankiem, pełnym drzwi. I pomyśleć ile tu ludzi w celach czeka na swobodę! Cibrzyni gmach. Czasami przejdzie postać więźnia niosącego gdzieś jakiś kubek ze szmatami, pewnie gdzieś sprzęta. Ale i on pod opieką konwojenta.

Na początku szłam pewnie do sądziego. Tutaj się wszystko wyjaśni. Prędko minął ten nastrój. Szłam jak automat. Same słowo "Sądzia" / śledowatel / wprowadzało jakiś zamęt do mojej głowy, czyniło ją ciężką, obolałą. Prędko rozwiały się wszystkie nadzieje, związane ze śledztwem w Moskwie. Po kilku dniach zrozumiałam, że i tutaj moja sytuacja beznadziejna. Nietylko moją nas wszystkim. Wmawiano we mnie fakty, których nie popełniłam. Wykpiwano i budki moich czynów. Badanie to tylko pusta formalność. Znaczenie ma tylko oskarżenie. Wzięli mnie do Moskwy ze względu na nazwisko Karola Padka.

Teczka z moją sprawą pęczniała, codziennie przybywał jakiś protokół zawierający moje opowiadanie z dzieciństwa, z pierwszej wojny, z Belgii na długości zatrzymali się nad moim pierwszym pobytem w Związku Radzieckim. Ta cała-świata z trzydziestoletnim pobytem, zabierało kilka godzin.

opowiadanie o głośniejszej części mego życia. Podpisywałam kolejny parierok, teczka "pułka", a sprawa ugrzęzła na martwym punkcie. Beznadziejne, stracone godziny, spędzone u sędziego. Gniewał się: "Przyznaj się - przede wszystkim będziesz wolna. No, może dostaniesz parę miesięcy w obozie /i sprawitliwy je trudowyje karierja/-no, a później weźmiesz się do pracy." Milczę, a on: "Uparta ty, ale z nami nie wygrasz." Cóż mogłam mu powiedzieć? Byłam czysta i nie miałam zamiaru przyznawać się do winy nie popełnionej. W celi nie dokończano mi pytań. Czasami próbowały dodać otuchy: "Wojna z Niemcami kiedy w Polsce skończy się. Niejedno będziesz mogła wyjaśnić, poprosić świadków". Wielką radością był stosunek do mnie tych komunistek. One ufały mi. Radością były książki, które w tym okresie "pożerałam". Czytałam w języku rosyjskim klasykę niegdyś czytana w przekładach. Teraz inaczej ją przeżywałam. Budziłam się w nocy i godzinami potrafiłam leżeć z zamkniętymi oczami. Wspomnienia płyną. Teraz dopiero widzę, że to dzieciństwo miało swoje jasne godziny. Radosne chwile w parku, w lesie. Zabawy. Marzenia. Podróże do obcych krajów. Jak to dobrze, że przyroda dała człowiekowi możliwość zapamiętywania. I że w tej mojej beznadziejnej sytuacji - upiększa ją, ozdabiają ciękie godziny.

Oto jedno z wielu wizyt u sędziego śledczego: Jasny duży pokój. Firanki estetyczne, dywany /To przecież Moskwa-reprezentacja/. Duże jasne biurko. Na nim przybory do pisania. Teczki, papiery, całe stosy papierów. Kanapka, obrazy - słowem komfortowy pokój dygnitarza. Po przeciwnej stronie jak zwykle daleko od biurka, blisko ściany krzesło, stołek dla oskarżonego. Konwojent odchodzi. Siadam. Młody człowiek z czarującym uśmiechem: "No, jak się czujecie. Prawda, słyszeliśmy o pewnych głupstwach popełnionych w Czelabinsku /czyżby o próbach samobójstwa?/, ale tutaj sądzę, że wam lepiej i miałaś dosyć czasu wszystko na nowo dobrze przemyśleć i powiedzieć prawdę jak wszystko rzeczywiście było." Znowu bierze kolejny czysty arkusz papieru długopis i czeka. Po co to? Przecież leży przed nim cała sprawa? a on znowu od początku: "No nareszcie proszę powiedzieć prawdę - kto Was przysłał? Ile obiecali zapłacić?" Nie zważa na moje zaprzeczenia.

"Gdzie 'szkolili? Dlaczego tak późno przeszłaś granicę-w lutym, a nie we wrześniu? Na moją uwagę, że byłam potrzebna dzieciom w "Dorze Sierot" wybuchła: "To dobra bajeczka dla grzecznych dzieci". Już teraz krzyczy, mówi do mnie już w pierwszej osobie, na "ty"-nie ma czego certować się tak długo z nią: "Zostałaś, bo trzeba było skomunikować się z Niemcami. Otrzymać instrukcje. Cedzi przez zęby: "ile z tą gadziną czasu tracę!" Zaco ty nas tak nienawidzisz? Przedtem złączyłaś się z kliką, z wrogami, z Radkiem, z burżuazyjnymi profesorami, a teraz z Niemcami". Młoczę co jeszcze mogę mu powiedzieć. Wyczerpałam już wszystkie argumenty. Nie przyjmuję moich tłumaczeń. Widząc, że nie otrzyma ode mnie pożądanej dla siebie odpowiedzi, zmienia taktykę. Przerwa.

Nadruży dzień, gdy siadam podsuwa mi paczkę ę papierosów: "Proszę - są bardzo dobre. Proszę wziąć sobie kilka." Następnie dzwoni i prosi o dwa drugie śniadania". Przynoszą na tacy dwa nakrycia i produkty". Sędzia może jesteś głodna. Chcesz jeść. Cóż ty nie otrzymujesz paczek. A u nas więźniów nie karmią zbyt wyszukanymi potrawami. Ale to może wszystko dla ciebie zmienić się. Widzę, że jesteś inteligentna, wytrwała i zdolna, .Opowiedz jak to wszystko przeszło. Cóż-każdy może zrobić omyłki. Później zaangażujemy cię do pracy na dobrych warunkach. Nam tacy zdolni ludzie potrzebni do pracy". Czeką na moją reakcję i odpowiedź. Nie mogłam przyjąć papierosów od człowieka, który uważał mnie za szpiega. Jadł przy mnie powoli wyszukane kanapki z polędwicą, kawiozem/?/, ppopijał aromatyczną kawę o podsuwał ciastka. Nie przyjął i tych smakołyków. "No, cóż-mówi po skończonym śniadaniu-"pomożemy twojej pamięci". Na nowo wziął się do pisania. Żądał powtarzania jeszcze raz wszystkich faktów, chciał złapać mnie na jakimś błędzie, kłamstwie. Gdy opowiadałam o Iwojnie światowej i o powrocie do kraju, padła replika: "No tak, odrazu uciekłaś od rewolucji do pańskiej Polski. A każdy porządny człowiek zostawał w kraju Rad." Moją uwagę, że byłam małoletnia zależałam od rodziców, że Polska wtedy nie była pańska-nie zareagował. A w protokule podkreślił zdanie: Uciekła do Polski, gdy w ZSRR wybuchła rewolucja. Nie chciałam podpisać tego protokołu. Odprowadzono mnie do celi. A na pożegnanie:

"Masz czas. Poryśl zastanów się dobrze nad tym wszystkim co ci powiedziałem. Nie pomoże przeciąganie sprawy. My i tak wszystko wiemy. Wiemy, żeś nas sprzedawała. Nas nie oszukasz. Nie mogę tak długo z tobą tracić czasu. Znajdę inne sposoby. Są i surowsze więzienia". Stuknął pięścią w stół. Po powrocie do celi wetknęłam głowę w poduszkę i tak przeleżałam kilka godzin. Towarzyski delikatnie nie pytały o nic. Twarz moja mówiła za wszystko. Ledwo przed nocą zmusiły mnie do przełknięcia kilka kęsów chleba. "Trzeba mieć siłę, by wszystko przenieść. One już to znają. A tak wierzyłam, jadąc do Moskwy: "Tutaj aparat sprawiedliwości jest lepiej zorganizowany. Moja niewinność łatwiej zostanie dowiedziana. Przecież faktycznie nie mają konkretnego dowodu przestępstwa. Wszystko oparte na domysłach. Na drugi dzień przesłuchanie zaczęło się od razu po pierwszym moim zaprzeczeniu, ostrzej." Radzę ci mówić prawdę, bo może być gorzej. Jeszcze nie jesteś stara, czego gubisz siebie." I znów jedno i to samo w kółko: "Wszystko wiemy. Chodzi, byś ty nam uczciwie sama opowiedziała." Nowy arkusz papieru. Dalszy ciąg mojego opowiadania. Teraz o Belgii. Czasami myślę teraz: Czy trzeba było wszystkie najdrobniejsze szczegóły opowiadać. Bo oto, gdy mu mówię o przynależności do koła studentów Marksistów i do koła studenckiego Samopomocy żydom cudzoziemcom - woła radośnie: "Ty nietyko szpieg. Ty nacjonalistka żydowska." Na moje argumenty, że to był nakaz komunistów belgijskich, by przenikać do wszelkich kół, by werbować nowych członków, przekonywać ich podczas dyskusji studenckich, starać się przenikać do ich zarządu - nie reaguje. Zadowolony, że nareszcie mógł się ucześcić jakiejś bardziej skokretyzowanej winy: "Masz paragraf za przejście granicy, za szpiegowstwo, a teraz za nacjonalne grupowe działanie". Nie chciałam podpisać i tego protokołu. Rozgniewał się: "Pośadzę cię do karceru. Nie będzie ci tak dobrze jak w ogólnej sali. Zbyt łagodnie obchodzę się z Tobą." Zadzwoił. I oto prowadzą mnie gdzieś inną drogą. Mała ciaska pusty pokoik. Nie pamiętam zdaje się był tam tylko stół. Nie pamiętam, bo wszystko było mi jedno. Płakałam noc całą. Znów przesłuchanie. Zaczyna się jak zawsze: "No co, namyśliłaś się? Widzisz - może być gorzej." Milczę. "Znów grozi: "Dostę ceregieli z tobą.

- 6 -

Tę więzienia surowsze, chociażby Lefortowo lub Suchanówka. Czasy są teraz niepewne, trudne - pod ścianą takich wrogów - szpiegów. "A jednak dalej wyciąga nowy arkusz papieru. Nowy protokół. Zatrzymał się przy sprawie mego wyjazdu w 1934 roku do ZSRR. "Zobaczmy czy poznasz twoich przyjaciół. Przyniesiono mi cały album fotografii i kazano przejrzeć je i pokazać osoby które znam. Pознаłam tylko profesora socjologii z Instytutu socjologii w Brukseli. To był Polak z pochodzenia, kolega szkolny Radka. To on jak już mówiłam, chciał mi ułatwić otrzymanie pracy na uniwersytecie w Moskwie. Prawdopodobnie był w albumie Radka jako pamiątka kolegi ze szkoły. Wstawiano mi znajomości - jeszcze innych osób, których nie znałam. Specjalnie jakiegoś Greka. Obca zupełnie dla mnie twarz. "Miałeś stosunki z wrogami naszego kraju, to oni socjaliści belgijscy przysłali Ciebie do nas na robotę. Ale nie udało im się. I tobie też. "I tego protokołu nie chciałam podpisać. Wtedy wszedł do pokoju inny mężczyzna, wysoki, potężny. Czy przypadkiem. Raczej myślę, że to była ukartowana scena. Zwrócił się do mojego sędziego: "Patrzę, jak ty długo z nią rozprawiasz. Czego ty się z nią tak cackasz z wrogiem przeklętym, Ot, tak z nią trzeba, wtedy wszystko prędzej powie. "I przy tych słowach trzasnął mnie z całej siły mocną, szeroką dłonią w twarz. O mało nie spadłam pod tym silnym uderzeniem z krzesła. Zapiekło z bólu. To był początek surowego kursu. "Jeżeli trwać będziesz w uporze - prześlą tam, gdzie znajdą na ciebie sposób. "Naprawdę twierdziłam że rozumiem ich postępowanie, bo do państwa socjalistycznego przedostaje się element przestępczy, więc stracili wiarę w słowa, zupełnie i mnie nie wierzą. Więc została mi tylko jedyna broń - milczenie. Nie mam już o czym opowiadać. Nie znam sposobu, aby przekonać, że nie jestem szpiegiem. "Nie wierzę. Miałeś dobre stanowisko, uznanie, pieniądze. I raptem wszystko rzuciłeś?" - to ostatnie słowa od mojego sędziego na Łubiance.

W nocy miałam straszne sny. Umiera moja matka, płacząc, że chce mnie przed śmiercią zobaczyć. "Gdzie ona - woła i wstaje umierająca, by mnie szukać. Może to wpływ opowiadań moich współtowarzyszek. Każdy opowiadał jak go tortowali. Areszty nagle nieoczekiwane, po większej części w nocy. Czasami z żalosnym płaczem dzieci, z brutalną rewizją. Czasami zabierano których z

6
- 57 -
wprost, z łóżek. Bywało, że ci eremu doktor przepowiadał bliską śmierć - trzeba było walczyć, by uśmierzyć jego ból, a transport do celi więziennej przyspieszał jego koniec. Nie pomagały prośby i rozpacz najbliższej rodziny. A jeszcze gorzej, gdy wyszedł do miasta, na zebranie i nie wrócił więcej do domu. Są matki, które dotychczas czekają na powrót takiej najdroższej istoty-własnego dziecka-syna, czy córki. Lata przechodzą, a ona czeka. Wiele osób opowiadały w ten sposób zniknęły z horyzontu. Działacze polityczni, inteligencja, nawet wojskowi. Przepadali jak pyłęk we wszechświecie. Ile żon i matek-nie wie jaki był koniec życia ich najbliższych.

Dotrzymał słowa sędziego. Nie nadaremnie straszył. Przszedł taki straszny dzień. Ta sama procedura: "Tjomkina Matylida Mironowna zbierać się z rzeczami" Więć zdążyłam tylko serdecznie uścisnąć dłonie, ujrzeć serdeczne spojrzenie. Żał mi towarzyszek, które pozostawiam. Niektóre polubiłam za prawość ich charakteru, wyrozumiałość dla towarzyszy, współczucie. Czy jeszcze je spotkam w życiu? I rzeczywiście z niektórymi spotkałam się w transporcie do obozu.

Najwięcej spotkałam w więzieniu transportowym, w Butyrkach, gdzie już po wyrokach sądowych, sklasyfikowani jako wrogowie Państwa Radzieckiego wszyscy według paragrafu § 58, ale różnych szczebli/Zdaje się jak w układzie bibliotecznym-10 podpunktów/ oczekiwaliśmy na transport który rozrzucił nas po różnych "wychowawczych" obozach. Czasami przez pewien czas na jednym obozie, ale praktyką-rozdzielanie, przerzucanie ludzi. Częste etapy-rozproszyły naszą gromadę. Stopniowo ktoś ubywał. A przecież przeżyte wspólnie cierpienia łączą ludzi tak jak w rodzinie nawet więcej i silniej.

I tak zostało dla mnie dotychczas tajemnicą-kto z nich przeżył do wyzwolenia, przetrwał i obozy i zesłanie i być może, zrehabilitowany tak jak ja-żyje wśród normalnych warunków i pracuje. Niestety tak jak już zaznaczyłam-wszystkie ciężkie przejścia-wyżłobiły jakąś straszną wyrwę w mojej pamięci. Nie zachowały się naswiska. Tylko czasami we śnie pojawi się jakaś twarz.

Lefortowo.

Kiedyś czytałam książkę Alekseja Tołstoj "Piotr Pierwszy", gdzie były opisane okoliczności powstania tej twierdzy, zbudowanej według projektu Szwajcara Leforta, ulubieńca cara Piotra Pierwszego. Tam odbywały się świdrenia przysiężnych żołnierzy. Nigdy nie myślałam, że tutaj spędzę najstraszniejsze godziny mego życia. Teraz Lefortowo-to więzienie "z jego grubymi i masywnymi murami setki ludzi tęskni za wolnością. Karafka więzienna/Czarny Worek/ przywiozła mnie na dziedziniec więzienny. Solidność i masywność murów. Nie dano mi długo oglądać-masywne wrota wpuściły mnie do środka. To już nie uroczystość Łubianki. Oszły, surowy urzędowy ton. Rewizja osobista. Prowadzą mnie do celi. Jakaś absolutna martwa cisza. Tak jak wszędzie między galeriami-schodami siatki ochronne.-przed samobójstwem więźniów. Długie galerie z setkami drzwi do cel. Podnoszę głowę: kilka pięter tych galerii. Wielki grób z kamienia i teli. Tutaj siedzą więźniowie za poważniejsze przewinienia. I tacy jak ja, uparci. Myślę-Łubianka to pokazowe więzienie-stąd i reżym łagodniejszy, warunki żywienia lepsze. I formy badania łagodniejsze. Więcej praworządne. Otwierają się drzwi-wpuszczają mnie do celi. To już zaje się 4-ta w mojej "karierze" więziennych. Zimno, szaro, nieprzytulnie. Daleko jej do celi na Łubiance. Żelazne łóżko, stołek, ubikacja w celi. Wysoko pod sufitem miniaturowe zakratowane okienko. Półmrok. Nad łóżkiem, tam gdzie głowa więźnia winna spoczywać-lampka-żarówka. Drzwi zamykają się za mną. Straszna cisza aż dzwoni w uszach. Jestem w kamiennie-żelaznej klatce. Najstraszniejsze -to samotność. Siedzenie w pojedynkę-to podwójna kara. Sama w tak ciężkim położeniu. Ostatnio na Łubiance zrozumiałam beznadziejność mego położenia. Ale tam byłam w grupie ludzi, która współczuła ci. Często rozumiała bez słów, jak gdyby przeżywała razem z Tobą. Tyś nie zasklepiałaś się tylko w swojej sprawie żyłaś ich troskami i bólem. Codzienne rutynne, zorganizowane życie nie pozwalało oddawać się zupełnej rozpacz. Dzień był wypełniony treścią. W wolnych chwilach rozmowy z mądrymi i wykształconymi kobietami pozwoliło mi rozszerzyć mój horyzont myślowy, doceniło moją wiedzę o Twórcy Państwa.

Teraz już zupełnie sama, odłana na pastwę ciętkie, ponuryci rozryśla. Nie na wpaść w obłąd. Tęta, bo mimo tych wysiłków, nie chcą mnie przyjąć w poczet swych obywateli, uważając za wroga, wroga szkodliwego. Jestem w tej chwili bankrutem życiowym. Ta ciężka cisza. - kontrast z Łubianką, gdzie czasami dochodzą odgłosy miasta, życia ludzkiego. Postanawiam ratować się snem, ucieść od męczących rozryśla. Kładę się na łóżko, chcąc uspokoić wzburzone nerwy. Ale natychmias otwierają się z brzękiem drzwi i głos ostry, surowy: "Tutaj nie wolno spać w dzień. Kłaść na łóżko można tylko w nocy." i urągliwy dodatek: "Tutaj nie pensjonat". Oto już druga klęska w Lefortowie. Pierwsza - to pojedyncza cela - samotność. Druga - to zakaz snu. Ten to sposób ucieczki od smutnej rzeczywistości, skrócenie ciężkich godzin więziennego życia. Cudowny i niezawodny środek leczniczy dla wyczerpanego organizmu, a przede wszystkim wymęczonego badaniami systemu nerwowego. Jak wypełnić długie i samotne godziny. Ani książki, ani przyborów do pisania. Jak uratować się przed obłąkaniem? Po pewnym czasie otwierają się drzwi - jedyny dźwięk - niesamowity dźwięk kluczy. Proponują mi miskę zupy. Nie chce mi się jeść, coś dusi w gardle, trudno coś przełknąć. Siedzę na stołku. Powoli zagłębiając się myślami w przeszłość. Jestem już kilka miesięcy w więzieniu. A przecież od 7 stycznia, dnia aresztu u wydają mi się, że już wieki całe upłynęły. A to dopiero wiosna. Podczas spacerów na dachu Łubianki czułyśmy już podmuchy wiosennego powietrza, wiatru. Gdzie teraz moja rodzina? Czy żyją rodzice, siostry. Tam wojna buszuje, świat w oparach wojny. Ale mnie się wydaje, że nam najgorzej - więźniom w kraju socjalistycznym. Za winy niepopołnione. A przecież była taka piękna praca z dziećmi w Zimowisku. Czy czasami mnie wspominają? Podnoszę głowę - okienko czarne - przyszła niepotrzebna noc. Zapaliła się lampka. Co za ulga: będzie można zasnąć, ucieść na kilka godzin od rzeczywistości. Szybko układam się - jak na więcej przespać! Zasypiam. Otwierają się drzwi i pada komenda: "Przygotować się na przesłuchanie". Ubieram się. Czy tutaj może być sprzeciw? Konwojent prowadzi mnie przez długimi schodami i korytarzami do sądnego. Nie wierzę już w nic do...

Spuszczają mnie do dużego pokoju prosto i surowo umeblowanego. Na obrac
zasłony. I tylko znów biurko i łóżko na nim. Moja pozycja na wierzbę u.
Tradycyjne krzesło pod ścianą dla oskarżonego. Za biurkiem starszy mężczy-
zna w wojskowym ubraniu.: "Już znany się"-mówi wojskowy. Przeglądałem
papiery. "Zyłałem prookoły". Coś jeszcze tam przegląda. Przez ułamek
sekundy przebiega naiwna myśl: "A może ten zrozumie bezsens, bezpodstaw-
ność oskarżenia? Może starszy, doświadczony pomoże mi wyjść z tej matni?"
Naiwna! To przecież jeden system? Oskarżony nie może być bez winy.
I odrazu słyszę głos: "Zabierać nam tyle czasu, kiedy twoja wina udowod-
niona. Przejście granicy. Szpiegowstwo. Wspólne wystąpienie nacjonalistyc-
ne. Jakie to wszystko nielogiczne! Jeżeli wina udowodniona/kiedy. Jak?/
to poco dlaczego mnie tutaj znów przywieźli? Dlaczego do ostatniej
chwili mój sędzia z Łubianki pisał się z gniewu./Czasami myślę, czy
każdy sędzia nie dostawał premii pieniężnej, gdy mu udawało się dopro-
wadzić oskarżonego do implikowanego mu zarzutu/. Ja uporczywie przez
cały czas odrzucałam obwinienie. Jedyne-tonaruszenie bezprawnie granic
ZSRF. Ale przecież wtedy tysiące uciekało przed faszystami. Nie podpisy-
wałam oskarżenia. Słyszę głos od srony biurka: "Tyle ceregieli z tobą
i kłopotów." Usieliśmy się tutaj sprowadzić. Bo u nas nie ma wypadków,
żeby ktoś się nie przyznał". Milczę. Słowa moje dla nich puste dźwięki.
"A może teraz, gdy cię uprzedziłem wrócisz ostatni raz do celi i w sa-
motności wszystko przemyślisz, zmądrzejesz. I następnym razem sama opo-
wiesz wszystko, Po co się męczysz?" Po co? Nie chcę umierać z piętnem
wroga kraju socjalistycznego. To moja odpowiedź sobie-wewnętrzna.
Dzwoni. Konwojent odprowadza mnie do celi.. Tam wybucham spazmatycznym
płaczem. Nigdy nie chorowałam na histerię, a tutaj szlochalam głośno,
nie mogąc się opanować. Prawdziwy atak. Obserwowano mnie przez "judasza
Zawzwano starszą bdytarzową. Ta otworzyła drzwi i surowo kazała mi
natychmiast uspokoić się. Bez rezultatu. Wtedy przyszła jakaś kobieta
/pielęgniarka?/ przyniosła jakiś płyn w kubku i zmusiła mnie do wypici
wlewając przemocą w zaciśnięte zęby. Uspokoiłam się i zmęczona atakiem
usnęłam. Na drugi dzień mówiono do mnie łagodnie. Dano kieliszek do czyszczenia

21
kę do czytania. Książka ta stanowiła mój największy skarb, pomogła mi
wyjść na krótki czas poza mury więzienne, skróciła samotność. Za drzwiami
stał ktoś obserwował moje zachowanie. Oko sterczało w judaszu.
To materiał potrzebny sędziemu. Po 3 dniach - rano w nocy - wezwano mnie
dotego samego pokoju. "Chyba miałeś dość czasu, by uczciwie wszystko
opowiedzieć. Szatan." Milczę. Sód mu powiem. że niezależnie od wszystkiego
nie przestaję wierzyć w rację istnienia państwa komunistycznego. Jakaś
potworna omyłka. Brudno. Będę ofiarą, ale nie przyznam się do błędów,
których nie popełniałem. Wojskowy krzyczy: "Przecież jesteś szpiegiem.
Milczę. Mur nie do przebycia między nami. Wojskowy wali pięściami po
biurku. Krzyczy: "Powtarzaj za mną. Jestem szpiegiem/szpieg/. Milczę.
Jak mogą rzucać na siebie takie brudne oskarżenia.. Dobiega do mnie
w strasznym gniewie. Później dzwoni. "pogadaj z nią. Nie chce przekłeta
przyznać się, że jest szpiegiem. Ten drugi staje przy mnie z dużą grubą
linijką: "Mów bez przerwy. Jestem szpiegiem." Lzy ciurkiem płyną po mo-
jej twarzy. To nie wzrusza mego dręczyciela. Uderza w całej siły w po-
ręcz krzesła, na którym siedzę, tuż koło moich rąk. W głowie szum, chaos.
Milczę. Mocne uderzenie pada na moje ręce. Nieznośny ból. Milczę. Dru-
silniejsze uderzenie. Jestem bliska omdleniu. Jak najprędzej wyrwać się
z tego piekła. Może zdążyć trochę pospać. I ostatecznie nerwowo wyczerpa-
na powtarzam jak automat za nim: "Jestem szpiegiem." Gdy zmęczona tym
testem psychologicznym przerywałam na chwilę, bił boleśnie po rękach:
"Mów swołocz". To trwało całą noc. Celowo zaprowadzono mnie do celi,
gdy już zaczęła się pobudka ranna i według regulaminu nie wolno spać.
Usiadłam z książką w ręku. Zapomniać o strasznej nocy. O myśli, że w
sądownictwie używa się takich okrutnych metod. Niestety, zmęczona
przeżyciami ostatniej nocy - zasnąłam nad książką, w jednej chwili z
traskiem otworzyły się drzwi - i zabrano mi książkę. Teraz zostałam
zupełnie bezbronna. Silny ból głowy po nieprzespanej nocy, ból potłu-
czonych rąk, a w perspektywie nowe przesłuchiwanie w nocy. A teraz brak
książki. Więc gdy mi przyniesiono jedzenie, oznajmiłam, że nie będę ja-
dała dopóki mi nie zwrócą książki. Wylałam całe jedzenie do umywalki.

Przez cały dzień obserwowano mnie przez nienawistne okienko w drzwiczki czy nie śpię. Tak jak przewidziałam wieczorem osłabioną, wywołano na przesłuchanie. Ledwo doszłam, osłabiona głodem i bezsennością. Siedziałam na krześle pod ścianą, nie rozumiejąc znacznej części pytań, skierowanych do mnie. W przerwie głowa opadała mi na dół, zasypiałam. Wtedy silne uderzenie mocną linią w stół i groźny okrzyk "Temkina nie spać"-podrywało mnie aż z krzesła. W tym moim stanie ten szok nerwowy wywołany okrzykiem i uderzeniem pozostawił mi niezatarte ślady na całe życie. Bo i teraz, gdy nagle usłyszę ostry dźwięk/wystarczy, że pęka na ulicy opona samochodowa, ktoś nieoczekiwanie zawoła/wzdrygam się cała. Reakcja niewspółmierna do bodźca. A sędzia wtedy mało mnie pytał: po prostu trzymał, żebym nie mogła spać. I tak kilka razy przeżyłam silny wstrząs nerwowy. Systematycznie niszczone mój system nerwowy. Osłabiona-latwiej ulegnie poddawanej jej sugestji. I tak trzymał mnie aż do południa-rannej, gdy już żegnał łóżko i zapomnienie. Kiedy mój "dręczyciel" był zajęty, wszystko jedno wywoływano mnie wieczorem i wtedy pilnował mnie ktoś inny-młodszy. Jego rola-tylko siedzieć i nie dać mi spać. Kiedyś jeden jakiś młody-inny/Czy byli tam wogóle inni? Chyba tylko służbiści, którzy schowali uczucie litości u siebie w domu w biurku?/zapytał.: "Czy nie miałam wrogów? Kto mógł napisać taki donos?"

W dalszym ciągu nie przyjmowałam jedzenia. Powoli ku mej radości-słabiałam. W dalszym ciągu marzyłam o śmierci. Bo w tej sytuacji tylko ona może mnie wybawić. Codziennie wyprowadzano więźniów na spacer. Była to komedia. Chodziło nie tylko o zdrowie więźnia ile potrzebę przetrwania-nięcia wszystkich kątów celi. Od czasu, gdy i impetem rzuciłam się podczas spaceru na mur, chcąc rozbić sobie głowę-czułość dozoru wzrosła się. Pokaleczyłam sobie głowę, ale żyłam. Spacer odbywał się na kamiennym kawałku odrodzonej przestrzeni. Prawdopodobnie podwórce podzielili na kilka takich oddzielnych kawałków, bo każdy więzień spacerował w pojedynkę. To nie jest ścisłe określenie., bo ja chodziłam z 2 konwojentami: jeden przed moją wałką, drugi za mną, I tak kawałek w ciszy około dziesięciu minut.

Ani ptaka, ani trawki i odgłosu życia ludzkiego. Tylko powietrze mimo ponurego podwórka, wydawało się cieplejsze. To chyba już wiosna w pełnym rozgarze. A może i lato. Straciłam rachubę czasu. Nie interesowało mnie już życie. Jaka różnica - który to mi sięć, dzień. Wiem tylko zapadnie zmrok i znów zaczną się moje ciężkie godziny. Po 4 dniach głodówki nie miałam siły iść na spacer. Leżałam nie chciałam wstać. Kłownojenci czekali, a ja przeciwstawiłam się dyżurnej, która podnosiła mnie ze stołka, leżałam z głową na stoliku. Za dzwiami zrobił się jakiś ruch. Prawdopodobnie zameldowano naczelnemu o moim buncie. Przyszedł z lekarzem. Ten ostatni wziął i zbadał mój puls, wysłuchał serce natychmiast kazał mnie przyprowadzić do ambulatorium więziennego. Pyszeptał z oddzwierną. "Wszystko zrozumiałe - głodówka". Dwóch silnych sanitariuszy podniosło mnie siłą ze stołka i mimo mojego oporu prawie zaniósł do ambulatorium. Nie pomogła moja chęć śmierci. Posadzono mnie na krześle i dwaj sanitariusze trzymali mnie silnie za ręce. "No, cóż zachciało się na tamten świat - powiedział lekarz i zaczął stosować sztuczne odżywianie. Wlewali przez jakąś rurkę chemiczny roztwór. Szarpałam się, kręciłam głową. Nic nie pomogło. Ich było trzech mężczyzn, po ich stronie była i siła. Po zakończonym zabiegu zaprowadzono mnie do celi. Rozpacz moja, granicząca z wsieklnością nie miała granic. Jakiś nawet mi umrzeć nie dają. Nie wygrają życie do mnie należy." ŚZ pasją wsunęłam głęboko palce do gardła i zwymiotowałam z siłą wlane we mnie pożywienie. Przysłano mi kawałek białego chleba i kubek mleka nie tknęłam. Prawdopodobnie oko w judaszu zauważyło, co robiłam. Bo oto drzwi się otwierają z hałasem i przybiega komendant więzienia. Pieni się ze złości: "Co ty błazna będziesz sobie ze mnie s'roić? To tyle czasu straciliśmy daremnie na takie "tatałajstwo". U nas tutaj więzień umiera nie kiedy on chce, a kiedy my chcemy. Umiesz, gdy wszystko wypiewasz. Nie damy ci umrzeć bezkarnie." Dał rozkaz i znów dwóch silnych mężczyzn zaniósł mnie do tego samego ambulatorium. Ale tym razem - ubrano mi długą koszulę, kaftan bezpieczeństwa jak dla szaleńców. Przywiązano mnie tak mocno do krzesła, że nie mogłam się wcale ruszać. Bezcelowe - wszelki opór na nic. Wlano mi po raz drugi porcję słonego chemicznego

restworu. Tym razem postanowili być oszczędniejsi. Po "operacji" położyli mnie na drugim operacyjnym stole, przywiązali rozpięciarni ręce i nogi. Lotałam tak długo aż lekarz oznajmił sanitariuszom, że mogą mnie odprowadzić. Już wystarczył: ros wór został włożony przez mój organizm. I znów jestem w celi. Przegrałam. Moje wysiłki, by uciec od życia poniosły fiasko. Znów szklanka mleka, biały chleb. I spokój. Spokój krótki. Już następnego wieczora mój sędzia kręczał jak lekarz i naczelnik więzienia: "Nie umrzesz aż podasz mi nazwiska twoich współników. Przed śmiercią musisz wszystko opowiedzieć. Umrzesz, kiedy będziesz nam już niepotrzebna."

Następnego dnia zaczął mnie inaczej torturować: "Dlaczego przez swój upór niszczysz życie nie tylko swoje, ale i siostry twojej, u której mieszkałaś w Magitowsku. Ona przeklina ciebie i te chwile, które u niej spędziłaś. Posłuchaj. Ja akurat teraz badając" uchylił jakieś drzwi za kotarą. Słyszę jakiś straszny płacz, okrzyki bólu, rozpacz. Ktoś krzyczał pewnie katowany. Moja rozszarpana wyobraźnia wyraźnie słyszy dźwięki głosu mojej siostry. Rozpacz moja nie zna granic. Wierzę, że to ona, podejrzana i zaaresztowana łącznie z moją sprawą. Zginie, a z nią i małe dziecko. Sędzia obserwuje moją reakcję na te okrutne dźwięki: "Przyznaj się, podpisz papiery, że pracowałaś dla trockistów i Niemców, a natychmiast zwolnimy siostrę - słyszę głos kuszący od strony biurka. "Zabijcie mnie - wołam histerycznie, zobaczcie moje serce, a wtedy zobaczycie, że nie mam się do czego przyznawać. Zrobiłabym to chociażby ze względu na moją siostrę i jej nieszczęście."

/Okazało się później w Polsce, że ta scena została zrobiona, siostra wcale wtedy w Moskwie nie była/. Zakłamana i rozpaczona po powrocie do celi postanawiam w dalszym ciągu walczyć o wyzwolenie - śmierć. Czego ja nie próbowałam. Jakich sposobów i narzędzi nie szukałam! Próbowałam roztoczyć okulary, które po "nocnym seansie ukryłam". Niestety zapomniałam o "judaszu". Wzięłam kulek ciasta rozbiłam szkło i polnąłam rozbite kawałki. I znów wchodzi dyżurny, komendant. Na się rozbiegał natychmiast okulary. Wieczorem sędzia sygnalizował: "Naiwna wciąż jeszcze"

- 75 -

sama ciężko rozporządzać swoją osobą. Kiedy kazał mi podpisać protokół, odmówiłam: "Nie widzę dobrze bez okularów. Nie podpiszę." Nie podpisywałam mimo jego krótkie i krzyku.. Ostatecznie kazał przynieść okulary, a później schował je do biurka. Marzenia o śmierci nie opuszczały mnie. Pewnego wieczora, gdy było już ciemno-wzięłam jedwabną pończochę, zrobiłam z niej pętlę, drugi koniec przywiązałam do żelaznego łóżka. Była akurat chwila zmiany warty. Tajęci mnie obserwując/Wsadziłam głowę w pętlę. Liczyłam-zmęczone serce nie wytrzyma, gdy ręką mocno pociągnę. To wszystko ukradkiem pod kołdrą. Straciłam przytomność, rozluźniłam ucisk. Czuł się oko w judaszu zauważyło, że leżę nie przepisowo, Weszli. Rewizja i zabranie mi ostatecznie pończoch, wszelkich gumek w pieliznie. Teraz zmuszona byłam rękoma podtrzymywać całą swoją garderobę. Straciłam wszelkie poczucie wstydu, nie zależało mi na niczym. Stałam się bezduszna, apatyczna.

"Zobacz co się z Ciebie stało-mówił jakiś młody zastępca: "Widzisz przecież my silniejsi". Moja walka nie o życie, a śmierć nie przestała zajmować moich myśli. Poco i dla kogo żyć? Dlaczego bankrut życiowy mam się jeszcze tak męczyć? Próbowałam dusić się, znów potajemnie wylewać jedzenie, połknęłam culem ocalały ostry guzik, biłam znów głową o mur. Wszystko daremnie. Strasznie schudłam, ale medycyna zawsze w porę interweniowała.. i nadal istniałam. Goniona resztkami sił. Noce bez snu ciągnęły się bez końca. Drzemałam ukradkiem, siedząc na paraszy lub stołku. Bliska obłądu ożywiałam się nieco, kiedy przez okienko zakratowane-pod samym sufitem wpadał czasami na chwilę promyk słońca. Na minutkę zajrzał i zniknął. Mogłam czasami cały dzień czekać na jego pojawienie. Najpierw wysoko jak zajęczek dzieciący pod sufitem, później pobłądzi chwil kilka po ścianie, i niestety zniknie. Wstaję, opiram się o to miejsce, gdzie przeszedł, gładzę ręką jak gdyby jeszcze ciepłą ścianę. Dni coraz dłuższe, okienko jaśniejsze. Rośnie tęsknota za zielenią, za lasem, błękitnym niebem. Chyba już całe wieki żyję w tym kamiennym, zimnym "locku". A przecież już zaawansowana wiosna lub początek lata. Czuję na spacerze cieplejszy powiew wiatru. A i konwojenci ubrali lżejsze mundury.

Pewnego dnia usłyszałam silne wysłukiwanie w ścianę z sąsiedniej celi. Zorganizowano scenę, ale zbyt nieudolnie. Pukanie powtarzało się przez cały dzień z niewielkimi przerwami. A oko Judasza wciąż pracowało. Nie reagowałam. Resztą nie znałam więziennego alfabetu. A wieczorem: "Próbowałam porozumieć się z innymi. Na nic twoje wysiłki. Dzisiaj każe cię już przeprowadzić do celi śmierci. Koniec. I tak zbyt dużo czasu na ciebie poświęciliśmy. Może chociaż w godzinę śmierci coś nam powiesz. Przeprowadzono mnie do innej celi, mniejszej na inne piętro. Na drzwiach celi "Kabina śmierci/Zastraszyc?/. Nie wyprowadzono mnie jako skazańca na spacer, nie dostałam obiadu. To wszystko, żeby podkreślić specyfikę mego położenia. Następnego dnia nowy sędzia Śledczy. Na początku próbował starą metodę. Łagodnie-niby wierzy w moją niewinność, ale bywają omyłki nie chciałam może źle. Namówili i t.d. i t.d. a po mojej głowie znów uporczywie błąka się stara myśl: "Widzę, że nie mają żadnego konkretnego faktu mojej urojonej winy. Jakto, więc w państwie demokratycznym-w ZRR może istnieć takie niszczenie praworządności? To mnie więcej dręczyło niż myśl o śmierci" Ó Jak to dobrze, że już koniec wszystkim cierpieniom! Jaką łagodność ta była maskaradą! Po 2 dniach 2 konwojenci zaprowadzili mnie do nieznanego uprzednio pokoju. Okna zasłonięte bardzo grubymi kotarami. Wszędzie dywany, które tłumią kroki chodzących. W jasny dzień w pokoju paliło się światło elektryczne. Siedzę. Czekam. Słyszę za ścianą przenikliwe jęki, okrzyki bólu-kogoś męczą, biją. Czuję jak za jedną kotarą ktoś się ukrywa i ukradkiem obserwuje, jakie to wszystko wywiera na mnie wrażenie. Wzdrygam się po każdym okrzyku bólu. Drzę cała. Moje cierpienia zaostrzają wrażliwość- na cudzy ból., na brak sprawiedliwości. To przemoczą rządzi w sądzie Państwa Socjalistycznego? Wchodzi nowy sędzia: "Słyszysz, ostatni raz cię uprzedzam. Tak będzie i z tobą, jeżeli nam prawdy nie wyjawisz. Musisz wyjawić prawdę. Prawda dzielnie broni swoich współników. Ale wszystkiemu i naszej cierpliwości musi być kres. Pytam po raz ostatni." Jakie zadania dał ci do wykonania Radek. Z kim miałś s'porunkować się w 1934 roku? A teraz jakie zadanie

- 35 -

Wstrzymałam od wiadomości? Czekałam kilka minut." Milczę. Już wszystko powiedziane. Patrzy na mnie, czeka.: "Nie chcesz mówić?". Naciska guziczek dzwonka. Wchodzi dwóch silnych osobników z gumowymi pałkami w rękach. "Nauczcie ją grzeczności. Odpowiadania na każde moje pytanie." Przybyli siadają po obu stronach mego krzesła. A sędzia: "Więc na poczekaj. Co kazał ci wypełnić Nadek. Milczę. Przecież już mówiłam, że osobiście nawet nie spotkałam Nadek. Ułamek sekundy w oczekiwaniu na odpowiedź i oto pada pierwsze mocne uderzenie w rękę. Następuje znów pytanie. I rezultat obustronne uderzenia w ręce. Jak zwykle łzy płyną z bólu, a jeszcze więcej z poczucia niesprawiedliwości, niezaskuszonej krzywdy i przemocy. I tak parę razy. Teraz już uderzenia coraz silniejsze w przyspieszonym tempie. Biją w uda, pośladki, w plecy. Ból straszny. Nie mogę powstrzymać się od okrzyków bólu. Sekundowe przerwy na pytania. I katowanie kontynuuję się. Tym uderzona, osłabiona wreszcie nie wytrzymuję i padam z krzesła na ziemię. Budzę się, wróciłam do przytomności. Leżę cała mokra, w kałuży wody, którą prawdopodobnie moi oprawcy wyleli na mnie, by mnie przywrócić do przytomności. Dzwonek. Wchodzi "towarzysz doktor. Bada mój puls, wlewa przemocą do ust jakieś lekarstwo i coś szeptem mówi sędziemu. Słyszę urywek: "Serce w niezłym stanie". Wychodzi. Moi oprawcy podnoszą mnie z ziemi, znów posadzili na krzesło. Pada pytanie: "Czyba masz już dosyć. Teraz chyba uczciwie odpowiesz?" Znów operacja powtarza się. W odpowiedzi tylko strumienie łez. Padają silne uderzenia na plecy, pośladki, wszędzie. Krzyczę z bólu i znów padam na ziemię. Zemdlałam. Woda wylana z wiadra na głowę wraca mi po wtórnie przytomność. Sędzia naciska dzwonek. Wchodzi ten sam lekarz. Coś szepcze sędziemu. Padają się. Prawdopodobnie lekarz podkreśla niebezpieczeństwo dalszego "śledztwa" w obecnej chwili. Serce może nie wytrzymać. Następuje przerwa. Pali mnie całe ciało. Patrzę na tych czterech mężczyzn. Jak się czują oni? Pokonali słabą kobietę? A ten lekarz? Czy ma prawo nazywać się lekarzem? Nie pali ich wstyd? Nawet jeżeli rozkaz. To czy zawsze sumienie pozwala na wykonanie wszelkich rozkazów? I to nie tylko w stosunku do mojej osoby. Ale przecież ja ci

- 47 -

i okrzyki bólu słyszane za ścianą. Ile w tym domu jest takich zatwardziałych grzeszników jak ja? A ile jest takich zacisznych gabinetów, zamaskowanych przed światem. Po "badaniu" prowadzą mnie do celi, podtrzymując z dwóch stron, gdy ślania się na nogach. Tej nocy zostawili mnie w spokoju. Mała pociecha. Nie mogłam spać. I z bólu i z poczucia wielkiej krzywdy. Znowu długi atak spazmatycznego płaczu. Śmiałam się i płakałam jednocześnie. Nie nie mogło mnie uspokoić. Krzyczałam, tłukąc pięściami w drzwi: "Chcę umrzeć, dajcie mi umrzeć!" Rano prowadzą mnie do kąpieli Mężczyźni-konwojenci. Rozbierając się słyszę ich przytłumione cichoty, gdy widzą całe moje ciało w siniach, krwawych wylewach podskórnych. Mają rozkaz nie pozostawiać mnie samej, więc śmieją się patrząc na moje ciało, które po uderzeniach wygląda jak gdyby ktoś je pomalował w czarne, sine i czerwone pasy. To ślady grubych pałek. Obojętne mi, że widzą mnie gołą mężczyźni i to w takim stanie. Ale myślę, czy cały ten aparat pracowniczy w Lefortowo-stracił uczucia ludzkie. Śmiać się w takiej chwili? Czy nie raczej litować się?

Nie mogę leżeć-całe ciało boli, piecze. Żeby już koniec. Następnej nocy wylawało mi się jak gdyby moje pragnienie zaznania spokoju-w śmierci miało się urzeczywistnić: obudzono mnie w nocy. Nie słyszę tradycyjnych słów do sędziego. Za drzwiami kilku żołnierzy z bronią w ręku. Prowadzą nową nieznaną mi drogą. Schodzimy w północy po schodach w dół. Idę spokojnie. Nareszcie już spokój, koniec dręczących pytań. Idziemy długim korytarzem. Cisza i pustka. Tylko echo kroków, prowadzących mnie żołnierzy. Dziwnie spokojna myśl: "Prowadzą mnie z kamery/celi/ śmierci. Nie mam domu. Nie mam przyjaciół. Gdzie teraz moja Ojczyzna. Ileż to razy w paroksyzmie rozpaczki błagałam: "Zabijcie mnie. Może kiedyś przekonacie się o mojej niewinności i miłości do kraju socjalistycznego". I tyle razy słyszałam: "Znany takie deklaracje o miłości do komunistów. Wierzę: "Życie idzie naprzód, zmierzają się. Bywa, że śmierć dowiedzie przodcy". Nareszcie wprowadzono mnie do małego pokoiku-celki. Za małym stołikiem siedział ciemno ubrany nieznajomy mi człowiek. Przed nim-znowu moja teczka. Zdziwiony moją obojętnością, prawie apatią pyta: "Czy nawet

teraz w rodzinie śmierci nie wydasz swoich współwinnych i pomocników"
"Towa wydała mi się straciły całą wartość. Nie otrzymując ode mnie
żadnej odpowiedzi-wyszedł, coś myślę-czasami w poszukiwaniu wrogów
gubią niewinnych ludzi. Zostałam w tej ciężkiej atmosferze napięcia
i oczekiwania na śmierć...Ku mojemu zdziwieniu-po upływie dłuższego/god-
na?/poprowadzono mnie tą samą drogą. Szłam powoli. Myślałam: "Dostanę
pewnie kulą w plecy. Cicho, bez hałasu. Nie szkodzi. I tak nie mam nikogo
z bliskich tutaj, blisko siebie.". Poprowadzono mnie znów do celi.
Znów zainscenizowano ostatnie chwile mego życia. Nastraszyć. Może wstat-
niej chwili, w strachu, czepiając się instynktywnie życia-coś wyzna ze
swoich przestępstw. I to jeszcze raz podkreśliło mi, że nie mają żadnego
argumentu mojej winy. Wszystko oparte na hipotezie. Jasne : w więzieniu
i do tego Lefortowo? Znaczący wróg. Jako człowiek nic nie znaczy. Nie
liczą się jego cierpienia. To jest prosto zagadka, którą należy rozwiązać
Numer taki i taki, w celi takiej i takiej. Co w duszy tego człowieka,
jak jego ideały można zniszczyć .

-nikogo to nie obchodzi.

Na świecie coraz cieplej-wiosna, lato. Myślę, że o tej porze dzieci co-
dziennie przynosiły mi ze spacerów nowe kwiaty. Pora stokroci, chabrow i
bławatków, róż i goździków i wielu, wielu innych. Radość wakacji dziecię-
cych. Jakaś dziwna atmosfera w więzieniu. Znikli prawie pracownicy męz-
czyzni, zamiast nich pojawiło się więcej kobiet, starszych dozorców,
Moje maleńkie zakratowane okienko zostało zupełnie zasłonięte i teraz
cały dzień pali się światło. Przepadła radosna chwila: codziennej wizyty
promyka słonecznego, Wszyscy dozorczy kobiety i mężczyźni noszą przy pa-
sie maski gazowe. Większy ruch na korytarzach. Rozkazy wydawane jeszcze
surowszym głosem. Wszystkie te oznaki wojny są mi znajome. Tak przecież
było i w Polsce. Nie ma kogo zapytać. Czy powiedzą wrogowi, że wybuchła w
na. Jeszcze spojrzę z większą nienawiścią. Siedzę teraz w ciemnej celi,
sama bez książki, oddana na pastwę strasznych myśli. Czuję-stopniowo
popadać w olędnictwo. Zaczynają pojawiać się halucynacje słuchowe. Wyraźnie

dostają rozstroju nerwowego pod wpływem ciężkiej przeżył. Gdyby chociaż jaka praca. Zadrzazczę więźniów, którzy noszą ciężkie kotły spijadziem. Uczucie osamotnienia i oderwania od świata wzrasta. Następuje deprecjacja. Może nie warto tak tracić się. Może śmierć lepsza - spokój - wybawienie. Na świecie wojna. Wróg napadł na ZSRR, a ja idę "wrog" wewnętrzny zamknęta. Prak ludzi, a nie muszą bezużytecznie karcić i pilnować. Oto słyszę wszystkie głosy z celi "Tjonkina". Głosy z zarzutami, że tak postępować nie wolno. Odpowiadam tym głosom, dyskutuję. Zdziwiona dyżurna zagląda do celi. Obserwuje mnie jak stoję przed pustą ścianą i rozmawiam., odpowiadam komuś. Wzywa lekarza. Dostaję lekarstwo na uspokojenie. Ale nie na długo. Bo oto przychodzi noc. Mniej teraz sędziów. Poszli chyba na front, ale przesłuchiwanie nie ważne, chodzi o to, by mi nie dać spać. Czuję początek załamania, wątplenia w sens walki u mnie. To nie majaczenie. Jak tylko zasypiam, czuję wyraźnie prąd elektryczny podłączony do mego łóżka. Ciało co pewien czas wstrząsa się od silnego bodźca - ukłucia. Zasypiam powtórnie. Operacja powtarza się. I tak przez całą noc. Mój system nerwowy nie wytrzymuje. Powstają nowe zaburzenia mózgowe. Do halucynacji słuchowych dołączają się wzrokowe. Na ścianach celi pojawiają się sięrośne obrazy, procesje osób, przede wszystkim sędziów. Wizje przeszłości. W mojej samotnej pojedynce ożyło. Ludno, głośno. Czasami pojawiają się obrazy z okresu oblężenia Warszawy. Niemcy. Kiedyś ujrzałam matkę - wtedy zaczęłam krzyczeć i płakać: "Kamo, ktoś mnie wybawi?". Wbiega przestraszona dyżurna. I znów widzi jak stoję przed pustą ścianą rozmawiam, płaczę i wyciągam ręce do matki". Znów wzywa lekarza. Ten przychodzi i stwierdza silny wstrząs nerwowy. "Jak tylko zwolni się miejsce w więziennym szpitalu, na oddziale psychiatrycznym, gdzie teraz pełno - trzeba ją koniecznie tam umieścić". Zapisuje lekarstwo i każe dać mi absolutny spokój, łącznie z nocami. Przyszło uspokojenie na kilka godzin. W więzieniu coraz niespokojniej. Już nie ma takiej głołowej cisy, chociaż mniej szurtyłów w rankach cel. Mniej wywołują na przesłuchiwanie. Czasami słychać głosy podliczonej rozmowy na korytarzu. Kiedyś pod drzwiami:

" Poszła ym pracować na sanitariuszkę do szpitala, ale tutaj była pilnowała tych przeklętych wyroków". Niemcy posuwają się naprzód. Front zilita się. Niemcy posuwają się w kierunku Moskwy.

Nagle wywołują mnie do sądziego. Podsuwa i każe podpisywać jakieś papiery. Jestem w takim stanie depresji, że nie wiem co do mnie mówi. Gdyby mi dał wtedy do podpisania na siebie nawet wyrok śmierci - podpisałabym..

Prawdopodobnie przyznałam się do wszystkich zarzucanych mi przestępstw "No, nareszcie zmagadzałaś" - dziwi się tej nagłej zmianie sędziego. Teraz już wszystko zakończone." Nie wie, że zbiera owoc wszystkich męczarni, nieprzespanych nocy. Nie wie, że ta wygrana - rezultat przemocy człowieka nad człowiekiem. że to oni swym systemem zniszczyli początkową mobilizację wewnętrzną, żeby przetrwać - dowieść prawdy. że podważyli na pewien czas wiarę w dobroć, sprawiedliwość - w człowieczeństwo.

/Nie wiem, co wtedy podpisałam w podpiecu. Od tego czasu nigdy nie podpisuję żadnego papieru bez uprzednio dokładnej przeczytanej treści/ Opowiadano mi w obozie, że nawet ci, którzy do ostatniej chwili nie podpisali przyznania się do winy - byli w tym okresie - sądowni.

Teraz myślę sobie, że gdyby była jakiegokolwiek wina - to obecnie nie otrzymałabym pełnej rehabilitacji. Sprawa umorzona.

Czy sędzia śledczy miał wogóle prawo dawania do podpisania jakiegokolwiek dokumentów kandydatce na oddział psychiatryczny? Nawet dozorczyńki widząc jak rozmawiam z majakami: " Ona ma fioła. Już jej dużo nie brakuje

Paradoks: uratowała mnie przed ostatecznym szokiem nerwowym - wojna.

Wobec okrażenia Moskwy przez Niemców postanowiono w szybkim tempie opróżnić więzienia i przede wszystkim wywieść dalej więźniów politycznych. I dlatego moje śledztwo jak i wielu innych zostało przerwane. Więc przyszła nie Suchanówka/najsurowsze więzienie/, którą ostatnio mnie straszczone, nie szpital dla psychicznie chorych, a przyspieszony sąd i później więzienie transportowe w Butyrkach.

ponieważ ciwiałam się na noc /a może tak wszyscy byli trzymając,
i zaprowadzili na salę posiedzeń sądowych. Utkwiła mi w pamięci
duża sala (sądowa), gdzie obradowała wojenna kolegia. W głębi podłogi
na którym stał długi stół, okryty suknem. Za stołem kilka osób wojskowych. Obce są twarze. Z boku mniejszy stół, gdzie urzędnicy
protokółowali. Dziwne były te jasne mundury sędziów. Ile razy
chodziliśmy na rozprawy towarzyszy w Polsce-wszędzie była czereda
sędziowie, adwokaci, woźni. Pośrodku stołu okazały mężczyźni. Przed
nim moja sprawa i dzwonek. Stałam przed stołem, podtrzymywana przez
moich "opiekunów". Ani publiczności, świadków, rodziny, obrońcy chociażby z urzędu. A jednak nie rozumiałam grozy położenia, mojej
trudnej sytuacji. Przecież to sąd wojenny, wojenna kolegia! A mnie
zarzucają szpiegostwo. I to wtedy, gdy wróg podchodzi. Szpieg,
dywersant. Działanie na szkodę państwa w zespole!

Przewodniczący zaczął coś czytać. Prawdopodobnie akt oskarżenia.
A ja nie wnikałam w treść słów, dla mnie przeznaczonych. Sądząc, że
przewodniczący należy do jednej z prześladowających mnie zjaw-
próbuję przerwać czytanie. Przewodniczący dzwoni. A ja: "Chcesz na
mnie działać dzwonkiem, jak poprzednio nocami elektrycznością?
Ale teraz dzień. Nie dam się." Chcę biec w stronę stołu, by złapać
dzwonek, lecz moi "opiekunowie" mocno mnie trzymają. Sędziowie
prerywają czytanie, coś między sobą cicho szepeczą. Czyżby koniec?
Nie. Następuje tylko krótka minutowa przerwa. Po minucie znów coś
czytano.

To była parodia sądu. Oskarżony, prawie nieprzytomny, w gorączce.
Podpisał w więzieniu przyznanie się do winy pod wpływem cierpień
fizycznych i moralnych, przyznał się do czynów niepopołnionych.
Dużo rozmawiałam nad tą sprawą w obozie. Chodziło o zastraszenie
wszelkich faktycznych i domniemych wrogów ZSRR. Zaskoczeniem
brak obrońcy. Czy w sądownictwie radzieckim w tych czasach występował wogóle obrońca? Nie słyszałam, żeby ktoś dostawał wyrok
uniwinniający. /Oskarżony-znaczy winy/. Czy chodziło o dostarczenie

nie państwu masowego taniego robotnika. Później dowiedziałam się, że jestem zdrajca. Setki tysięcy takich wyroków wydawano w tych latach w ZSRR. To nie tylko dlatego, że wojna. Tysiące ludzi zostało szanowanych jeszcze przed wojną. Spotykałam w obozie później ludzi z 1934-37 i innych. Pociągają do obozów - tak podkreśla wyrok. Obóz miał nie tylko karać, miał przestępcę wychowywać poprzez pracę. /Isprawił i ryje trudowyje łagieria/. Gdzie w tym wszystkim była praworządność? Nie mieli żadnych dowodów ^{winy}. Oskarżenie sfabrykowane. Dostałam najmniejszy wyrok tego ~~okresu~~: 10 lat. a przecież 15, 20, 25 - to w tym okresie częste zjawisko. Zadawano drugocieczne ^{dominujące} ciosy "wrogom ZSRR, wrogom socjalizmu". Czy można było pisać apelacje, odwołania? Przecież to miał być socjalistyczny - demokratyczny sąd. Prokurator na straży ochrony praw nie tylko państwa, ale i obywatela. Na straży praworządności. Przecież szereg osób wiedziało o tym bezprawiu i milczało. A przecież zawsze i wszędzie propagowało się rozwijanie krytyki i samokrytyki. Nie obawiać się krytyki. Działał potężny aparat pod kierownictwem Berii. A wszyscy milczeli. Strach? Hipnoza? Jedność i zwartość społeczeństwa? Dyscyplina? Ocknęłam się w starym więzieniu transportowym - w Butyrkach. To przesyłkowe więzienie zbudowano jeszcze w 19 wieku. Stąd oddzielne etapy więźniów, stąd często wychodzili rewolucjoniści jak Dzierżyński i inni. Nie pamiętam w jaki sposób dostałam się tutaj z sali sądowej. Opowiadano mi później, że przyniesiono mnie nieprzytomną z karetki więziennej i położono na narach/pryzach / w ogólniejszej celi więziennej w Butyrkach. Miałam wysoką gorączkę. Czekało na wolne miejsce w szpitalu więziennym na oddziale psychiatrycznym. Po raz pierwszy w życiu usłyszałam ludzki głos - dozorczy więziennej. Wycierała mi twarz zimną wodą / położyła mokrą szmatkę na głowę: "Biedna ty, widać głowa nie wytrzymała sądu". Była to młoda dziewczyna, która niedawno przystąpiła do pracy w więzieniu. Przeszła zastąpić młodą oskurną, która poszła na front i została starszą

Butyrki

przysiężnik

było

...
kobiet^{przebie} do obsługi szpitali i zakładów przemysłowych .
W celi znajdowało się około 100/??/ kobiet. Wszystkie już po wy-
roczach: 10, 15, 20, 25 lat. Skierowane do obozów pracy. Czekałyśmy
na etaty. W celi były drewniane nary-jednego ciągu. Zapełniono
wszystkie przejścia deskami. Było ciasno. Zrozumiałe, jeżeli sta-
niemy przed faktem, że prawie nie zdarzały się wyroki uniewinni-
jące. Niespodzianką było duże okno. Prawda zakratowane, wyc' odzac
na jakiś mur, ale jasno. Na noc zaciemniano. Ale to było bogactwa^{ali}
w porównaniu z małym okienkiem w Lefortowie. Tutaj można
zobaczyć kawałek nieba. A czasami jakiś ptak usiadł na kracie
okiennej/ najczęściej wrona/. Na świecie gorące lato, w celi dus-
no i gwaro. Pełnym, porządek dnia łagodniejszy. Już nie na prze-
słuchiwań. Wszystkie sprawy zakończone. Teraz tylko odbycie ka-
ry. Wokoło ciebie żywi ludzie, a każdy z nich do nowa książka do
przeczytania. Urozmaicono sobie czas szyciem. Igły robiono misie
nie z zapalek lub z kosteczek mięsnych. Niby formalnie nie wol-
szyć, ale czy w takiej gromadzie nie można się ukryć za plecami
towarzyszy? A trzeba naprawić odzież, przygotować się być może
do trudnej i dalekiej podróży. Nawet śpiewano zbiorowo. To nic,
że dozorkcy stukał do drzwi. Trzy razy dziennie wypuszczano
nas do toalety i łazienki. Dużo kranów- można się porządnie umy-
ć. W celi w tym czasie dyżurne sprzątają, wynoszą paraszę. Posiłki
rozwożono trzy razy dziennie. Podjeżdżały kotły, obsługiwane
przez więźniów. Choć wojna, nie czuło się głodu. Zresztą zaw-
sze znalazł się ktoś, kto nie mógł zjeść całej swej kaszy czy
zupy. Można nawet zapukać do okienka i poprosić o pozwolenie
na wizytę do lekarza lub dentysty. Tutaj łatwiej leczyć się
niż w obozie"-radziły te, które już znały obozowe życie. Tracił
po nowym wyroku.

do obrotu -

Ranek zwykle rozpoczynał się opowiadaniem o snach. Sny w tym
więzieniu to bogactwo. Wyprowadzają poza mury więzienne. To tak

dłuzi temat do rozmów, przewidywań i rozmyślań. Wśród kobiet były specjalistki od tłumaczenia snów. Na się rozumieć stosunek do tych spraw zależał od poziomu wykształcenia poszczególnej więźniarki. Nieraz sąsiadka przed zaśnięciem wypowiada głośno warzenia: "Żeby mi się dzisiaj w nocy mój synek przyśnił". A inna: "Może we śnie dowiem się co z mężem?" Panował jeszcze drugi rodzaj-wyroczni: wróżby. Wrona usiadła na oknie-to coś znaczy, listek herbaty lub fusy kawy płyną na kubku-"wróżbiarka" zabiera głos. Czasami śmieszne i dziecinne. Fascynujący temat-to: "będzie dzisiaj etap czy nie k'o dokąd pojedzie.²" Tradycyjnie wychodzimy na spacer. Kręcimy się w koło, jedna za drugą, trzymając ręce za plecami. Na się rozumieć pod opieką konwojentów z bronią. Krąćmy bezmyślnie, zadzierając głowę ku słońcu i niebu.

Na świecie wojna. Nie znamy sytuacji na frontach. Straż wciąż jeszcze nosi maski gazowe (większość obsługi to kobiety i starsi mężczyźni).

Tutaj Właśnie w celi wśród tej gromady ludzi powoli, bez szpitala zaczęłam wracać do przytomności, do równowagi psychicznej. Uratowało mnie to życie wśród ludzi. Odnalazłam tutaj niektóre towarzyski z Łubianki, też po wyrokach. Ich dobroć, serdeczność w stosunku do mnie-choroż uratowała mnie od ostatecznej zagłady psychicznej i ^{od} umieszczenia w szpitalu dla psychicznie chorych. Powoli ustąpiła gorączka, halucynacje słuchowe i wzrokowe. W pierwszych dniach leżałam bez ruchu na narach, odsuwałam stawiane przez współmieszkanki jedzenie. Ale po kilku dniach, gdy ustąpiła gorączka, zaczęłam się powoli podnosić. Potrafiłam spać całymi dniami, jak gdyby chcąc wynagrodzić sobie wieczny głód snu, który stale odczuwałam w ^{myśleniu} Lefortowie. Później wciągnęłam się do rytmu dnia w celi. Tak samo podchodziłam po posiłki do owar'ych drzwi, do używalni i t.p. Na pytanie jaki otrzymałam wyrok, ile lat z jakiego paragrafu-nie umiałam odpowiedzieć. "Nie ufasz nam", kryjesz się. A ja doprawdy nie wiedziałam.

Przebudzenie w celi

Codziennie od ywały się apele. Liczono ilość osób. Przy jakimś kontrolnym apelu, zapytano mnie jaki mam wyrok. A ja znów nic. Dopiero sięgnięto do mojej teczki, papierów i od czytano mi: "10 lat robót w obozie i 5 lat pozbawienia praw." Wyrok na podstawie paragrafu 58 podpunkt 6 - szpiegowstwo, 10 działanie grupowe oraz 84 /parag./ - za nielegalne przejście granicy. W pierwszej chwili nie zmarł mi wcale ten wyrok. To było uspokojenie, reakcja po ciężkim śledztwie w Lefortowie. Teraz wszystko wydawało się łatwiejsze, prostsze. Spokój. Nie straszne 10 lat! Bolała więcej pieczęć "szpiega". Gdy rozpłakałam się, słysząc ten epitet szpiega, doszła do mnie towarzyszą H.G., którą zaprzyjaźniłam się na łubiance: "Oj, niemądra jesteś. Przecież wiele z pośród nas ma ten punkt 6. A są jeszcze gorszy. I zbrojne powstanie/za to, że mąż miał starą myśliwską broń/. Każdy z podpunktów 58 - jest straszny".

Czekamy niecierpliwie na etap. Kobiety wciąż przybywa. Niepokój w moim umyśle posiadała towarzyszą F. ^{Uly} Wróciła się z podaniem do dyrekcji więzienia z prośbą, by jej pozwolono odbyć karę nie w obozach, a w więzieniu. Na moje zdumione pytanie odpowiedziała: "Warunki życia w obozach pod względem kulturalnym i higienicznym gorsze niż w więzieniu. A najgorsze - to wspólne życie z kryminalnymi". Nie rozumiałam jej wtedy dobrze. Wydawało mi się, że większa swoboda, bliższy kontakt z przyrodą, możliwość pracy w gromadzie lepsza niż życie w więzieniu. I gdzieś tkwiła myśl: możliwość pisania ~~listów~~ podań z prośbą o rewizję mojej sprawy. Wciąż natomiast nie jeszcze marzyłam: "wyjaśni się omyłka". Niepokoiła myśl: "Co słyszeć na świecie? Co w Polsce? Kiedy Niemcy zostaną pokonani? W obozach, gdzie tyle ludzi, dotrą napewno wieści z frontu wojny. Dotychczas myślałam: "Związek Radziecki otoczony jest wrogami. Dlatego musi być czujny i ostrożny. Lepiej, żeby kilka osób nie-
255R
słusznie ucierpiało niż wrogowie przeciw niemu i wszystkiemu co dąży do komunizmu swobodnie kręcić się po kraju i wypełniać swoją kreć robotę, Teraz - to przekonanie zostało we mnie zac-

58' punkt 6 zbrojne
58' spiskowanie z obywatelami
państwa

wiane. Tyle wyroków bez konkretnej winy lub niewspółmiernie do popełnionego czynu. Czuło się - większość mówiła prawdę. ^{W tej sprawie} Też brakło materiału dowodowego winy. A wygląd niektórych po śledztwie? G.-szkielet pokryty skórą. Zabrali jednocześnie całą rodzinę: ojca, matkę, syna i córkę. Widać, że przeszła bardzo ciężkie śledztwo. Nie podołała do żywego człowieka, raczej cień jego. Przeszła wielki szok nerwowy. Teraz milczy. Popadła w głęboką depresję. Nie chciała jeść ani pić. Godzinami wpatrzona bezmyślnie w ścianę. Wydawało się stracona dla życia. Wszystkie nasze tłumaczenia nie odnosiły skutku. K., S., wpadła na pomysł poczęstowania jej papierosami. Usiadła przy niej zapaliła. Na początku ^{F.} nie reagowała. Później dym zapachu dymu coś w niej przypomniał, Tow. H. włożyła jej zapalony papieros do ust. F. zaciągnęła się i jakby jakaś tama przerwała się przez ten dym - zaczęła gwałtownie płakać. Dano jej wypłakać się. Na nasze pytania o co ją oskarżają - nie odpowiadała. Później w obozie dowiedziałam się, że jej mąż był wysoką postawioną osobistością. Siedziała jak wiele za męża. Oskarżali go o nacjonalizm żydowski. Czytał prasę w języku żydowskim. Starszy już człowiek, przyzwyczajony do tego języka od dzieciństwa. Nigdy nawet w obozie nie wróciła do normalnego stanu. Wywieźli ją później gdzieś dalej, bo dostała pomieszania zmysłów. Ożywiała się, ^{który} gdy przychodził jakiś nowy etap: może jej bliscy będą w tym etapie. Dzieci zupełnie młode. Różne kobiety były w tej gromadzie. Dobrze, z gruntu uczciwe. I inne kłótniwe i myśłące przede wszystkim o sobie. Typy bierne i ^{duży} ~~ide~~ - pełne pomysłów i inicjatywy. Tutaj chociaż panowała koleżeńskość, nie było tych intymnych, serdecznych rozmów jak na Łubiance. Różnica zainteresowań, różnica wykształcenia. Niektórych nuciła poważniejsza rozmowa. Ale wszystkich łączyła wspólna niechęć do Niemców, niepokój o Ojczyznę, niepokój o bliskich, Nie ma uczucia osamotnienia. Te sprawy i niepokoje łączą.

o ile sprawach
te myśli - pewnie
wreszcie lekko
w obozie

tytuł me mu hi
współnie pod dyktando
brachem!

Wskazywać - cyfry
wskazywać

myśleni się do

nam

Omyliłyśmy się w naszym przewidywaniach. Liczba osób w celi zmieniała się. Jedne kobiety odechodziły, inne na ich miejsce przychodziły. Dokąd wyjeżdżały, dlaczego nie wszystkie razem? Czasami zadręczałam tym wyjeżdżającym. *Ciekawo, czy byli kiedykolwiek* Płyną dni i noce. Rodzi się tęsknota za szerszą przestrzenią, za swoimi, dziećmi, pracą. Leżę w nocy, w dusznej celi i rozmyślam, w tym kłębówisku ciał niespokojnych. Jedne jęczą we śnie, wzdychają, drugie uśmiechają się - czyba coś z dalekiej przeszłości im się miłego śni, to znów ktoś krzyczy we śnie - jakiś ^{straszny} koszmar męczy. Może obudzić, by przerwać okrutne obrazy. Nachylam się, ale po chwili uspokaja się. Tutaj teraz nikt nie zagląda przy takim krzyku w nocy. Już teraz więzień mniej ważny i ciekawy. Już posegregowaliśmy numer sprawy, etykiety - paragrafy, już więcej z niego wydobyć przestępstw nie można. Zresztą teraz nie pora. Niemcy, niestety posuwają się naprzód. Myśli błądzą w bezsennej nocy: "Jaki sens mego życia? Zawalił się gmach marzeń, jak domek z klocków, budowany przez dziecko. Tyle trudów w niego włożyłam. Chciałam o własnych siłach. Cdrzuciłam związki rodzinne. Wszystko postawiłam na jedną kartę. Zbankrutowałam. Co ja w życiu zrobiłam. Czy na zawsze przekreślony mój udział w życiu społecznym?"

Dni stawały się coraz krótsze. Nadchodziła jesień. Zgubiłam rachunek oczekując na etap. Ale oto pewnego dnia wywołano na etap 19 kobiet, większość żon ongiś wpływowych urzędników państwowych, a ja jako 20 między nimi. Żegnamy się z mieszkankami celi, bierzemy swoje drobiazgi. Prawda, niektóre mają większy bagaż. To rodziny przed wyjazdem przygotowały do drogi. Więc są szczęśliwe posiadające rękawice, ciepłe skarpetki, chustkę i trochę produktów. To jest bogactwo w podróż na północ. Ale takich mało.

Tychodzimy z celi. Apel przed wyjazdem. Kontrola inwentarza żywego. Jedziemy. Ale już nie woron, a duża ciężarówka, kryta brezentem. Po dwóch jej końcach konwojenci z bronią. Cała nasza dwudziestka

- 51 -

wdrapując się na tę ciętarówkę, pomagając sobie wzajemnie. Na szcze-
ście w ciętarówce wołowało sioło ławy, bo inaczej przy tym szybkim
pędzie nie utrzymałbyś się na nogach. Próbujemy przez szpary
w brzoście rozpoznać ulice miasta. Specjalnie ustępujemy Mos-
kwiczankom, które podniecone marzą, żeby zobaczyć może swój dom,
a może jakąś twarz znajomą. Tegna! ^{Wyskwo!} Już dwa razy byłam
w twoich niegościnnych progach! Tystry pęd nie pozwala nawet
zorientować się na jaki dworzec jedziemy. Moskвичanki mają łzy
w oczach. Próbują rozszerzyć szpary, ^{u brzości} lecz surowa postawa konwo-
jentów hamuje wszelkie zapędy. H.S. płacze: "Nawet nie pożegnałam
się z moją Tamarką. Jak tam ona daje sobie radę? Ojca ^{Tamara} też zabra-
li. Pewnie oddadzą ją do domu dziecka". Córeczka ma jedenaście lat
została sama w domu. *Chybić dnia formuły nie odpowiedzą, a żyć -*
hminij się do par żyć
Oto jesteśmy u celu tej krótkiej podróży. Naszyna zatrzymuje się
"Wysiąść". Pod opieką kilku konwojentów idziemy na tylnych to-
rach kolejowych do wagonów stołypinowskich. Tkum odjeżdżających
ludzi nie widzi nas. Idziemy wzdłuż torów kolejowych w gęstym
szpalerze konwojentów. Za nami w pewnym oddaleniu idą mężczyźni.
Dużo ich. Wyglądają ^{jak formuła} na kilka setek. To więźniowie polityczni z Leń-
towa i Kuzbianski / 7 /. Na torach stoją samotnie wagony więzienne.
Później zostaną doczepione do zestawu wagonów towarowych.
Okna zaciemnione, oprócz krat które też ^{zabierają światło} zaciemniają okna.
Koło nas przechodzą mężczyźni. Czy chciwie wypatrują: może zna-
mi, bliscy, krewni. Ale gdyby tak było, nie wolno pokazać, że idzie
bliski człowiek, bo od razu rozdzielią. Ale administracja do rze-
pilnuje i nie umieszcza w jednym obozie rodziny. Pamiętajcie
w obozie przyszła etapem siostra jednej kobiety, ale gdy się t
wykryło przy pierwszym etapie jedna z nich wysłano. Toteż nikt
nie pokazuje, że spotkał znajomego lub kogoś bliskiego.
20 kobiet dostaje jeden przedział. Ciąsnopęd umieszcza się r

górnych narac. Zasuwa się ^{brzo} żelazne drzwi. Jesteśmy jak zwierzę-
ta w klatce. Łączymy się przy drzwiach: teraz przeć odza mężczy-
zni. Żładi, żarodnioci, nieosoleni. Uśmiecłają się, widząc kobiety.
Przejazdzenie z rodzin. A może myśl: jak kobiety^{ich}, to chyba nie
będzie tak ciężko. Słyszemy jak stopniowo zapełniają sąsiednie
przedziały. Ktoś nawet próbuje liczyć podług każdego trzasnięcia
żelaznych (zarykanych) drzwi. Są już sąsiednim przedziałem. Słysz-
my nawet szum rozmawiających głosów. Już wieczór. Ciemno. Stoimy na
miejscu. Po korytarzu chodzą konwojenci z bronią. Dlaczego nie
jedziemy? Słychać warkot samolotów i strzały. "To działa prze-
ciwlotniczo" głośno krzyczy ktoś z męskiego oddziału. Walot na
Moskwę. Filka Messerszmitów przedarło się przez pas ochronny
wokół stolicy. Stoimy zamknięci w wagonach. Ostrzeliwują dworce
kolejowy. Ale w tej chwili zapominamy o swoim położeniu więźni
i o własnym niebezpieczeństwie. Przecież bomba może upaść i na
nasze wagony. Pogaszono światła w wagonach, więc uchylamy zasłony
i próbujemy w ciszy oglądać niezwykle widowisko. Patrzymy na ja-
ne złote punkciki, poruszające się tam na górze - w niebie. Marzy-
my - my, wrogowie", pragniemy: "Niech giną Niemcy. Trzeba, żeby fa-
szystowskie samoloty zostały trafione, zbite." "Puście nas - woła
ktos z mężczyzn "porożemy, kto umie strzelać". Nie pomagają gro-
by konwojentów. Patrzymy. Słyszemy ^(dźwięk) dział przeciwlotniczych.
I oto ku ogólnej radości nas więźniów, zamkniętych w klatkach,
nagle jeden z samolotów niemieckich zostaje trafiony: wystrze-
lik tam w górze jasny płomień i oto palący się samolot kołysa-
się, wiruje i pada na ziemię. Krzyk radości wyrywa się mimowol-
nie z naszych piersi. Zapominamy o naszych krzywdach i twórkach.
Leży wraty samolot, a potem drugi i trzeci. Cieszymy się z klę-
ki wroga. Nienawiść do Niemców jest ogólna. A ja chyba ^{myślami} która
przeżyła, o lotnienie i kapitulację Warszawy, widziała krew i no

żary, wzniesione przez Niemców. Kilka dni stoimy za dworcem, to znów poruwiamy się kilka kilometrów. Znowu stajemy w czystym polu. Jedziemy. Sufamy się na boczny tor. To przecież nie normalni pasażerowie, tylko więźniowie. Dostajemy do jedzenia chleb i suszoną rybę, coś do picia. Kobiety próbują nawiązać kontakt z mężczyznami w sąsiednich przedziałach. Wywiercono mały otworek w cienkiej ścianie między przedziałami i tą drogą wędrują karteczki. Trzeba dowiedzieć się może ktoś z nich przypadkowo spotkał ich mężów, braci, synów. Może przypadkowo ktoś jest wśród nich albo siedział w wspólnej celi? Konwojenci zdenerwowani tą ślimaczą jazdą, tą sytuacją wyczekiwania, udają, że nie widzą tych kontaktów i konszachtów. Już krążą liściki, małe paczuszki chleba /mężczyźni bardziej odczuwają głód/, suchary i tak poszukiwane papierosy. Najłatwiej dowiedzieć się, przebieżać w drodze, gdy wypuszczają do ubikacji, która mieści się przy końcu korytarza. Trzeba przechodzić koło męskich przedziałów. Już wiadomo, kto za co jedzie. W porównaniu z mężczyznami kobiety o wiele schludniej wyglądają. Najwięcej znajomych spotkały Moskwićzanki i one są najbardziej ożywione. Ja jedna jestem z Polski. Najbardziej samotna. A jednak cieszę się, że to już nie będzie więzienie. Upiorne badania prześladują mnie jeszcze teraz we śnie. Jedziemy. Godzinami potrafię siedzieć przy oknie, by przez kraty patrzeć na zółknącą już ziemię, na ciągnące się kilometrami lasy na rzucane czasami chaty. Rosjanki znają kraj. Próbuje odgadnąć dokąd jedziemy. Podobno na północ, gdzieś dalej od frontu. Faraganda, Komi, Peczora? Zapytał konwojenta - nie powie. Ma zakaz porozumiewania się z więźniami. Gdzieś przy jakimś dworcu przy drodze siedzi tłum więźniaków z tobołami, całe rodziny. Dokąd? Na skraju lasów wszędzie widać nowe gręby. Ludzie rąbią las, stawiają nowe baraki, czasami zerabne domki. Koło Moskwy spoty-

kaliśmy więcej lasów liściastych, później przewalał las świer-
 kowy. Przechodziliśmy niezliczoną ilość rzek i rzeczek, mostów.
 Na dużych stacjach opuszczamy wagony-idziemy przez miasto do
 miejscowego więzienia przesyłkowego. Na podwórzach już czekają
 inne etapy. Ludzie ciekawie przyglądają się przytyszom. Po drodze
 idziemy do łaźni/bania/, gdzie natieramy wody w drewniane
 szafliki i myjemy się miniaturowymi kawałkami mydła. Później
 wpuszczają nas do więziennej celi. Można rozprostować kości
 na naracie. Z zadowoleniem przyjmujemy gorszy czy lepszy, ale
 gorący posiłek/zwykle jakaś kasza i kapusta/. Nie jestem pewna
 ale najważniejsze z tych etapów to więzienie w Gorkim, Kirowie,
 Kotłasiu. Teraz już wiadomo: jedziemy do Komi ASSR. Tada murzyły
 się twarze Rosjanek. Dla mnie to słowo nic nie mówi. KOMI-kraj,
 gdzie mam spędzić 10 lat. Czy nie wszystko jedno gdzie?
 Lepsze to chyba niż więzienie, niż etapy lub jazda w dusznych,
 stłoczonych wagonach. Chociażby te etapy. Idziesz przez miasto
 Niektórzy osłabieni, chorzy wloką się powoli, konwojenci krzyczą
 Odołącz. Rozciąga się długa linia ludzi. Przeciodnie za rymu-
 się. I tak kilka razy: z wagonów do przesyłkowego więzienia,
 a stamtąd znów na dworzec. Czasami wpuszczają cię do ogólnej
 celi, gdzie siedzą i prostytutki, przestępcy kryminalni. Niebardzo
 zadowoleni z gości-będzie ciasno. A my musimy dobrze rozgądać
 się za naszymi rzeczmi, żeby ostatnie ubranie gdzieś nie zginęło
 w nocy. A jakie straszne typy pośród nich: "Paniusie przyszły!
 Inteligentki! Pomocnice faszystów!"
 Ostatni etap w Kottłowsku. A stamtąd już rozdziela nas.
 Cały ten okrąg/żeleznodorożnyj rejon/ Ustwiżlag./Centrala
 zarząd znajdował się na Korendanczim. Część² kobiet i mężczyzn
 posłała na drugi, inni na trzeci/?/ lub na 1. Rozdzielono¹
 nas. I tutaj w tej Autonomicznej Republice Komi spędziliśmy

20 km
 Kirovo
 Kotlas

→ Komi ASSR

Kottłowsk

10 lat życia-obożnicy- lata między 1941 a 1951 rokier.

Moje wiadomości geograficzne o tym kraju były minimalne. Uczę się geografii powszechnej w Polsce przedwojennej-wcale się z nazwą nie spotkałam. A oto, gdy teraz sięgnę do Encyklopedii Powszechnej okazuje się, że ta północno-wschodnia ~~część~~ europejska część ZSRR obejmuje 415,9 tys. km/2, posiada 879 tys. mieszkańców/1962r./Opowiadali mi więźniowie, którzy później przyjeżdżali z innych obozów Komi /Workuta, Uchta i inne/, że pracowali w kopalniach węgla, drudzy przy wydobywaniu ropy, a lbo przy budowie wielkiej drogi kolejowej/Peczora/, która te olbrzymie bogactwa mineralne transportuje. Zespół obozowy, do którego ja przybyłam/Isprowitielnyje trudowyje łagierja/ zajmował się wyrębem i spławem lasu, dalej znajdował się przemysł drzewny /Lesobrabatywajuszczaja promyszlenost/. Podstawowym drzewem tej okolicy stanowił świerk. Okolica błotnista, malaryczna.

Podstawowe drzewo -
wtedy stanowił przemysł
drzewny.

Klimat trudny. Nie było syberyjskich mrozów, ale dla mieszkańców Europy środkowej, 20 stopni są dokuczliwe, wcześniejsza zima, a latem chmury komarów i drobnej muszki, przed którą trudno było uchronić się. Na błotnistym gruncie źle rosły kartofle, raczej kapusta, która właśnie wymaga więcej wilgoci.

Obozy sytuowane daleko od siedzib ludzkich, to też nie mieliśmy kontaktu z ludnością miejscową. Okolica-pustkowie, lasy bez końca ciągnęły się kilometrami. Gdy wychodziliśmy do pracy za zoną spotykaliśmy tylko czasami rodziny pracowników obozu. Komi wogóle jest słabo zaludniona, jak podają informacje oficjalne 2 ludzi na km/2. Ma się rozumieć w większych miastach jak Syktykwar/stolica/, Workuta-kopalnie-łagierowanie ludności większe.

I oto idziemy już małą grupą do mojego pierwszego obozu w Komi. Byłam w kilku obozach, ale organizacja wewnętrzna wszę-

drze taka sama. Może na jednym surowsza dyscyplina niż na drugim albo różnią się poziomem higieny. I oto stoję przed instytucją, która ma mnie wychować, a nie tylko poprawić. Stoiemy przed obozem. Jeszcze nie mamy piętna Zeka/skrót od słowa "zakłujczennyj"-dosłownie zamknięty-słowem więczeń-lagiernik,. Nosimy własną prywatną odzież. Letnie płaszcze, patofle. A tu na północy już chłody. ~~Nawet nie ma ekspedycji w dół na zewnątrz~~

Nie ma jeszcze zimy, ale odzwyczaiłam się od powietrza. Tyle czasu w zamknięciu. Życie jak pod kloszem.

Stoiemy przed zoną czyli strefą obozową. Mam czas rozzejrzeć się. Jak widać to potrwa, ~~to potrwa~~ dłuższy czas zanim nas wpuszczą. Zona obozowa to duża prostokątna przestrzeń, otoczona ze wszystkich stron wysokim płotem. No, ażelby "zeki" nie zamaryły kiedyś o wolności nad płotem jeszcze kilka rzędów drutu kolczastego. Z dwóch końców obozu stoją wyżki-wieże obserwacyjne. Coś w rodzaju porostu wysokiego, na którym stoi budka, raczej daszek dla wartownika z automatem. Wartownicy zmieniają się, co kilka godzin. Wiatr tam hula, mroź zagałę. Zimą gruby kołuch z kapturem /tułup/ chroni go od mrozu i zawieży. śnieżnej. Wartownik bez przerwy obserwuje, czy wszystko jest w porządku na terenie obozu: pożar, próby porozumienia się z zewnątrz, a przede wszystkim czy nikt nie ucieka. Czasami, gdy później słyszałam w ciszy nocnej jakiś wystrzał, myślałam: "Ktoś próbuje wydostać się na wolność". Jeżeli w barakach jest ^{ciemno} ciemno, to w nocy jasne refleksy oświetlają wszystkie strony obozu. W ^{na zewnątrz} środku tego prostokąta na jednej ^{ścianie} ścianie znajduje się domek warty/warta/, a obok szerokie wrota. Na warcie dzień i noc siedzą wartownicy, którzy kontrolują każdego wchodzącego i wychodzącego z zony. Oprócz wolnych mogą wychodzić bez opieki tylko szczęśliwi posiadający przepustki czy ta z racji swego zawodu, a więc lekarz, maszynier, ^(lub inny technik) normirowszczik i t.p. Oprócz tego ~~jest~~ pewna ilość

- 35 -

więźniów. Jest to mała grupa. Przepustki po większej części otrzymują kryminalni, bardziej godni zaufania niż posiadacze 58.7. Wykły zeka, prosty śmiertelnik, nie ośmiela się bez opieki wyjść z zony. Duże wrota do tego "raju" otwiera tylko warta. Zwykle rano i wieczór przy wyjściu i powrocie więźniów z pracy i do pracy. Cała obsługa wolnych mieszka za zoną. Tam też mieszkają rodziny niektórych z nich. Tam też za zoną żyją olbrzymie psy. Czwarto wrota. Pada rozkaz: "Ustawić się piątkami". Przechodzi pierwsza nasza piątka. Stop - zatrzymują ją we wrotach. Wartownicy rewidują każdego: czy nie przyniósł czegoś niedozwolonego np. noży. A zresztą niech od pierwszego dnia wiedzą, jaki tu porządek! Jakie obrzydliwe ucucie przeżywałam, gdy cudze ręce zajmowały dół wszystkich zakamarków mojej odzieży, obmacywały mnie całą. I tak będzie trwać przez wszystkie lata życia obozowego. Tylko później, co przebieglejszy zeka potrafi ich oszukać, wywieść w pole, obserwować zwyczaje wartowników każdego z osobna i wiedzieć jak poszczególnego można nabrać. Ale to będzie później. W tej chwili ostatnia piątka stoi przed placem apelowym koło warty. Okazały kotendant obozu przemawia do nas bardzo budując: "Jesteście w obozie. Naruszyliście zakony państwowe. Popełniliście przestępstwa. Ale nasze państwo chce was poprawić. Będziecie dobrze pracować i w ten sposób pokażecie, że nie jesteście wrogami, że żałujecie ^{poprawnych} ^{niepoprawnych} ^{niepoprawnych} ^{poprawnych} wadzących błędów. Musicie słuchać waszej władzy - komendanta t.z. mnie/ tu uderzył się w potężną pięść / i wartowników. Za naruszenie ustalonego reżimu czeka każdego kara. I ostrzegam: "Nie próbujcie nigdy uciekać. Próby ucieczki kończyły się zawsze otrzymaniem nowego wyroku sądowego lub śmiercią głodową w tajdze, gdzie są olbrzymie błota - trzęsawiska. Patrzcie many dobrych pomocników, specjalnie tresowanych w poszukiwaniu zbiegłych." Spojrzeliśmy mirowoli na tych pomocników - psy - olbrzymie wilki, straszne, ^{ciągnęły} ^{ciągnęły} się z głodnym uja-

by przynosić im pracę

daniem w naszą stronę, szarpiąc się na styrcy. Komendant jeszcze dodał: "Jutro pójdziecie do pracy, a teraz przydzielimy was do baraków". Wrota zamknęły się. Przydzielono nas do baraku pełnego już kobiet. Baraki dla mężczyzn były w pewnej odległości od żeńskiego. Mężczyzn było o wiele więcej. Szare smutne baraki - to zbite z drzewa podłużne budynki. W barakach stoją parami piętrowe prycze/nary/ drewniane. Stół i ławy drewniane, szare, niedorobione. Bak z wodą do picia, na stołku wiadro do czystej wody, miska oraz kubek do brudnej wody. W jednym rogu piec. Pościel na naraczki. Sienniki napchane strużkami, tak samo i poduszka. Pierwszego dnia nie mogłam spać: siennik - góra wysoka i twarda. Stopniowo pod moją osobą układały się, ściierały ^{sienniki} - o czym dobrze wiedzą mieszkańcy dolnych nar. Typie im się na głowy i na wszystkie rzeczy przy każdym poruszeniu górnego lokatora. Ile na tym tle riałam nieporozumień, gdy chciałam trochę uporządkować "mój dom". Szary koc niebardzo grzeje. Toteż mieszkańcy zimą kładą całą odzież na siebie, a na nogi ciężogrejski. Latem lepiej mieszkać na dole. Na górze duszniej, ale bezpieczniej przed złodziejami. Natomiast zimą tam - raj, prawda bardzo duszno blisko sufitu, ale ciepło. Na dole jak to się mówi "zab na zab nie popada" - tak zimno. Za każdym razem, gdy ktoś zagląda do baraku/komendant, wartownik/ fala zimnego powietrza wlewa się do środka kłębami pary. Jak często na ścianach leży szron. Wieczorem nad stołem pali się mała żarówka. Na każdej narze stoi lub leży całe bogactwo tej mieszkanki: stary worek, drewniana skrzynka-walizka. Tam chowa swoje ostatnie skarby, pamiątki, coś z odzieży. Często prawie pusta. A dlaczego - napiszę później.

Byłam na kilku obozach. Wiele więcej wszystko zbudowane na jeden model za wyjątkiem obozu "reżimowego" i dla matek z dziećmi. Najlepszy komendantki: bliżej władzy naczelnej-

(współcześni)

- 27 -

mniei kradziły wśród administracji, stąd trochę lepiej karmią. Kępczyni w barakach umieszczeni byli brygadami. A więc brygada trawarzy/gruźcili/i/, drwali/lesoró'ow/, inwalidów i t.d. Oprócz władzy oficjalnej faktycznym gospodarzem zeka był ^{brygad}bragadier, w skład której wchodził dany więzień. Przeciętna brygada liczyła 20-25 osób, chociaż zdarzały się poniżej i powyżej tej liczby. Brygadier odpowiadał przed władzą za swoją brygadę. On też wraz z porocznikiem/ami/ przydzielał każdemu pracę w brygadzie. Wsólnie mieszkali i wspólnie wychodzili do pracy. Wspólnie otrzymywali posiłki w stołówce. Najważniejszy budynek dla zeka-stołówka. Miejsce marzeń i tęsknot (zek). Obraz tej stołówki będzie siedł za mną przez całe życie. Czy możecie sobie wyobrazić jakieś po-
tworniejsze miejsce do spożywania posiłków? Brudny, szary budynek. Brudne stoły, szara od błota podłoga. Stare ławy, zawsze w niedo-
statecznej ilości. Pamiętam pierwszy posiłek. W misce dostałam jakąś ciepłą ciecz ciemnego koloru, w której pływało kilka list-
ków ciemno zielonej kapusty. Dotychczas w więzieniu nie czułam głodu. Bez ruchu, przy siedzącym sposobie bycia, wystarczyła mi nie-
wielka ilość kalorii. A i karmili w Moskwie, chociaż wojna, nieźle. Zawsze jakaś zupa, kartofle, kasza kraszona. Czasami kawałki mięsa. Tutaj po "zupie", kilka łyżek ^{prawdym}bardzo rzadkiej kaszy. Ale ^{koszma-}rem były chciwe oczy nędzarzy, którzy stał, wpkół jedzącego i
czekają na resztki jedzenia. Łapią miskę, którą postawiłeś, oblizują z chciwością jakieś przyklejone na dnie ziarenko lub kroplę/płyn. Jak można przełknąć tych kilka łyżek, gdy obok ciebie kilku nędza-
rzy stoi i czeka z utęsknieniem na twoją miskę. Oczy prawie zwie-
rzące, jak gdyby błagały: "Zostaw dla mnie trochę". Wylałam przez niewagę łyżkę zielonego płynu, gdy kilku rzuciło się zlizywać prosto ze stołu. Rozmowy o jedzeniu to główny temat życia zeka. Już pierwszego wieczoru widzę jak siedzi eromada i z ożywieniem rozprawia, co będzie jutro na obiad: "Podobno przywieźli drobną

rytkę. "Pójdzie w zupie." "Czy świąta-pyta ktoś, bo wtedy nie dla nas nie zostanie. Pójdzie dla komendanta i wszystkich "pridurk" /tym powadliwym mianem ochrzczono w obozie pracowników technicznych, biurowych/. "Żeby przywieźli niebardzo świąta"-marzy ktoś głośno, ~~teby~~ ciociaś ości zostały". "Jako-mówię" przecież każdy dostaje swój czerpak/chochla/. Widać, że niedawno przyjechała. Połyjesz, zobaczysz/poziwiosz-uwidisz/. Różne bywają chocele. Można różnie nabrać: i z wierze u samą wodę, a na dnie gęste dla swoich przyjaciół i znajomych. Chyba, że chcesz zostać jego kolejną przyjaciółką". Tutaj cała gromada roześmiała się złośliwie. Te rozmowy o jedzeniu towarzyszą więźniowi przez cały czas pobytu w obozie. A jeszcze większy koszmar zobaczyłam, gdy oglądając zonę poszłam na zaplecze kuchni. Przy kuchni stoi tłum mężczyzn wygłodzonych/w gwarze obozowej"dochodzą"-ludzie szkielety, którzy chyba, dochodzą do śmierci/. Obdarci, brudni, łeci, okryte skórą-stoją cierpliwie i czekają na kucharza, może bóg wszechmocny -kucharz znajdzie dla niego jakąś robotę. Tam przecież są kotły, trzeba je umyć. A ile przy tym można jeszcze jedzenia wyskrobać! Może zawoła do zbierania drzewa pod piec i zapłaci obozową monetą-kawałkiem chleba lub miską zupy/bałand. Zresztą wszystko jedno, byleby zawołał! A inni tymczasem, widząc że konkurencja duża, szukają żywności w śmietniku. Wszystko jest dobre: zgniłe kartofle, łupiny jakieś, odpadki. Tutaj od razu bez otarcia lub umycia wpychają do ust. Nagle jeden znalazł jakąś kość, drugi złapał z innego końca. Zaczęła się szarpanina, później bójka na śmierć lub życie. A kucharz i jego pomocnicy bawią się tym widowiskiem. Aż dopiero wiadro wody rozdzieliło zacie trzewionych nieszczęsnych zapaćników. Koło stołówek wciąż jeszcze oddzielne postacie. Czekają na cud: może ktoś zostawi trochę. Może za zbieranie misek, za wypędzanie ze stołówki kucharz do-

Nie brzydzą się - ich
mamy.
Widać o tym, że ktoś
jedzenie.

leje czerpak wody. Rano nowe misterium z jedzeniem. Kobiety w baraku dostają chleb na cały dzień. Różne tam ilości, zależne od pracy, od wyrobionej normy: 500gr., 600 a bywa i więcej. Zaczynają się ciche i głośne rozryślania. "Jak zjeść chleb? Czy od razu ca-
ły. Czy połowę zostawić w domu na wieczór po powrocie z pracy, czy zabrać ze sobą i zjeść w południe. Widzę jak sąsiadka rozkłada jakąś szmatkę: "Co tam chociaż raz dziennie się najść".
Wesoło kroi chleb na małe kawałeczki i wszystko zjada." A wie-
czorem będziesz skomlała chociaż o kruszynkę"-mówi Oli i chowa
połowę chleba w strużkach w poduszce. Robi tak ostrożnie, żeby
nikt nie widział. Ale niektóre ciotki śledzą jej ruchy. Trzeci
sposób: zawinąć w ciemną szmatkę i schować głęboko na piersi.
Tam nie zamarnieje. A przez cały czas myśli, że on tam jest doda-
wać będzie pociechy. A przy tych wszystkich operacjach, nie daj
boże, żeby zgubić chociaż kruszynkę chleba. Zbiera się każdy ok-
ruch, żeby nic nie uronić, nic z tego smaku nie zgubić. A chleb
jest czarny, gliniasty. Wątpliwe, czy sprawiedliwie odważono. .
Ktoś pobiegł z awanturą do chleboriezki/budynek, gdzie przebie-
wuje się i kroi podług wykazów chleb dla brygad/-mówi, żeby mu
sprawdzić wagę porcji. "A u niego ^{by prawie ożenił} diabła-chleborieza taka duża
mokra szmata leży na chlebie. No to i wciąga wodę, a sam brucie
sobie rości". Padają sęczyste epitety pod adresem pracownika
chleboriezki. "Żeby cię.....rodzona matka.....

Wieczorem słychać głośnie płacz Oli. Co się stało? Siedzi na
swojej pryczy i zalewa się łzami: "Ukradli mój chlebuś, com go
rano schowała. Prawie 200gramów. Cały dzień o nim myślałam. Jak
to ja będę pomalerku go jadła. A jednak wytropili, podleczy, ukra-
dli. A tak dobrze schowałam. Łażą po kątach, gdy my idziemy do
pracy." I znów przekleństwa i stek soczystych wyrazów. Strasz-
nie patrzeć, gdy ta starsza kobieta płacze i rozpacza. Jeszcze
nie jestem jeszcze tak skamieniała i głodna. To pierwszy dzień,

chleb mokry - więcej wody
strużki nos.

uśm.

więc ułaruję ze swego kawałka i podaję Celi. Pierze zdumiona, uśmiecha się radośnie i ociera łzy.

Pierwszy nasz dzień pełen był załatwiania formalnych spraw. Znowu spisywano każdego: paragraf, termin wyroku/srok/, jaki zna zawód/Jak gdyby to było potrzebne!/, co posiada z własnych rzeczy. Przy tym spisywaniu siedział z boku i nam przyglądał się pełnomocnik MWD/NKWD/, pracownik niezależny, nie podporządkowany komendantowi-pracownik polityczny-operuppełnomoczeniowy.

Oto centralne osoby, które mają nad nami pieczę: oper i komendant. Ale jeżeli komendant odpowiadał za ład i porządek wewnątrz obozu, to na zewnątrz władza przechodziła w ręce naczelnika konwoju. Jemu też podporządkowani byli konwojenci.

Po przydzieleniu do baraków poszliśmy do bani/łazienki/. Łazienka mieściła się w oddzielnym budynku. Przy niej składzik na bieliznę, a czasami pralnia. Bania jak każda z drewnianymi szaflikami, których stale brakowało. Dostajemy bieliznę: bez guzików, czy taśmerek, nie dopasowana "jak szło". To wszystko przepełnione jakimś obrzydliwym zapachem. Jak się w to ubrać? Jasne, kto silniejszy, zręczniejszy łapie lepszą sztukę. Obwiązałam się jakimś sznurkiem, zamieniłam szeroką koszulę z kimś, co dostał małą, chociaż była ^{45g} szeroka. Jakoś musiało się trzymać.

Radowało tylko niebo nade mną, lecące gdzieś ptaki. Chodziłam po zonie, ciesząc się możliwością swobodnego ruchu, chociaż na takim przestrzemi. To nie dwa metry Lefortowskiej celi! Rozmyślałam o najbliższych datach. Postanowiłam dobrze pracować. Naivna! Chciałam pokazać, że chcę pracować dla państwa budującego socjalizm. Chciałam poparcia władzy obozowej dobrą opinią, gdy pisząc będę podania o rewizję mej sprawy. Muszę zrozumieć omyłkę! Wyślałam, że w ten sposób ułatwimy pokonanie faszystów. Najbliższe dni miały mi pokazać jak bardzo się myliłam!

ograniczonej

My, z i swego ukien

muu /

Na drugi dzień po śniadaniu mieliśmy pójść do pracy w lesie, bli-
ko domu/taryfa ulgowa, że to nowe!/. Po śniadaniu zbiórka przed
dortkier warty. Wszyscy ustawiają się według brygad. My, przyjeżdżne
kobiety, oddzielnie. Zaczyna się obliczanie całego żywego inwenta-
rza-więśniów. Stoją wartownicy z deseczkami z dykty, która zasłap-
je papier i zaczynają obliczać brygady. Czasami od pierwszego ra-
zgadza się, a czasami liczą po kilka razy. Deszcz drobny pada od
rana. Ale na to nie zwraca się uwagi w obozie. Niebo szare ołowia-
Będzie tak mżyć chyba przez cały dzień. Więźniowie stoją spokoj-
Nie spieszą się do pracy. Chociażby liczyli cały dzień. Byle czas
posuwał się napród, by można mieć znów kąt na swojej narze. Każde
ma przynajmniej więcej niż 3 tysiące dni do odpracowania.
Za wrotami czekają już konwojenci z bronią. Nam nowym przydziel-
no aż dwóch. Nie otrzymałyśmy jeszcze wierzchniej obozowej odzie-
ży ani obuwia, więc idziemy w czym-kto miał: w kapeluszu, żakiecie
pantoflach. A jeżeli był aresztowany w upalny dzień, to mógł nie
mieć ani wierzchniego okrycia, ani pończog. Mało takich wybrać
których rodzina na wszelki wypadek wykkipowała na drogę. A może
ktoś na ucho w wielkiej tajemnicy powiedział, co to jest obóz na
północy? Konwojenci nosili płaszcze z grubego sukna i pierwszą
ich czynnością po przybyciu na miejsce - rozpalili sobie dobre
ognisko. Siedzą, grzeją się. Co im deszcz i chłód. A zeka? Kogo to
obchodziło? Deszcz nie przestawał "siąpić" przez cały dzień.
Nie trzeba dużo czasu, by moje letnie paletko całe przesiąkło
wodą, a pantofle nabrały błota. Jesteśmy w gęstym borze, gdzie
już leżypowalone przez drwali stuletnie świerki-olbrzymy.
Naszym zadaniem odrębać wszystkie gałęzie leżących drzew. To si-
nazywa łatwa robota! Tak przynajmniej powiedział nam rano kom-
dant: "Żeby przyuczyć się! Wiele z nas trzyma pierwszy raz w ryc-
siekiere, które wzięłyśmy w magazynie. Jak się tym pracuje?

Jak trzeba trzymać, uderzać, by nie robić zbyt ^{nie}bytecznych uderzeń? Nie mamy jeszcze brygadiera, który być może dałby jakieś wskazówki, ułatwiające pracę. A wokoło błoto, mokro, chłodno. Poranna zupa nie rozgrzała ^{na} na długo i nie dała sił do pracy. Gdzieś sęko ulotniło się moje gorące życzenie, by dobrze i intensywnie pracować. Zgrabiało, bez rękawic ręce odmawiają posłuszeństwa. Po raz pierwszy zetknęłam się z brakiem nawyku, techniki pracy fizycznej. I to ^{stało} będzie mi przeszkadzało ^{było} w życiu obozowym a później na zesłaniu. Machałam bez przerwy toporem, zużywałam niepotrzebnie dużo energii, a rezultat nikły. Gałęzie nie chciały odpadać. Ręce protestowały. A koszula była mokra od wysiłku. Patrz na moje kompanionki." Dużo odrąbałaś"-pytam szczupłą Kólenę, "Udało się jedną odpowiada z triumfem po 2 godzinach pracy. U większości moich kompanionek rezultaty podobne moim. Nie przyzwyczajone, wyniszczone śledztwami, niedożywione i stąd przy najlepszej woli-rezultat pracy mało wartościowy. A przecież wiele z nas pragnęło uczciwie pracować. Na boku siedziało 2 konwojenty i podśmiewało się, bawiło naszym kosztem. Kpili sobie prawdopodobnie z "inteligentek". To wszystko 558-zatwardziali wrogowie ZSRR. Niech cierpią, zasłużyły za swoje!

F., która poraz drugi znalazła się w obozie/Po rewizji sprawy dostała dodatkowy wyrok/ powiedziała: "Nie pracujmy. Należy się nam do pracy specjalna odzież tak zwana "specowka". Przecież nawet w obozie są pewne minimalne prawa. Nie mają prawa wysyłać do pracy w lesie bez odzieży specjalnej". Jak gdyby na potwierdzenie tych słów deszcz zaczął padać na dobre. Zostawiłyśmy pracę, usiadłyśmy przy drodze, licząc się z tym, że w tej sytuacji konwojenci teraz zaprowadzą nas do zony. Gdzie tam! Konwojenci odpowiadają za więźniów poza obozem. Nie myślcie, że za zdrowie więźnia. Więzień go interesuje jako nuzer inwentaryzacyjny. Może

więcienia przywali drzewo lub zasłania w drodze-to nie. Frzyca-
gną go inni więźniowie. Liczba będzie się zgadzała z tą podaną
mu z rana na deseczce. I konwojent będzie w porządku. Ich nie
interesowała nasza praca. Wiedzieli: jeszcze nie pora do powrotu
i trzymali nas aż do zmroku. Już ciemnieje - ruszamy. ^{konwojenci} Zoniewo-
wiedzieli komendantowi o naszej pracy. Ten krzychał: "Widać wro-
gów. Buntujecie już na samym początku. Znajdziemy na was sposób."
Milczymy. Już ktoś uprzedził nas: "O każdym słowie krytyki ze
strony 58 wie operupołnomoczeny, a stąd już łatwa droga do
nowego wyroku. Jakie szczęście. Jesteśmy już pod dachem. Przeszliśmy
gromadą do stołówki. Duchota, ciasnota, nieopisany gwar: jedzą bry-
gady. A my za karę dostajemy tylko zieloną zupę i chleb, na się
rozumieć, jeżeli sobie zostawiłeś z rannej porcji. Chleb przecie
dostaje się raz dziennie. I choćbyś nie wiem jak był głodny,
więcej nie dostaniesz. To się nazywa zabranie drugiego dania-
nie wyrobiłeś normy. Głodne poszliśmy spać."
Najazutrz był jasny słoneczny dzień. Zawołano naszą grupę do
magazynu odzieżowego. Dostałyśmy tielogrejki-waciaki, coś w ro-
dzaju kaftanów na wacie. Dobrałyśmy sobie ze stosu butów obuwie.
Jednak widać wczorajszy protest pomógł. Dostałyśmy też "nakomax-
niki"-coś w rodzaju woreczków na głowę, w których przednia część
była uszyta z gazy. To miało chronić w lesie przed komarami.
Zorganizowano żeńską brygadę. Pójdą razem polityczne i kryminal-
ne zbierać ^{szukali i zbierali} jagody. Tam w lesie daleko, w głębi boru są jeszcze
jagody." To bardzo łatwa robota ^{zrobił} powiedział nam komendant prze-
wyjściem zeka do pracy. To były chyba ^{nie było} czyste kpiny! "Łatwa roba-
A warunki pracy? Przeszliśmy chyba 10 kilometrów drogi w jedną
stronę. Jagód już mało. Trzeba szukać. I nas spora gromada. Jedyną
radość to piękna droga. Zieleni, za którą tak tęskniłam w więzieniu.
Niebotyczne gwiazdy." suchych miejscach kępki krzaków, mech.
Konwojent wybrał dużą polanę i kazał z tego miejsca wokoło

Lepiej milczeć. Stano-
wienie mia być
konwojent.
Lepiej milczeć

zbierać jagody. Tam jak zwykle rozpalik sobie ognisko. "Po pewnym czasie przejdziemy na inne miejsce"-pociesza. Kryminalne znają te lary, obojętnie ułożyły pod spodem kalety męskie i w ten sposób miały zakryte całe ciało. A my nosimy krótką damska bieliznę na pociechę owadów. To oto chmary owadów i drobne muszki rzuciły się na nas-swoje bezbronne ofiary i zaatakowały nas ze wszystkich stron. Nadlatywały z bagnisk i kałuż. W drodze nie dążyły się nam tak we znaki. A resztą ~~Machałyśmy~~ gałązkami, kto czym mógł. Teraz, gdy nachylałyśmy się ku ziemi w poszukiwaniu jagód, mogły spokojnie nas atakować. Dla mnie najczulsze miejsce, bezbronne to twarz. Mało pomaga ten cały nakomarnik. Pocę się pod nim jeszcze więcej. Najgorzej, gdy pod nakomarnik dostanie się takie przeklęte komarzysko. Brzęczy, drażni i trudno go stamtąd wydostać spod okularów. Zdejmierz nakomarnik, okulary, wytrząchniesz nakomarnik, a inne, które brzęczą nad twoją głową jakby tylko na to czekały i atakują cię całą chmarą. Konwojent ma najlepiej: rozpalik sobie ognisko-owady uciekają od dymu. Nosi spodnie grube, wysokie buty, a gdy ognisko przyrządzi bierze dużą gałąź i odpędza nią owady. Ciekawe zjawisko: owady nie wszystkich jednakowo atakują. Niektóre kobiety zdejmują nawet te słynne ochrony i bo jednak pod nimi duszno. A owady je nie atakują. Czy to specjalnie niekótora skóra nęciła tych dręczycieli? Mnie zadrażniały. Prawdopodobnie cienka skóra, łatwa do przebicia, a i naczynia krwionośne tuż pod skórą, nie chroniła jej żadna tkanka tłuszczowa. Pięknie wyglądałam! Po godzinie cała twarz pałała, spuchła, pogrubiła, wyglądałam jak dynia. Chce się pić. Czy to słona kapusta na śniadanie, czy utrata wody, obezwodnienie organizmu poprzez wydzielenie potu, ale pragnienie stale wzrasta. A wokoło nigdzie wody do picia. Nie, zapomniałam! Tylko strzelec ma manierkę z wodą, którą przezornie zabrał dla

siebie z domu. Ale bywalcy gdzieś w rowie znalazły kałużę z wodą. Stojąca woda, pełna martwych owadów i butwiejących roślin. Czuć ją silnie zgnilizną. Jedna z kobiet odrywa na oczach konwojenta kawałek grubego płótna z koszuli, którą nosi na sobie. To nie-panstwowa! Na drugi tydzień dostanie inną w łazni, a ta podarta przypadnie jakiejś frajerce! Któraś wyciągnęła ze swojej kieszeni zardzewiałą blaszankę/to zawsze może się więźniowi przydać/. O i teraz nabierają wodę z cuchnącej kałuży i cedzą ją przez oberwany kawałek szmaty w jakąś drugą blaszankę lub prosto w dłonie-i piją. Patrzą-otrzydzenie mnie bierze. Jeszcze nie przyzwyczałam się do tego zwierzęcego życia. Z czasem i to przyjdzie. Do wielu rzeczy trzeba się tutaj przyzwycząć. Szereg pojęć i nawyków odrzucić. A przede wszystkim nie dziwić się! Widzę na przykład jak po drodze, gdy szliśmy te 10 kilometrów, kryminalne załatwiały swe potrzeby fizjologiczne na oczach konwojenta-mężczyzny. Prosto podnosi ubranie, ściągają bieliznę świecą gołym ciałem. Cóż, konwojent nie chce zatrzymywać się w drodze. Więc jak kto krępuje się-cierpi.

Jagód niestety nawet w starym łorze już mało, a trzeba wykonać wyznaczoną nam normę minimum. Zdaje się-1kg na osobę/?. Nie wypełnię normy znów mniej jedzenia. Jeszcze dobrze czuję wczorajszą głodną kolację. Więc chociaż kuszą jagody zapachem, nęcą przypomnieniem dawnych lat, wycieczkami z dziećmi do wawerskich lasów, naiwna, nie biorę do ust ani jednej. Ambicja też tutaj odgrywa swoją rolę. Jak to nie wypełnić wyznaczonej normy? A gdzie moje postanowienie dobrej pracy w ZSRR? Taka szybka zmiana? Jeszcze nie koniec moich doświadczeń bolesnych. Urki (kryminalne recydywistki, wertujące się po większej części z przestępstw i złodziejek) nie pracują i obserwują nas głupio-558 Widzą, że ci ich spokojna, jeszcze używam śmiesznych dla nich

Zwrócić uwagę na
H. K.

słów: "proszę", "przepraszam", "dziękuję". "Delikatna"-mówię z przekąsem. A później uczepliły się dwie mojej osoby i, gdy tylko nadepłam się i zbieram jagody, ^{zaczyna} "zaczyna" mnie jedna. Pyta niby z zainteresowaniem o Polkę, a tymczasem druga nabiera garść jagód z mego koszyka. Gdy przejdę w inne miejsce, ci odna potajemnie ^{znowa} i wybierają te nieszczęsne jagody z mego zbioru. Na początku nie widzę tej podłej operacji leniwych dziewcząt, a później zastanawiam się: dlaczego tak mało jagód. Widzę jak urki śmieją się, zjadają jagody, chichoczą, patrząc w moją stronę. Trozumielałam się na baczności. Mało pomaga. One nie boją się mnie i teraz już jawnie zabierają jagody z mego koszyka. Co robić? Słowa tutaj nie skutkują. Cóż, idę o pomoc do konwojenta. Nie wolno bliżej podchodzić, więc z daleka mówię mu o wytworzonej sytuacji. A ten, "chłopa", woli urki. Młode wesołe, są i ładne, chociaż i próżniaki, ale to nie wróg socjalizmu zażarty-tak jak te polityczne. Przecież nie ^{przez} darmo mają swoje odprawy i zebrania. "Cóż-mówi konwojent" przecież nie będę twoich jagód pilnował. Nie was zna, te ^{wasze} babskie sprawy. "Teraz już i inne urki, słysząc te słowa otwarcie podkraśniają się do cudzych koszyków. "Co my będziemy zbierać dla żon wolnych. Niech same zbierają!". Już i inne się buntują: "Jak długo będą nas tak męczyć"-mówi moja sąsiadka. Zawzięłam się: "Muszę zebrać normę". Zaciskam spieczoną wargę, a łzy mimowoli płyną po moich opuchniętych policzkach. A jednak strzelec, widząc moją pracowitość, a może i łzy/radość: "Idź w tamtą stronę, tam mało kobiet." Ucieszona odchodzę od moich prześladowczyń. Gdyby nie te utrapione muski-co za spokój cisza! Wokoło pełno zieleni. Ale w tej radości zapominam, że to nie Polka i las podwarszawski wawerski, zbieram ^{ci} jagody i posuwam się stopniowo naprzód. Myślałam jestem teraz z dziećmi w zimowisku w Socławku, później na koloniach letnich. Co ~~prze-~~

do niego

Sum i chłód leży

wydało mi się, że słyszę głos dr Janusza Korczaka, opowiadającego piękną bajkę dzieciom w cieniu drzew. Zaptem staję, budzę się z marzeń. Nie poznaję, gdzie jestem. Nie widzę kobiet ani konwojenta. Nawet nie słyszę żadnych głosów. Poszłam, szczęśliwa, choć daleko, a strzelec w tym czasie widocznie tak, jak zapowiedział, zmienił miejsce. Nawołuję, krzyczę ile siły w piersi. Martwa cisza, tylko wierzchołki drzew kołyszą się miarowo, tylko owady nadal drażnią swoim brzykaniem. Po chwili ponawiam swoje nawoływania. Kręcę się naprożno w tej gęstej tajdze. Wyczerpana krzykiem, nawoływaniem, ~~krzykiem~~, kręceniem bez celu i pragnieniem, siadam pod krzakami. Znużona opylę głowę ku ziemi - i nieoczekiwanie zasypiam. Po pewnym czasie budzę się - w lesie już ciemnie. Pewnie spałam kilka godzin. Co robić? Noc się zbliża. A strzelec pewnie mnie szuka. W którą stronę pójść? Nagle wydaje mi się, że słyszę ujadanie psów. Na początku przytłumione, potem coraz głośniejsze, wyraźniejsze. Na wspomnienie tych strasznych bestii włoczy jeść mi się na głowie. A oprócz tego słowa komendanta w dniu naszego przybycia do obozu. Jeżeli dawniej w więzieniu w Moskwie szukałam śmierci, to teraz instynkt samozachowawczy każe mi chronić się, ratować przed okrutną śmiercią. Zostać rozszarpaną przez kły tych dzikich ~~wilków~~ wilków. Nie! Może to bliższy kontakt z przyrodą, może obecność i współżycie z ludźmi, ale w tej chwili nie chcę tak okrutnie ginąć!. I dlatego, nie zwracając uwagi na kolce i osty, na szarpiące moją odzież krzaki, wlatuję w samą ich gęstwina. W sam raz, bo oto na polanie wyskakuje dwa olbrzymie psy. Z dzikim ujadaniem rrucają się w stronę krzaków. W tej samej chwili na polanie pojawiają się dwaj strzelcy na koniach. Czy zdążyć? Już czuję chrapliwy oddech oszalałych zwierząt, które już są blisko swojej zdobyczy. Jeźdźcy! Już blisko. Zauważyli moją głowę w krzakach. Jeden nawołuje psy, a druzi: "Czego wołasz na psy. Niechły potarosiły brody

tę swolocz. Drugi raz nie próbowałaby uciekać. Tyle przez nią czasu straciliśmy. A tam konwojent czeka z całą brygadą!"

"Wyłała z krzaków podrapana, opuchnięta, w oberwanej spódnicy. Psy już uwiązane na stryczy, tylko wciąż jeszcze ujadają donośnie, jak gdyby złoszcząc się, że im zdobycz wymknęła się z zębów. Próbuje tłumaczyć się przed jeźdźcami, ale oni wcale nie chcą słuchać: "Dziesięć dni karceru i nowa sprawa w sądzie naczą cię rozumu". Jeden z ^{konwojentów} jeźdźców jedzie naprzód, drugi zamyka pochód, ja w środku, czując gorący oddech psów za sobą. Już prawie zmrok. Podjeżdżamy do drogi. Tam siedzi cała brygada. Konni podprowadzają mnie do konwojenta i odjeżdżają w stronę obozu, ich funkcja skończona: znaleźli "zbiega". Urki z krzykiem, przekleństwami i z podniesionymi pięściami rzucają się w moją stronę. Wydaje się, że jeżeli nie psy, to one mnie rozszarpiają: "To przez ciebie straciliśmy tyle czasu. Już siedzielibyśmy w baraku. A tu tyle czasu trzeba było czekać. Już i stołówka pewnie gdzie zamknięta" Ale bronią mnie towarzyszki, a i konwojent rozkazuje ustawić się i po raz ostatni liczy nas. Teraz zgadza się ruszamy szybkim krokiem, żeby chociaż częściowo nadrobić stracony czas. Jeszcze trzeba na skład⁷ zdać jagody, żeby tylko zdążyć do stołówki! Po drodze moja para opowiada mi po cichu jak to było podczas mojej nieobecności. Zgalkam - przesunęli się w drugie miejsce. A gdy nadeszła godzina powrotu / droga powrotu też 10 kilometrów / konwojent zaczął gwizdać, zebrał wszystkie na drodze i jak zwykle zaczął liczyć kobiety. Czy ma tyle, ile zabrał? Liczył raz, liczył dwa. Nie zgadza się. Oznajmia, że nie pójdą, bo kogoś brak. Wtedy moja para oznajmia, że mnie nie ma. A towarzyszka, która znała mnie z Dutówek mówi: "To jest bardzo zmęczony, schorowany człowiek. Chyba dostała ataka serca". Wtedy konwojent kazał usiąść całej brygadzie i posłać kilku poczekaj. Kobiety nawoływały, łukały, krzyczały, konwojent

krotnie wizał. Niestety, to wszystko nie dotarło do mnie.
Strzelec strapiiony, bo i jego nie posładzą po głowę, jeżeli pr-
powrocie obraże się brak jednej osoby - zeka: "To przez was, przy-
pomina sobie, patrząc na moje prześladowczynie, to przez was sp-
kojna kobieta uciekła. Powiem o tym komendantowi". Widząc, że ju-
późno, wziął karabin i wystrzelił w powietrze. W ten sposób pro-
sił w umówiony sposób o pomoc. ^{znaczy} Ktoś uciekł... Wszyscy
czekają. Po pewnym czasie dwóch przygalopowało na koniach.
Konwojent opowiedział im o moim zniknięciu. Pogałopowali do o-
zu po psy. No i koniec już mi był wiadomy. Urki przez całą dro-
gę odrażały się, że mnie załkują, jeżeli nie zdążą na kolację.
Po powrocie do zony konwojent wspólnie z wartą, która dziwiła
się, że tak późno, przepuścił całą brygadę, która popędziła po
zdaniu jagód do stołówek. Na moje i ich szczęście jeszcze były
otwarte! / a mnie kazał ~~zostać~~ pozostać na warcie. Wezwano ko-
mendanta, żeby spisać protokół. Opowiedziałam całą historię
z jagodami, nie wymieniając nazwisk moich prześladowczyń.
Miałam szczęście: konwojent należał do porządniejszych i łagod-
niejszych. Szeptał coś komendantowi na stronie. Później przeszli
do sąsiedniego pomieszczenia. Słyszę komendant śmieje się, uba-
wiony całą tą historią. Wyszedł, popatrzył na moją umęczoną i
pokaleczoną twarz: "Nowa jesteś. Jeszcze nie znasz wszystkich
porządków. Przebaczam ci. Ale pamiętaj. Jeszcze coś takiego - odr-
zu podam do sądu". Wyszłam oszałamiona, nie wierząc w ten istny
cud. W baraku czekała na mnie miska zimnej zupy. Ktoś z towarzy-
szy przyniósł mi ją po kryjomu przed "wykidyśłomem", który sto-
przy drzwiach i uważa, żeby nikt nie wnoszył misek ze stołówek.
Już i dniewalna szykowała się, by ją zanieść do karceru. Nie,
zawsze przy tej okazji coś dla niej zostanie. Komendant wezwa-
ł obie prześladowujące mnie w lesie urki. Nazwiska ich podał kom-
mandantowi.

został mi w rękach

został mi w rękach

wojent. Nasz przeżł i tak, żeby mi pozwalały spokojnie pracować. Zostawiły mnie chwilowo w spokoju. A w baraku kobiety rozprawiły: "Miałam wielkie szczęście, że tępysy jakimś cudem nie rozszarpały ciebie." Widziałam później w ciągu tych 10 lat życia obozowego kilka takich ofiar, nieudanych ucieczek, ucieczek z obozu. Najwięcej w późniejszych latach, gdy pracowałam w charakterze pielęgniarki. Oto podczas mojego dyżuru nocnego przychodzi do mnie komendant obozu i mówi: "Weź ze sobą bandaż i inne środki opatrunkowe i chodź ze mną na wartę." Otwieram drzwi i staję jak wryta. Straszny widok: kałuża krwi na podłodze, a obok dwóch mężczyzn i kobieta w podartej odzieży, prawie w łachmanach. Z boku psy na smyczy, z trudem utrzymywane przez przewodnika psów. Jeszcze rzucają się na swoje ofiary. "Czego stoisz" - krzyczy na mnie komendant "Rób swoje". Każe jednemu zdjąć ubranie. Obie nogi krwawiące rany, z jednego biodra wyszarpany kawał ciała. Jeden człowiek zacisnął zęby, nie jęczy. Jakaś zawziętość na twarzy. Przemycam płynem dezynfekcyjnym, bandażuję, posypuję proszkiem aseptycznym. Później biorę się do drugich. Myślę: "Zrobię prowizoryczny opatrunek. Muszę przecież z takimi ranami pójść do szpitalika". Ale komendant wydaje rozkaz: "Do karceru ich, pod klucz, żeby znowu nie zechcieli uciekać." Na moją uwagę: "Trzeba ich położyć do szpitalika" woła: "Niech zdechną. A jeżeli wyliżą się, jutro przekażemy sprawę do sądu". I tak w nocy wzywano mnie na wartę kilka razy. Ludzie próbowali uciekać, przede wszystkim latem. Ale wokoło tajga, bagna i te straszne psy. Opowiadano sobie po cichu, że niektórym udało się. Ale jak często opowiadano o kościach ^{leżących} znalezionych w wyschniętych czasami latem bajorach! To nieszczęsni, którzy zabłądzili chyba w ciemnościach. Jeżeli czasami budzono nas w nocy i robiono apel - to znak, że był gość brak. Ile to razy staliśmy, drżąc z zimna dworze, a w baraku i we wszystkich budynkach przeszukiwano wszystkie kąty,

104
Prze
Jeszcze ciemno, a już pobudka na wstawanie. Jak trudno wyjść spod szmat, którymi okrył się! Nic nie pomoże, trzeba wstać! Teraz dadzą ci twoją rację chleba. Brygada pójdzie do stołówki. Nie będą czekać. Niebo jeszcze ciemne. Jeszcze gwiazdy obojętnie patrzą na tę niedolę ludzką. Godzina 6-ta rano. Już ze wszystkich zakamarków pełną postaci ludzkie: z baraków, z ambulatorium, ze stołówki. Krok ociężały, powolny. To nie (radosny) nastrój do pracy, która powinna dać radość i zadowolenie. Praca w obozie jak często jest niewolą. Człowiek, żeby tworzyć, pracować musi mieć pewną ilość energii życiowej, wytwarzanej przez kalorie. A jeżeli ich brak, skąd nastrój i energia do pracy? Ledwo tych obozowych kalorii, które trafiają do zeka-wystarczy, by tyko istnieć. A cóż dopiero, gdy na dojście do pracy, ochronę organizmu od zimna-też brakuje. Więc powstaje stały deficyt-niedobór podstawowych elementów żywienia: białka, tłuszczu, węglowodanów, nie mówiąc już o witaminach.

Zimą dzień pracy krótszy. Na szczęście zeka nie trzymają więźniów na zewnątrz, gdy ściemnia się. Więc rano późniejsze wyjście a i powrót wcześniejszy. W ten sposób nie ma określonych godzin tej pracy niewolniczej. Reguluje nie zegar, a słońce: konwojenci czekają na świt i zmrok.

^{Słychać ulicę, śmiech, śpiewy}
~~Wszystko~~ ^{Wszystko} ~~przebiega~~ ^{przebiega} ~~ciężko~~ ^{ciężko} ~~pracować~~ ^{pracować} cały ten czas-wykończyłby się w

Zimą więźniowie czekają do ostatniej chwili w baraku. Rozglądają się jakby jeszcze zabrać trochę ciepła, uchronić się przed mrozem, Walenki/wojłokowe obuwie/ niezawsze wysychają za noc, więc jeszcze próbują ^{Włożyć kawałek wosku} ~~wypełnić~~ jakąś szmatę. Może ręcznik na szyję? Ale przechodzi ta chwila ostatnia. Nic nie uratuje-trzeba wyjść. Masa ludzka przed wartą powiększa się. Przed wartą ^{Wszystko} ~~stoją~~ ^{stoją} już konwojenci. Wrota otwarte.. Psy jak zwykle ze swoim opiekunem. Rozlegają się nawoływania brygadierów. Przy każdym - niech zbiera się jego brygada. Pierwsi wychodzą tragarze/gruźcziki/. Chłopaki na schwał, najsilniejsi z wszystkich więźniów. Otrzymują najlepszy kocioł-największą rację żywnościową.

Alé ważniejsza dla nich jest możliwość dokarmiania się sarnym. Tam na stacji, gdzie wyładują wagony, podkarmia się produktami z worków. Niosą worki, o dziurę nie trudno, skąd sypie się kasza, cukier i t.p. Koło wagonów mają swoje schowki. Prochy przeniosą ^{do} przez zony. Szczepił wi! Jak my im wszyscy zazdrościmy. Bośli, wygląd ich sam za siebie mówi. I ubrani najlepiej z nas wszystkich. Widać magazynier też woli z nim być w dobrej komitywie! Już przeszli. Teraz pojedynczo przechodzą specjaliści: Edun, slusarz, magazynier/instrumentalszczik/ instrumentów ^{instrumentów} do pracy, stolarze i inni. Potem brygady drwali, Specjaliści mają przepustki: wchodzi i wychodzi z zony bez opieki, kiedy potrzeba. Często pracują u wolnych, nawet chętnie, tam zawsze można się dokarmić, wpadnie im kawałek chleba, a może i coś lepszego. Niby nie wolno zatrudniać pracowników państwowych w prywatnym domu, ale Moskwa daleko, To arystokracja obozowa. Z transportu nowej odzieży czy obuwia oni i gruźcziki pierwsi. Tylko, że oni w nocy śpią, a tamtych czasami wołają i w nocy, gdy trzeba pilnie załadować wagon np. desek. Oni są też pośrednikami z wolnymi. Ukradł coś, chcesz spieniężyć - daj im załatwić. Czasem ci i list przeniosą, ma się rozumieć coś z tego muszą mieć!.

Leśnych brygad najwięcej. Są i z nimi kobiety. - do lżejszych robót: obcinać gałęzie, zdejmować korę z powalonych drzew.

Ostatni wychodzą mieszkańcy inwalidzkiego baraku. Speckomanda. Pracują bliżej zony, przy lżejszej robocie. Skurczone, skulone postacie: dochochoci i starzy. Strasznie na tych "robotników" popatrzeć. Ledwo powłóczą nogami. Przy przejściu przez wartę formalna rewizja. Nie taka surowa jak przy powrocie, ale dokuczliwa. Ubrał się człowiek, pozatykał wszystkie dziury, żeby mu ciepło było, a tu rozwiązuje się. A tu ciepło diabli wzięli! Szewska pasja człowieka bierze. Liczy się każda brygada i wręcza liczby każdemu z jej konwojentów. Każdy brygadier otrzymał nakaz pracy dla swojej brygady. Jakie zadanie do wypełnienia. Przeszli wszyscy, zamykają się wrota. Wartownicy wracają na wartę,

Wszystkie
zobacz

Wszystkie

mga

ten ogólny

Oto wychodzą z brygadą drwali. Długi wąż/ludzki/ posuwa się bardzo powoli naprzód. Chociaż konwojenci mają broń, chociaż uprzedziłe będzie strzelał, więźniowie, przechodząc koło mieszkań wólców, co pewien czas nachylają się i coś podnoszą. To jakiś ułomek papierosa, odpadki jarzyn, to zardzewiała puszka. Wszystko ma swoją cenę i wartość. Latwiej latem, teraz śnieg pokrył wszystko. Ranna zielona postać zupa i mały kawałek chleba nie zaspokoili głodu zadawnionego więźności z nas. Przed nami długi dzień pracy, a już wiele z nas ryłki kiedy będzie jadło? Coś tak ssie pod pierściami - mówi moja para. Wleczermy się kilka kilometrów po białej drodze. Dochodzimy do miejsca pracy. Pięknie. Las tonie w śniegu. Siel niepokalana. Ale mało kto interesuje się tym pięknem. Przeciwnie złorzeczą, bo śnieg zakrył rośliny, zioła, grzyby, trawy, którymi można oszukać głód. Widzę jak dwóch ze spróbują rękoma odwalić na jakimś miejscu śnieg. Może pod nim coś znajdują? Ale dla większości pierwsze zagadnienie, centralna sprawa: rozpalić na cały dzień ognisko. Ciekawe po drodze wąż ludzki widzi się powoli, ospale, a przy sprawie ogniska ożywił się. Każdy proponuje: "Ja rozpalę. Potrafię to zrobić bardzo dobrze". Zgłasza się wielu kandydatów do tej pracy. To najlepsza praca - pilnowanie przez cały dzień, żeby nie zgasło. Ostatecznie kogoś wybiera brygadier. Opału nie brak, tylko drzewo mokre, dym dusi gardło, ale każdy poln się ogniska. Przysuwam się. Trzeba się ogrzać. Ciepło w tym lepie - to nie dobro. Daliśmy opału i dla strzelca - oddzielnie zapalił sobie ognisko. Ludzie rozsiedli się wokół ogniska, ale brygadier i dziennik zaczynają gonić do pracy "Nie wyrobimy normy, no i mniej chłodziśmy". Tak dobrze siedzieć w gromadzie przy ognisku. Wokół czekają na powalenie wysokie drzewa. Podszycie lasu zaszyte grubą warstwą śniegu, gdzieś z boku małe świerki, okryte, całe cypnie śniegiem. Ten piękny śnieg zaraz zaległ pod nogami. Prawda, kto na dziecko do wszystkich drzwi w odzież i okrycie.

śledzony zardrosnymi spojrzeniami tych, co nie wytrzymali i rano odrazu zjedli całą dzienną rację. Niektórzy "ciepło" myślą o swoim kawałku chleba, co pozostał w zonie, głęboko schowany w sienniku. "Zaszyłam żeby nie poznali" - chwali się Raja. Konwojent przez cały dzień siedzi przy swoim ognisku. Praca to sprawa brygadiera i dziesiątnika.

Konwojent interesuje się tylko żywym inwentarzem-więźniami. Obserwuje, czy kto zbyt daleko nie odcłodzi. Przed powrotem oblicza wszystko skrupulatnie. Jego los też nie do pozazdroszczenia. On jeden, a po drugiej stronie gromada. Ale wystarczy: strzeli w górę i odrazu przygalać puja jeźdźcy z psami. A zresztą teraz zimą las nie nęci do ucieczki. Zimno i głodno, ślady ucieczki zbyt widoczne. Ucieczki ^{zimą} prędzej latem gdy ciepło, las udzieli schronienia w swą gęstwinie a czasami i trochę żywności/jagody i grzyby/. A jednak reżymne bractwa prowadzi często dwóch strzelców. To szalone głowy nie boją się nawet strzelca, a nowy wyrok im nie straszny. Wielu z nich - to kilkakrotni recydywiści. Teraz ognisko tak otoczone przez silniejszych w rękę i w języku, że nie sposób docisnąć się. Wszystko paruje. Mgła unosi się nad mokrą odzieżą. Chce się zimą pić - weźmiesz garść czystego śniegu do ust - przyjemnie. Pijmy czaj/herbatę? ktoś proponuje. Odrazu z głębiny wiatowanych spodni ktoś wyciąga blaszane pudełko. Jakoś udało mu się ukryć przed wartą. Teraz szczęśliwy gotuje wodę ze śniegu i pije gorącą wodę z taką rozkoezą, jak dawniej chyba herbatę z samowaru. Ktoś inny wyciągnął z głębi swoich łachmanów trochę zasuszonego mchu lub liści, kawałek zmiętej gazety i skręca zaimprovizowanego papierosa. Mężczyźni uważnie śledzą ulatniający się dym, a najbliżsi koło niego siedzący koledzy, pociągają kolejno z tego papierosa. Niestety, nie starczy dla wszystkich. Wokół toczą się różne rozmowy. Obozowym zwyczajem - centralny temat - jedzenie. "Ile chleba dzisiaj zarobią. So Co za kasza będzie na kolację? A później kto dobrego jadł na wolności. Czy te opowiadania o dawnych wspaniałościach mają uspołoi

obecny gład?

Tak mało ludziom do szczęścia w tej chwili potrzeba. Żeby brygadzie jeszcze pozwolił ot tak w gromadzie posiedzieć. Tak razem trochę cieplej i nie tak ciężko. A oto jedna dziewczyna zaczęła śpiewać jakąś czasówkę rosyjską. Druga jej pomaga. Płyną później w ciemnym borze rzewne pieśni. Niejeden zadumał się, u niejednego zaszklili się oczy. Płynie smutna pieśń o burłakach. Są podobno i pieśni, powstałe w obozach. Przyznam się ani jednej nie pamiętam. Spoglądam na niebo, tam, gdzie topór i piły pozwoliły mu zajrzeć do ciemnego boru. Niesłoty, słońce jeszcze wysoko. Chce się razem z Szymonowiczem zaśpiewać: "Zachodź że słoneczko, kiedy masz zachodzić!". Nikt nie posiada zegarka, ale znamy już położenie słońca. Przyznam się, że w obozie ~~na~~ więcej tęskniłam do zachodu słońca niż do jego promiennego światła w dzień słoneczny. Ciemno-to koniec pracy. Ciemno-niedługo trochę cieplej strawy. Ciemno-barak i zapomnienie we śnie. Słoneczny dzień - długi dzień pracy. Ciemniejszy-wczesny powrót do żony. Strzelec nie ryzykuje w ciemności prowadzić gromadę. Już trochę lżejsza ^{III - mure} praca fizyczna, trochę przyzwyczaiłam się do topora i łopaty. Ale jeszcze mi daleko do innych. Bierzesz topór w ręce. Przyglądasz się jak inni pracują. Niby uderzasz, tak jak oni, toporem, a nieszczęsna gałąź nie od razu odpada. Uderzasz z nasją raz, uderzasz i dwa i trzy-aż nareszcie za którymś tam razem udaje ci się pokonać ją. Oto leży już na ziemi. Tutaj i siła i wprawa. "Do końca wyroku jeszcze daleko-nauczę się Zapominam, że stopniowo tracę siły." Jacy my nieporadni. Dlaczego nas tak źle ^{wydawało} uczyli w szkole. Nie potrafimy wziąć do ręki żadnego narzędzia pracy. Za dużo tych dat wszystkich wojen krzyżowych, i wszystkich bitew za czasów Napoleona. Tyle niepotrzebnych wiadomości z trygonometrii i innych rzeczy, a nie potrafimy wbić porządku ani nabrać ^{rumak} łopaty z rowu? Jak często w moim życiu obozowym byłam bezbronna wobec siekiery, topora, młotka czy łopaty.

ty. Jak zazdrościłam tym prostym dziewczętom, które, gdy chciały, potrafiły sprawnie ^{przebić} ~~niehać~~ toporem, wyrzucać swobodnie ziemię z jamy, tylko widać było migającą łopatę. Ręce moje nie były wycwiczone, chyba tylko do pióra, szczotki lub ściěrki. Oto próbuję innej roboty: zdejmuję korę z powalonych drzew. Oblicza się pracę na sztuki. Sąsiadka moja już bierze się do trzeciego drzewa, podczas gdy ja biedzę się nad pierwszym. Podpatruję jej ruchy. "Daj ja ci pokazać" ^{mi Tasheni} "Widzisz jak trzeba poruszać toporem". W rezultacie ona już dawno siedzi, odpoczywa, a ja jeszcze próbuję ją dogonić. A jednak słowce zmienia swoje położenie na niebie i oto przychodzi ^{ta} szczęśliwa minuta: "Zbierać się" - oznajmia konwojent. I znów zaczyna się liczenie. Liczą nas po kilka razy dziennie. Jak strzelec bardziej gapowaty, to ta operacja trwa dosyć długo. Ktoś gdzieś pod krzakiem zapomniał o toporze. Musimy czekać. Ktoś zasnął pod krzakiem. Brygada czeka i złorzeczy. Winowajca obrywa po karaku od brygadiera. Idziemy nareszcie, są wszyscy. Ciekawe zjawisko, zawsze to samo. Do pracy wlecze się, chcąc jak najpóźniej dotrzeć do miejsca (pracy). A powrót? Jak gdyby ktoś tych ludzi zupełnie poodmienił. Większość tych nędzarzy zmienia się. Ostatkiem wysiłku woli zacząć pędzić. Jeden pogania drugiego. No i dostaje się temu, co teraz myśli coś podnieść i zatrzymać gromadę. Jak cię teraz położyłabym się koło wolnego ogniska, ciepło tam, zarzy się jeszcze węgiel, czasami jakaś iskra strzeli do góry. Leżałabym w ciszy i patrzyła na niebo. A tu jeszcze trzeba iść przynajmniej 7-10 kilometrów! Już ciemnieje. Długi wąż skulonych ludzi pędzi do legowiska, miski ci plej strawy, do swej ^{wny} nary. Biada temu, kto teraz nie ma sił. Czasami jakiś ^{przyjaciół} ~~znajomy~~ go podciągnie, weźmie pod ramię, przystanie i znów pobiegnie. "Nie rozciągać się" ^{heh} ~~słychać~~ okrzyki konwojenta. Zatrzymuje, gdy powstają luki w szeregach. Ktoś potknął się, pada. Ludzie zmęczeni, zezwierzęceni - nie patrzą pędzą naprzód, depczą po nim. Tyle pędzą! Konwojent zatrzymuje się. On przecież musi wszystkich przyprowadzić. Brygadier daje rozkaz dwóm zekom wziąć osłabionego między siebie.

Czasami całowie tak osłał, że go prawie ciągną. A bywa i tak, że go podnoszą potrąconego z ziemi. Zemdlak albo i martwego kładą na prowizoryczne nosze i idą z nim na końcu całej gromady, często zło-
ręczą ząten dodatkowy trud. Wypadki śmierci zdarzają się tak często, że ludzie tępią uczuciowo, nie reagują.

Blżej zony oczy chciwie oglądają domki wolnych. Może gdzieś naczynie z jedzeniem dla kur, dla psa.² Jak dziwnym mi się wydają białe firaneczki w oknach, doniczka z kwiatkiem. To wszystko kiedyś było. Takż dawno Praca. Cieszyłam się, jadąc do obozu: "Będzie praca, możliwość rehabilitacji. Praca nada sens życiu. Jak prędko to złudzenie prysło! Nie mogłam pracować, gdy organizm nie otrzymywał potrzebnej ilości żywności i minimum niezbędnych warunków życiowych. Nowy zeka-jeszcze wierzyłam, bywalcy, starzy łagiernicy kpili ze mnie i z mojego idealizmu. Oni oprócz tego znali kręctwo i łapownictwo przy podliczaniu pracy. Dawał za swoją brygadę -brygadier, żeby łatwiejszą pracę i lepsze wypisanie normy chleba. A jednak niektórzy porządnie pracują. Walczy o lepszy kocioł." Jak pójdiesz między dochodzaci, zaczniesz zbierać po śmietnikach-zginęłeś. Więc walczyli o to swoje życie. Każde 200 gr chleba dziennie, premiowane danie za wypełnienie normy. Niby tylko jakiś pierożek, bułeczka, ale to miało duże znaczenie przy tym nędznym jedzeniu. Dużo tutaj zależy od brygadiera, który walczy o lepszy kocioł dla swej brygady. Takich brygad, gdzie pracują z zapałem jest niewiele. Ich wysiłek zabiera zbyt dużo sił, niewspółmiernie do lepszego jedzenia. Powstawało zagadnienie-czy warto.² Wśród inteligencji politycznych spotykałam się z postawą bierną: Praca potrzebna krajowi, ale nie w tych warunkach. Ten, który usilnie i nie ma z nikąd pomocy-musi zginąć. Trzeba siebie zachować. Czoasy zmieniają się. Jeszcze będzieny potrzebni krajowi. Nie warto tracić energii dla tych 100-200 gramów chleba. Twierdzili, że pozostając w zonie nawet przy normie najmniej 350 gr chleba-pozostaną przy życiu. I tak nie tracili energii na drogę i na pracę.

Zresztą-mówili niektórzy-"nie jesteśmy pracownikami fizycznymi i nie poto nas tyle lat kształcono,by teraz zamiatać śnieg lub zbierać gałązki".Czasami sadzano kogoś do karceru,ale to mało pomagało. ^{nie chcieli} Parłtaz kiedyś przywieziono rabina.Ten odmówił pracy w sobotę.Siedział kilka razy w karcerze.Nie pomogło.Wiązali go w sobotę i siłą wywożono go na miejsce pracy.Nie pracował.Aż ,rozdrażniony komendant^{nie chcieli} kazał zatrudnić go w zonie.

nie chcieli pracować
nie chcieli
? Nie było wielkiego zapachu do pracy.Czasami jakaś brygada przepracowała dzień z zapachem,ambitnie jak gdyby to był wyczyn sportowy.Często pod wpływem brygadiera i jego pomocników.Chcesz mu dorodzić,bo w obozie-twój główny opiekun.I miejsce w baraku da lepsze,czasami wykombinuje "na lewo" dodatkową miskę,bałandy.I tyrasz wtedy,gdy on wyliczył,że się opłaca.Ale takich dni gorącej roboty mało.Czasami pracujesz,wydaje się-dobrze,a tu,normirowszczik^{nie chcieli} jakoś inaczej policzył procenty .I szlak człowieka bierze:pa co tak się starał.²

lego W zonie zostają szczęśliwcy.Chodzący lżej chorzy,na zwolnieniu lekarskim,co to im udało się"zadekować".Leżą w baraku lub snują się p zonie,choć trzeba to robić ostrożnie.Warta potrafi zawołać do mycia podłogi lub jakiejś innej roboty.Szczęśliwcami nazywano "pridurków" t.j. pracowników umysłowych kantory/sekretarz,ekonomista-plano-⁴ wik,normirowszczik.Zazdroszczono im oddzielnych własnych mieszkań klitek z foniery/dykty/ przy kantonie-to stanowiło bagactwo.Pomyśle swój własny ,choć małeńki kąt!Przy szarych,brudnych ubraniach przeciętnego zeka-wyglądali elegancko.Oddzielnie stał budynek dla personelu technicznego,administracji-słowem,pridurków⁵.Pisaniny i spwozdań do Gułagu/Tarząd obozów/ dużo.Potrzebne kwalifikacje.Ale dla nich ważniejsze paczki,które otrzymują od rodziny i przyjaciół.
"Gdy otrzymałem pierwszą paczkę-opowiada G.-zrozumiałem,że trzeba o zrobić,by zostać przy życiu.Dałem komu trzeba i dostałem pracę w bi-
rze. Nie powiem,że to najlepsza droga-ale stale dodaję i żyję".

To są wybrańcy losu. Mają pracę pod dachem. Mają specjalny kocioł. Są w łasce u kucharza, u magazyniera. A czasami i brygadier dla nich łaskawy. Łapówka idzie etapami. Nie powiem, że zawsze, ale to najłatwiejsza droga. Pamiętam kiedyś w okresie wojny wyszła z zarządu uchwała, że więźniowie polityczni ~~muszą~~ tylko pracować przy pracy fizycznej. Wrogowie - 158 - nie mogą organizować życia gospodarczego. Trudno - rozkaz. Cały personel techniczny poszedł do lasu. Na ich miejsce wzięto ludzi z więźniów ^{z jaskini} kryminalnych. Trudno było ich skompletować. Przeszedł dzień-bałagan w rachunkowości. Nie dali sobie rady. Na drugi dzień zatrzymano w zonie sekretarza, po dniu ekonomistę, jeszcze później kogoś innego i tak stopniowo cały stary personel wrócił. Oni dbali o względy wolnych. Coś nie tak i już rano mogli okazać się w ~~przerys~~ dzień albo, co jeszcze gorsze, wyznaczeni na etap. ^{na blizny} Więc walczyli o tę pracę. A o ich względy ubiegali się inne osobistości. Urabina zalecała Zeka latem chętnie szli do pracy w pole, do magazynu, suszarni, kuchni słowem wszędzie, gdzie można się pożywić. Wszystko dało się skonsumować. Idziemy wyrywać buraki. Ktoś ma schowaną jakąś namiastkę noża, więc prędko kroi się burak i od razu na surowo zjada się kilka sztuk. I kartofle, brukselki, owies, otręby. Odwieczny głód uczył przebiegłości. Do zony uda się przenieść tylko jakimś cudem, więc trzeba najedść się na zapas, bo może jutro takiego szczęścia nie będzie. A na drugi dzień biegunka zbierała bogate żniwo. Jak łagodniejszy konwojent to można postawić jednego zeka, by w kociołku blaszanym/robiono je ukradkiem w ^{na nędzi} instrumenta!ce! gotował dla wszystkich kolejno przez cały dzień. Można i zakopać trochę ^{jiny} w ziemi. Może kiedyś tutaj będą przechodzić. Patrzałam z podziwem na więźniów, którzy przeżyli w obozie po 10 ¹⁵ lat i żyli. To był istny cud. Jedni umieli kraść, kombinować. Inni udawali że pracują. Najszczęśliwsi otrzymywali paczki z domu. To najczęściej mieszkańcy ZSRR. Nienawidziłam szakali, ^{la} prawdziwe hieny ludzkie, które żerowały na nędzy ludzkiej, nędzy i nieszczęściu swych towarzyszy

Czerwona

niedoli. Taki potrafi za jednego papierosa wziąć u drugiego za całą jego dzienną rację chleba. Żyje za koszt innych. Kombinatorzy zostają specjalnie w zonie i myszkują pod kocami i w sienkach i wyciągają stamtąd ostatnie 100 gr chleba, pozostawione na wieczór przez zeka. Albo podlizuje się kucharzowi i pracownikowi w obłitoriezce - może coś kapnie. I tacy potrafią przetrwać. Faktycznie jakoś nie pracują, udaje im się jakoś "zadekować".

Patrząc na te bójkę w stołówce, krwawe rozprawy przy śmietnikach, na dzikie policie za kradzież chleba - zastanawiałam się, czy te niewystarczające normy jedzenia były tylko na skutek wojny. Wojna i wolni też głodują? Ale przecież za zoną ludzie nie odżywiali się tak znów źle. Czy to nie było skandalem, że całe główki kadnej kapusty, która dobrze udawała się na ^{moim} gliniastym gruncie, szła dla wolnych? Zakwaszali ją w specjalnych wysobich zakopanych w ziemię dużych kadziach. Wywożono ją następnie do innych miejscowości. A więźniowie? Ci dostawali górne liście każdej główki - ciemno zielone i z nich też gotowano prawie codziennie zupę-bakandę. Żle rodziły kartofle. Ale do kapusty wolnych sypano krojoną marchew, borówki. A przecież warto karmić więźniów. To oni mimo olbrzymiej śmiertelności walili las, budowali, zmieniali całą połać kraju. Widziałam, wracając przez te same tereny po 10 latach - olbrzymi kontrast. Nawet z okien wagonów można było zauważyć osiedla ludzkie, domki, tam, gdzie ongi stał bór. To praca po większej części więźniów, północy. Więźniowie, którzy przybywali etapami z innych obozów opowiadali o drogach, tunelach, zbudowanych siłami zeka, o kanałach, o tysiącach ton rudy i węgla, o trudnej pracy w poszukiwaniu złota. Najtrudniejsze prace, wiele inwestycji na północy zrobiono potem, krwią, a czasami okupione śmiercią ludzką. A gdyby, ci ludzie byli dostatecznie żywieni? A może nie szkoda, by właśnie część

wrogów-więźniów politycznych-zginęła naturalną śmiercią?

zycie

Norma może nie była tak okrutna, ale złodziejstwo na wszystkich szczeblach straszne -do więźniów dochodziły tylko okruchy .

Niszczenie człowieka.Ginęli.Nie każdy potrafił zorganizować coś dla jedzenia.Jak przetrwać?Niewi się nie jest człowiekiem wartościowym, kto dużo czasu i myśli poświęca na jedzenie. Jak można inaczej, kiedy się chce przetrwać?Bez "chodów", przy tym trudnym klimacie-zginiesz.Oboz pokazał mi upodlenie ludzkie, a z drugiej strony te wybrane jednostki, prawda rzadkie, ale które nie zatraciły człowieczeństwa.

Wiele różnych prac podejmowałam w obozie: zbierałam ^{klasy} żurawinę na błotnistych miejscach, jagody, rąbałam gałęzie, zdejmowałam korę z drzew, pracowałam w tartaku drzewnym, kopałam kartofle, miesiłam jako podręczna murarzy, glinę i wiele innych prac.Jednak nie miałam żadnej pomocy, nie otrzymywałam paczek, toteż storniuowo dochodziła". Wychudłam, poczerniałam.Ostatnie resztki moich sił pożerała praca, kilometry drogi czasami do pracy, mróz.Nikłam powoli.Osłabłam.Później serce zaprotestowało.Opuchły nogi, twarz.Nie mogłam prawie chodzić.Wydawało się-niedługo koniec.Uratował mnie ludzki stosunek lekarza. Pewnego dnia widzę jakieś podniecenie w obozie. Co takiego? pytam. "Dziś ważny dzień, może najważniejszy w miesiącu.Przegląd wszystkich.Dzień Komisji Lekarskiej. Taksuje się ludzi.Ile z kogo można jeszcze wyciągnąć?".

Przy szpitaliku jest ambulatorium.Tam za stołem siada lekarz, komendant, czasami ktoś z Zarządu.Paradoks.W życiu codziennym kłamstwo, tężyznie, fizycznej sprawności.Tutaj słyszę szept gorącego marzenie:"Żeby mi dali gorszą kategorię, zapisali do inwalidów, Słabkomandy".Wywołuje na kontrolę bragadami.Na stole leżą wykazy.Więzień wchodzi w dolnej bieliźnie.Lekarz ogląda ręce, nogi, wysłuchuje serce.Po większej części pacjent skarży się:"Sił nie mam

228

doktorze". Lekarz osłucha jego mięśnie, każe zrobić przysiad i wtedy widzi wyraźnie - czy są jakieś mięśnie, zaokrąglenia. Jeszcze jest trochę tych mięśni, ^{może} zapada decyzja: "Zdrow, pracować może". Później przychodzi Słabkomanda, to ci co w tym miesiącu mieli łatwiejszą pracę. W oczach każdego tała żalosna prośba, która zdaje się krzyknąć: "Zostaw, chociażby jeszcze na miesiąc". Nieste ty, kto się trochę podciągnął, a w brygadach brak ludzi - zostaje wypisany do normalnej brygady. Lekarz, porządny człowiek, stara się bronić jak może swoich pacjentów - coś siedzi przy stole komendant. "Doktorze - mówi - ten chyba może wrócić do brygady. Brak mi ludzi do wypełnienia planu. A w szpitalu tylu leży." Gdyby tych ludzi lepiej odżywiać, byłiby zdolni do pracy. Ich choroba to w znacznej części upadek sił, naruszenie równowagi biologicznej - takie myśli krążą po głowie uczciwego lekarza. Najlepiej przecież odzają egzamin lekarski, ci co mają przepustki. Wyglądają zupełnie inaczej. Oni nie proszą o zmianę kategorii pracy. Są w tej kategorii i zadowoleni. Ta przepustka - to życie. Tak samo nie starają się i różni brygadierzy. Cóż, często mają trudną odpowiedzialną sytuację, ale zawsze wykombinują dla siebie więcej i lepszej żywności. Dla siebie i dla swoich pomocników. Oszukują kucharza, zabierają porcje chorych, umarłych i t.p.

Co zrobić? Starać się o inwalidztwo - też niedobrze, bo przy najbliższym etapie komendant stara się pozbyć takich nieproduktywnych robotników i przesyła je do innego obozu. A to jeszcze gorsze. A jednak każda komisja to powiększenie bez prośby większej ilości gorszej kategorii pracy i inwalidów. Aż strach patrzeć na te łachmany ludzkie. Koście okryte skórą. Ludzie nie myślą na dalszą drogę: "Etap jeszcze daleko. Byle jutro zostać w zonie, a co ^{nieluzne} ~~szczęśliwsze~~ - dostać się do szpitala". Nikt nie przy przed komisią napił się słonej wody, opucili. Może dostaną

byli ludzie nieświeży

do szpitala. Doktor naciska opuchliznę na nogach. Patrzy podejrzliwie na kandydata do szpitala. Serce? Chyba nie. A komendant krzyczy: "Do sądu cię podam, swołocz jedna, sam robisz się inwalidą teraz w okresie wojny, gdy ludzie potrzebni". Potrzebni ludzie? Gdyby żyli w innych warunkach - byłiby ludźmi, a tak to tylko namiśka, numer re-estracyjny więźnia. Kilku szczęśliwców dostaje niższą kategorię pracy. Niektórzy zapieani na miesiąc do słabkomandy, dwóch skierowano do szpitalika. Stosunkowo najlepiej wypadają kobiety. Po pierwsze jest ich w porównaniu z mężczyznami znikoma ilość. Wśród nich sporo młodych ładnych kobiet, utrzymywanych przez "zarobnych" mężczyzn. Niebardzo przejmują się pracą i tak sobie żyją. Dużo wśród nich recydywistek, werbujących się wśród przede wszystkim ^{homoseksualnych} złodziejek, prostytutek i włóczęgów/niepracujących. Inna sprawa z politycznymi. Przeważają starsze kobiety. Kilka inteligentnych pracownic biurowych pracuje w kantorze. To przede wszystkim Rosjanki-Moskwiczki. Jeżeli jakaś kobieta dochodzi zostaje dniwalną lub pracuje w kuchni. W każdym razie na tych obozach, gdzie żyłan-kobiety były bardziej żywotne i wypadek śmierci płci żeńskiej stanowił znikomy procent w porównaniu z mężczyznami. Gdy przyszła na mnie kolej lekarz powiedział: "No i prędko doszedł". A komendant: "Czy one w tej pańskiej Pałace potrafiły pracować?" Dostałam kategorię inwalidzką. Doktor obejrzał moją opuchliznę, słuchał serce, pokiwał głową i powiedział, żeby się pilnować. Pilnować się! Jak? Ani paczek, ani pieniędzy, listów. Jeżeli chodzi o "męża" to wszystko we mnie krzyczało, buntowało się przeciw takiej prostytucji. Teraz na pewien okres czasu czułam się szczęśliwa. Spełniło się pragnienie. Zostać w zonie, chociażby strzeżonej przez konwojentów na wózek. Przez pewien czas nie wychodzić rano na wartę, nie widzieć konwojentów, psów. Unikać obrzydliwej rewizji, gdy ręce po tobie ryzakują, po całym ciele, szukając ukrytych rzeczy, specjalnie przy powrocie do zony. Nie słyszeć tych potę-

^{zrywku} plugawych ślów, rzuconych w tłumie i przez konwojentów, na k.....
na h....i przyznam się innym, których dotyczy czas w życiu nie
słyszałam. Nie widzieć tych powrotów ponurych, gdy zanika wszelkie
człowieczeństwo. Zostaje tylko wygłodzone stado, które pędzi osza-
lałe z głodu do koryta. Trochę inaczej żyje się w zonie. I oto
przez miesiąc po kontroli lekarskiej dostaje pracę dziewalnej
w baraku żeńskim. Praca uważana za najniższą w randze społecznej
nawet w obozie. Bywają dziewczyny, które pracują w baraku, gdzie ży-
je kilka brygad. Ale chyba nie ma tyle kłótni, plotek i zazdrości
I na ~~tych~~ ^{nie ma} tle ^{awantury} ~~awantury~~ ^{plotek} ~~awantury~~ ^{plotek} w baraku. W baraku zawsze zostawało
rano kilka osób/pracownicy zony, lżej chorzy, zwolnieni z pracy.
Czasami potrafiły się i "zadekować" zupełnie zdrowe. Jak przycho-
dzi kontrola chowają się. A ~~ja~~ ja muszę udąć, że nie wiem, jak się
schowały, bo oberwę później po odejściu władzy. Trudno utrzymać
porządek. Przyniosłam naprz. wodę dla brygady na wieczór. Umyją
po pracy. A tu zaczynają ^{kućki} pranie, chociaż w baraku nie wolno prać.
Już popchwali nie ma wody. Przynoszę po raz drugi. I to nie wystar-
cza. Zamiast tego pełne kubły brudnej wody. Raz wylałam. Później
żędam, żeby posprzątały po sobie. "Ty dziewczyna" - krzyczę - wylewaj
to twój psi obowiązek". Powiesz coś, możesz znów złapać kulakie
w plecy. I znów ^{kućki} miałam pretensje do mojego wychowania. Nie wolno
się bić. Kulturalny człowiek może zawsze porozumieć się! Spróbuj
wykpić, wyśmiej. Czasami, gdy jeszcze jest ktoś z politycznych, pró-
buje interweniować, ale to rzadki wypadek. Posyła mnie ^{kućki} ~~clora~~ ^{kućki} do
stołówki z kociołkiem po zupę, a tu przez ten czas coś ginie
w baraku. Jeszcze nie wiesz, ale wieczorem, gdy wracają brygady
zamieszanie, rwetes. Coś komu zginęło - chleb, coś z odzieży. Kto wi-
nien? Ma się rozumieć dziewczyna. Nie dopilnowała albo sama wzię-
ła. Zaczęłam moje, że nigdy nie kradnę u tych najsilniejszych
i najbrutalniejszych w języku i w pięści - boją się. A ^{kućki} ~~kućki~~ ^{kućki}
Jak utrzymać podłogę w czystości? Do żeńskich baraków przycho-

x
jak u cioci

nałwipoci odwiedzaćcy. Mężowie do swoich żon, nowi kandydaci
mężów, czasami ko wojenci/wartownicy/wypatrzeni sobie żadną dnie-
czynę, to kłóć przyjdzie, żeby mu coś uszyć. Czasami prosto w go-
ci tu przyjdzie, ciekawiej niż u mężczyzn. Czasami jakaś szmat-
kolorowa cięsy oko. Są kobiety, które nawet w tych strasznych w-
runkach wytną z jakiejś szmatki lub papieru serwetkę, postawią
fotografię. Niektórym mężczyznom przypomina to rodzinę. Cwar, hał
podniecenie. Podłogę umyłaś i znów cała zabłocona. Wieczorem zbi-
ram wszystkie walenki i niosę je do suszarni/suszyłka/. Tam pro-
sisz gorąco, żeby twojej brygadzie dobrze wysuszyli. Rano pierws-
z baraku zrywasz się i biegniesz po te walenki. A tam moc ich z
całej zony. Duszno, parno, leżą setkami te walenki, często źle wys-
chły. I kto znów winien? Na kogo grozy, krzyki i narzekania? Jasne
dniewalna. A całym jej błędem, że nie ma zbyt czystego chleba. Dała
by pracownikowi suszyłka-ustawiłby na honorowym miejscu, gdzie
najcieplej. I on jak wszyscy próbuje dożywić się. A dniewalna
z drugiego baraka chodziła w czasie swego dykturu myć podłogę
do chleborozki, magazyniera, czy do kuchni. Wogóle zarabia na 1
wo. Dostaje zawsze coś za tę nielegalną pracę, chleba albo przy-
okienku kuchennym dobrze namaszczonej kaszy. Mężczyźni wolą ko-
ty do sprzątania, bo jest okazją do korzystania z samej kobiety.
A kobiet jest mało w obozie. Kiedyś poprosił mnie pracownik ch-
borieszki o pomoc przy sprzątaniu, poparł jego prośbę sam kome-
dant. Posprzątałam. Dał mi duży kawał białego chleba/z racji i c-
ko chorych/, ale, gdy zabierałam się do odejścia próbował mnie
objąć i zaciągnąć w jakiś zakamarek, Rzuciłam mu chleb na stół
i wybiegłam z tego raj. Dniewalna-to intratna posada, ale trze-
być łatwiejsza dla mężczyzn.-dorabiać. A tak to kocioł żywieni-
dniewalnej jest najniższy. "Zginiesz sama"-kiedyś powiedział
kucharz. Ale znów szczęście uśmiechnęło mi się i pozwoliło zac-

był towar obur

zachować swe życie w przeciągu tych ciężkich i strasznych lat życia. Po miesiącu pracy w charakterze dniewalnej, gdy stanęłam przed komisją lekarską, nie mając zamiaru pracować jako dniewalna, lekarz-kobieta powiedziała: "Kobiety mówią, żeś porządna ^f, spróbuj na dniewalna i chysta. Czyś ty uczciwa? To może poszłabyś do mnie pracować jako sanitariuszka do szpitala". Moja ostatnia sanitariuszka ma zbyt długie ręce i chorzy jednogłośnie mówią, że ich okradła. Wogóle skartą się na nią. Spojrzałam tak na nią, tyle pręby widziałam w moich oczach, że jak mi później opowiedziała, nie mogła mi odmówić. Zaczęliśmy poszłam pracować do szpitalika. Tutaj praca wydawała mi się w pierwszych dniach rajem po piekła za zoną. Przede wszystkim ludzki stosunek. Nikt na ciebie nie krzychał, przeklinał. Ciepło. Czyściej. Nie głodna. Praca, która ma swój sens społeczny. Przynosiłam codziennie z kuchni jedzenie dla chorych w dwóch dużych wiadrach. Dla ciężko chorych kuchnia gotowała oddzielnie. A oni nie mogli często jeść lub niewielką ilość to też pozostawiało dostatecznie i dla obsługi szpitalnej. Później lekarka, patrząc na moje opuchnięte nogi, zapisała mnie też jako chorą na rację szpitalną. Szpital, nie wiem czy na to miało zasługiwać podłużny barak, podzielony na kilka pokoi, raczej klitek, gdzie na łózkach leżeli chorzy. Przeciwnie w takim obozowym szpitaliku był jeden pokój dla kobiet, jeden dla gruźlików, nas nie dla chorych na biegunkę, no i różnych ^{innych}. Z mojego okresu najwięcej było właśnie chorych na biegunkę. A wyposażenie? Strzykawki do zgarniania, termometry, jeden lub dwa termofory/grieki/, przyrządy do przepłukiwania żołądka, bańka do lewatyw, banki, notyczki, lampka spirytusowa do gotowania iście i wody. Apteczka nędzenie zaopatrzona. Czasami tysiąciami bez podstawowej lekarskiej. Wojna. Rozumiałe wszystko szło na front. Ale i po wojnie było lepiej. Żadnych możliwości przeprowadzenia analiz i najwłaściwszych badań. Trochę waty. Pandaze, które prano i uży-

sterylizacji przekazywano drugim chorym. Czasami tylko trudniejsze wypadki przesyłano do miejscowości, gdzie pracował chirurg. Ambulatorium-izba chorych przy szpitalu stale obleżona przez chorych, specjalnie przed ^{operacjami} rozwodem. Nie bogatsza od szpitala. Lekarz odpowiadał na ambulatorium i szpital. Zwykle to był ktoś z więźniów. Czasami zdarzał się ktoś z wolnych. Najczęściej z kogoś z pracowników z załogi. Tak samo jak i wolne siostry. Muszę przyznać, że lekarze robili w tych trudnych warunkach, co mogli. Ale byli bezsilni, nie mogli walczyć przeciw największemu wrogowi zaka, przeciw zagładzie biologicznej, spowodowanej głodem i ciężkimi warunkami pracy. Wogóle ^{do} niebardzo ufali lekarzom-^{woj} więźniom w myśl zasady "Cwój swego popiera". Na komisji lekarskiej często popadali w konflikt z komendantem, który krzyczał, gdy dawało więźniów dostawało niższą kategorię pracy. Jedyne szczęście, że wolnym też potrzebny lekarz, specjalnie tym, którzy mieli małe dzieci. (Takiego lekarza ^{nie} potrzebny). Często wołali do siebie z załogi. Trudno mi było na początku. Moja lekarka miała idee fixe na punkcie podłóg w barackowym szpitalu. A podłogi były stare drewniane. Miała taki zwyczaj: Codziennie rano, przychodząc do szpitalika, stawiała na progu każdego pomieszczenia i przyglądała się sceptycznie podłogom. Czy dosyć czyste? Musiały być według jej gustu śnieżno białe. A tu ani szarego mydła, ani sody. Chciałam jednak ją zadowolić, chociaż były sprawy o wiele ^{nie} ważniejsze. Codziennie na kolanach skrobałam nożem każdą deseczkę oddzielnie. A chorzy widząc, ile wysiłku wkładałam w tę podłogę, starali się ją zaoszczędzić. Przy tej pracy w lepszym jedzeniu wzmocniłam się trochę, uspokoiliłam nerwowo. W szpitalu było duszno. Niektórzy ciężko chorzy na biegunkę nie mogli upilnować czystości, załatwiali się pod sobą. A jednak ludzie błagali, peradoś, marzyli o chorobie. Leżeć na łóżku, nie pójść wiele kilometrów do pracy, gdy brak

sił. A gdy choroba nie odrazu przytłoczyła na ich wezwania, często do ludzi przyspieszali jej przyjęcie. Kaleczyli specjalnie, połykali sól, o której już wspomniałam. Przytłoczyła ich ambulatorium - rana ropiejąca na nodze. "A przecież wczoraj już prawie była czysta" - mówi lekarz. "Dlaczego ściągnęłaś bandaż?" X - milczy. Cóż widzieć - wprowadził znów infekcję. I jest wewnętrznie zadowolony: choroba przedłużyła się. Czasami grozi nowy wyrok? Kaleczenie umyślnie swego ciała i to w okresie wojny? Widziałam: kiedyś brygadier krzyczy na swego podobiecznego: "Ty, czego nie pracujesz? Cierwo!" A ten: "Nie mogę, źle się czuję" A ten drugi: "Symulant jesteś, rz.... jedna. Nie chce ci się pracować." Wówczas, dowiedziony do ostateczności, schwycił siekierę, którą pracował: "Nie wierzysz mi, to teraz uwierzysz!" I z tymi słowami machnął i odciął sobie dwa palce u nogi. Krew bryzgnęła. Ani jęknął. Jakąś brudną szmatką próbował zahamować krew. Prowadzili go do ambulatorium. Opatrunek, karcer, nowa sprawa, nowy wyrok. Ale dokazał swego: dostał gorszą kategorię zdrowia, do tej brygady nie wrócił. Kto policzy wszystkie wysiłki, by na kilka dni wyrwać się z katolicyzmu pracy i pobyc spokojnie w szpitaliku lub chociażby w zoni? Czasami te sposoby zaprzeczały wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, a czasami i wszelkim normom moralnym. A jednak te poczynania w pewnych wypadkach dawały możliwość dłuższego przetrwania. Miałam poczucie namiętności pracy społecznej. Czasami udało mi się być użyteczną chorym, ulżyć ich niedoli. Ale w tej pracy było bardzo wiele ciężkich godzin. W okresie silnego nasilenia liczny chorych, leżeli po dwoje na jednym łóżku. Cto podaje rano ciepło chorym wodę do mycia, radzę, by chociaż obmyli twarz i ręce. Mówi do młodego chłopca: "Ania, weź się, umyj się. A on nic. Odczytałam to a on leży martwy. Dostał ataku sercowego, a nikt nie zauważył ani medycyńska siostra, ani nocna sanitariuszka, a co dziwniejsze...

z kolegą, z którym spał w jednym łóżku. To znów niosąc na noszach
wspólnie z drugim sanitariuszem do ^{koszary} morgu młodego człowieka, epi-
leptyka. Chłopak ten często właśnie ^{rankami} padał na ziemię w at-
ku epileptycznym. Później zrozumiał, że to go ratuje od wyjścia
kilka kilometrów do lasu, więc czasami padał na ziemię - symulował
atak. Tego ranka właśnie narzekał na jakieś bóle. Upadł podczas
apelu. Komendant kazał odłożyć go na stronę: "Udał się - nie chce pra-
cować". A na propozycję, by zawołać lekarza, odpowiedział przecząco
"Jak tylko zamkną wrota ^{robocizni} wyzdrowieje". Później po godzinie przyni-
li go do ambulatorium - już zbyt późno - był martwy. Zginął z powodu
braku natychmiastowej pomocy. Często wieczorem po powrocie z pra-
cy przynoszono ludzi bez przytomności. To ~~czesto~~ jakiś dochodził
ga bez sił, skulił się pod krzakiem, zasnął i już był gotów. Przyno-
sili go ~~prędko~~ koledzy z tej samej brygady, d ^{oni} sami prędko podzi-
li do stołówki. Lekarz i cały personel przystępowali do pracy, by
uratować nieszczęśliwego. Najpierw sztuczne oddychanie, zastrzy-
jeżeli były ^{niebezpieczne} glikozy, wlewano płyn fizjologiczny, okładano po
pewnym czasie nogi termoforami. Czasami mimo tych wszystkich za-
biegów przez dłuższy czas nie dawał znaku życia. Ale bywało po
pewnym czasie - raptem ^{razem} pierś zaczyna się rytmicznie ruszać. Oddycha-
nie dziwne. Po pewnym czasie ^{po} wyrwany śmierci, szuka niespokojnie s
czapki, gdzie często chowali swoje skarby i pyta: "Czy jest tam
mój ⁴ tażon / kartka / na posiłek? Uspokajam go, że zaraz mu wszyst-
kiego z stołówki przyniosę. Niezawsze udało się takiego zamar-
tego uratować. Wymęczony organizm często nie reagował na te
wszystkie zabiegi. Nie pomogła już teraz żadna glikoza, która
jeszcze rano mogłaby go podtrzymać na siłach. Nieśliśmy go do
kostnicy, która znajdowała się przy szpitaliku i zawsze miała
mieszkańców. Przyzwyczaiła się do mnie lekarka, polubili chorzy
Nie liczyłam się godzinami pracy, cieszyłam się, że mogł być u-

do pracy

wpłynęło w

teczna. Razem z poprawą mego zdrowia, wzrosła moja energia do pracy, chęć pomocy chorym i chęć do życia.

Raptem grom z jasnego nieba: z naszego obozu rusza etap i ja też znajduję się na liście transportowej. Napróżno lekarka stara się mnie zatrzymać jako dobrą pracownicę, potrzebną szpitalowi. Biegnę do komendanta, kantory. Nie pomaga. Jest rozkaz: Wszystkie kobiety 58 maja zostać odprawione na drugi obóz. Jest jakieś przeurządzenie. Zaczyna się znów cały koszmar: zdawanie inwentarza, dokładna szron/rewizja/, droga pod wzmożonym konwojem, nowa praca, nowe miejsce, nowi ludzie. Jedyne szczęście, że przyjazna mi lekarka dała mi przed wyjazdem nową kategorię zdrowia: inwalidka II grupy, co mi chroniło przynajmniej przez miesiąc od pracy na powale (przy wyrąbie lasu). Teraz pracuję na nowym miejscu w tartaku przy uprzęcinu opilek. W tartaku pilą olbrzymie leśne na deski. A ja usuwam oierzynę masy/opilek spod maszyny, tnącej drzewo. Nachylam się i dużą drewnianą łopatą wygrzebuje opilki, ^{spod maszyny} później nakładam je na wózek. Muszę się spieszyć, bo w przeciwnym razie opilki zapychają maszynę i nie można pilić. Z opilek tych w innym przedsiębiorstwie, obok wyrobu spirytusu, z tych odpadów drzewnych wytwarzają jakąś ciemną masę, którą nazywają "drożdżami". I tym ubocznym produktem chcą karmić więźniów. Drożdże przywożono do stołówki w zonię. Dzielili między największych nędzarzy pośród zeka, bo żaden trzymający się jeszcze mocno na nogach robotników nie chciał wziąć tego do ust. Lekarz mówił, że to (podobno) ma chronić przed skorbutem. Wobec tego i ja zaczęłam próbować, bo już moje zęby zaczęły mi mocno dokuczać. Cóż, kiedy nie mogłam przełknąć tej mdłej, niesmacznej masy. Piliam wywar z igieł sosny, którym poiłam też chorego podczas mojej pracy w szpitalu. Ale same witaminy, to trochę za mało. Bo ^{witamina} pili, ale tracili zęby, włosy, a później i życie. Tak samo i mnie skorbut zjadł wszystkie zęby. Wypadały z dziąseł, można je było włożyć jak do torebki. Ale ludzie jedli z rapakiem to

drożdże, mając czymś zapełnić puste toładki. Ale, nieś ety, ten dar przypadkowy ustał po pewnym czasie. Na się rozumieć przy mojej pracy i przy niedostatecznej racji żywnościowej - znów opadła z sił. Nogami były grube jak kłody drzewne, Oczy małe szparki, zagubione w opuchniętej twarzy. I na nowym miejscu obowiązki komisji lekarskiej. Lekarz sam więzieni, znany uczony z Moskwy, popatrzał na mnie uważnie. Na brak mięśni, wystające łopaty i wszystkie zębra i pyta: "Co robiłaś na wolności?" A ja olśniona nagle - mówię: "Na poprzednim obozie pracowałam sanitariuszką. A może i tutaj potrzebna? Mojej pracy z wolności - tutaj nigdy nie dostanę. Na szczęście nie ma tutaj dzieci". Nazajutrz poszłam na przyjęcie do ambulatorium. Opowiedziałam o moim życiu lekarzowi, który wzbudzał zaufanie i o mojej karierze obozowej. Zapisał mnie ze względu na mój zły stan zdrowia do szpitala. Ale jak tylko czułam się trochę lepiej wstawiałam i pomagałam w pracy przy chorych. Wolne siostry po kilku dniach same zwróciły się do lekarza: "Ostawcie ją, doktor, w szpitalu. Ona piękna i lubi chorych". I tak już pozostałam przy szpitalu. Życie miało perspektywę na najbliższe dni. Pewnego dnia nie przyszła wolna siostra, więc lekarz mi proponuje: "Widzisz jak dobrze odczytujesz na deseczce moje zlecenia. Znasz język łeciński, bo podajesz dobrze wszystkie lekarstwa siostrze. Czy chcesz pracować w charakterze siostry?" ^{dlatego} awansowałam z sanitariuszki na siostrę. Administracja chętnie zgadza się, bo siostrze - zeka nie trzeba tak jak wolnej płacić. Jest oszczędność. Przydały mi się teraz wiadomości z kursów Czerwonego Krzyża, ukończonych w Belgii. Przypomniały mi się wskazówki dr Janusza Korczaka, który uczył mnie robić opatrunki dzieciom na koloniach letnich w Gocławku. Ale w tej pracy były koszmarnie godziny, które mnie często i teraz nawiedzają po wielu latach. Jako pielęgniarka nocnej zmiany, codziennie wieczorem, gdy obóz ^{zamilkł}, pogrążony we śnie, o północy

gdy cicho-spią- ^{włb} zaieżdżał co dzień lub co dwa/zależnie o
nasilenia chorób/ przed kościół przy szpitalu wóz lub sanie, na
które ładowano trupy. Na początku w bieliźnie, później dla oszczęd-
ności zupełnie gołe. Zimą wyciągano sine, straszne, zaraznięte ciała.
Oficjalnie przy zakopywaniu musiał być komendant i ktoś z medycyn-
skiego personelu. Wolne siostry wołały pracować w dzień. Więc na mo-
dół wypadała ta straszna funkcja. Słyszałam jak komendant wołał
mnie: "Chodź, Mironowna." Nic nie pomogło. Szłam w ciemną zimową noc
w stronę warty. Szłam razem z komendantem. Później ^{bardzo} często on gdzieś
znikał i ja sama szłam za saniami. Patrzyłam na tę górę ciał, źle
okrytych jakąś płachtą. Sterczały cude ręce i nogi, czasami głowa
sina, wykrzywiona w śmiertelnym bólu. Próbowalam odgadnąć czyje to
części ciała. Oto na wierzchu leży Y. Jeszcze wczoraj gorąco prosił
już nieprzytomny-swoją żonę o ratunek. A ten drugi krzychał: "Ja nie
chcę umierać. Jestem taki młody" .. Gdy noc była jasna księżycowa
widziałam wyraźnie jak ciała podskakiwały po zamarzniętej ziemi.
W polu już czekał wykopany dół. Wóz lub sanie często nie mogły do-
jechać do dołu, więc woznica prosto ciągnął za nogi z wezu ^{san} zupełnie
gołego ^{zwinu} po ziemi. Głowa stukała po grudzie. Gdy już wszystkie trupy
ściągnięto do dołu, robotnik prędko zasypywał je ziemią. Nieraz ci-
ła nie mieściły się w dole, wtedy wchodził do dołu i upychał je,
ubijał nogami. Ten makabryczny obraz prześladowało mnie nieraz po
nocach. I już po wszystkim: żadnej deski z napisem. Bezimienne groby.
A wogóle- kto po kilku miesiącach wogóle pozna, że tu leżą ludzie?
Gdy przecież odzikałam przez wartę wtedy dawano do podpisu papierki ^{ty}
i tyle osób ^{zmiesz} wywozi się z obozu. I data. Pamiętam jak wartownicy
otwierali wrota, podnosili płachtę- żartowali: "Co wyprawiacie ci-
czyków na tamten świat?" Później, ^{u kry} gdy przez radio poszukiwali za-
nionych osób/ Czerwony Krzyż/, myślałam sobie: "Jest na świecie tysiąc
beżimennych grobów i wojennych i cywilnych".

W szpitalu miałam ularceki z sanitariuszami. Walczyłam z ich zachłannością i ościkym stosunkiem do chorego. Czasami umierający nie ostygł zupełnie, a już go ciągnęli do kostnicy. Wiedziałam, że spieszyli się, by przed nadejściem władzy zrobić porządek z "bogactwem umierającego". Chcieli załatwić swoje sprawy. A więc czasami pod poduszką lub siennikiem chorego można było znaleźć jakieś pieniądze, zwykle grosze, duży zapas ci leba, który ostatnio nie miał siły zjeść i na który ostrzyli zęby lżej chorzy, czasami kluczyk do kuferka, który znajdował się w masazynie. Chorym nie wolno było trzymać przy sobie rzeczy. "Chodźmy" - słyszę głosy sanitariuszy - tam u niego są zdaje się ładne wyszywane koszule, które chował na pariaćkę domu w Rumunii." No i przywłaszczyli sobie wszystko, co w tym kuferku znaleźli. Wydawało mi się, że umierający jeszcze coś je wyszukujące pod poduszką ręce. "Dajcie mu umrzeć spokojnie - mówię". Uważałam, że to okrutne tak czekać na śmierć nieszczęśliwego człowieka. Zresztą wszystko, co po nim zostaje winno być oddane państwu, bo rodzina, niesety, nie znała o tragicznym końcu swego krewnego. Nieraz ³ mnie umierający ² prosił: "Masz adres, zawiadom po mojej śmierci rodzinę". Ale nie wolno było wysyłać takich listów, przynajmniej na tych obozach, gdzie ja byłam. I faktycznie jeszcze dzisiaj są rodziny, które nie wiedzą, kiedy i jak zginął człowiek im najbliższy. Nie wiedzą, gdzie jego grób.

Mądrzejści życiowo ode mnie sanitariusze śmieli się z mojej naiwności, uważali, że każdy w tym strasznym miejscu ma prawo żyć, ratować się, zbierać na trudniejsze godziny. Prawo silniejszego, prawo nieludzkie. Więc bogacili się kosztem nędzarzy, sprzedawało wszystko, co się dało sprzedać, mieli pieniądze, mieli i odzież. To też często starali się ukryć śmierć ciężko chorego do czasu wydostania wszystkiego jego "skarów". Czasami oprócz chleba chorego człowieka, dociegi nie posiadał absolutnie niczego.

Ktoś mieli rację sanitariusze, mówiąc, że jestem naiwna. "Patrz-
doład idą te rzeczy?" Jakże często później widziałam te wyszy-
wane koszule i kołuski rumuńskie na plecach woźnych strzelców
lub ich rodzin. Kto ich kontrolował? Wciąż często zachował tę
ostatnią koszulę na pamiątkę dawnych dni albo z myślą, że go w
nią ubiorą do pracy. Prawda, większa część, masa nie posiadała
po pewnym czasie niczego. Ale niektórzy ginęli w krótkim czasie
po przybyciu do obozu. Zabijał ich nie tylko wróg numer 1 - głód,
ale i klimat. Tak masowo ginęli przybysze z Rumunii. Czasami zda-
rzało się, że wciąż jeszcze przycodziły paczki dla mieszkańców
wiosek i miast rosyjskich. Rodzina w tym trudnym czasie odej-
mowała sobie od ust..... Najbiedniejsi byli gruźlicy. Oni chcieli
żyć. Wszystko sprzedawali, zamieniali-by uciec ze
szponów śmierci. Fama obozowa głosiła: "Tłuszcz psi to cudowne
lekarstwo na gruźlicę". I oto sprzedają ostatnią koszulę, wysprze-
dają swoje szpitalne racje żywnościowe, by ten cudowny lek dosta-
ć. Piszą do rodziny, błagając o to lekarstwo. Ci bez rodziny proszą
"Wystaraj się gdzieś, siostrze, o ten tłuszcz". A jednak przez cały
czas nie widziałam, żeby się chociaż jeden gruźlik wyleczył. Ich
plwociny wysyłano do analizy do jakiegoś zamiejscowego labora-
torium. Rezultaty: nie ma poprawy. Pokój gruźlików - to był pokój
skazańców. Leżeli w małym pomieszczeniu, łóżka blisko siebie, dus-
no, ciasno. Tutaj śmierć zbierała obfite żniwo. Gorączka zjadała
ich ciała. Brak apetytu, brak lekarstw, słabe powietrze. Skazańcy
Pamiętam dobrze 15 letniego, ślicznego chłopca. Patrzył na mnie
swoimi dużymi czarnymi oczyma: "Kocham cię siostrze, czy ja też
umrę jak oni?". Za co to dziecko siedziało? Proszę, siostry,
założyli się z kolegą, kto prędzej na łyżwach dojedzie na dr-
gi brzeg. A tam była zdrajca Rumunia. Głupcy byli ci! Już wró-
cili na naszą stronę, to nas zaareztowała straż graniczna
Pewnie zauważyli. Ojciec tamtego chłopaka, ważna osobistość, po-

o śmierci

o on ją nie żył

u ten sposób

Krwotoki

opowiedzi

Dzięk

wiedział, że to ja narównie z jego syna, potrafił go zwolnić, a młody dali paragraf 58-niby ja szpieg, albo pomagałem szpiegom". Młody tęsknił za rodziną, za matką. Organizm (młody) bez dostatecznej ilości pożywienia zaczął się prędko. Później przyszło zapalenie płuc i ostateczny rezultat - gruźlica. W naszych warunkach mógł tu poroć szpital. Coś wobec prątków, co go zjadały mogła pomóc lepsza racja żywnościowa, biały chleb, trochę cukru. Leżało ich dziesięciu w pokoiku i umierało kolejno. A ilu chodziło! Trak miejsc. Brali tych, co już chodzić prawie nie mogli. Pokój gruźlików - to był pokój śmierci. Wolna siostra bała się tam wchodzić. Często prosiła: "Idź, Mironowa do nich. Ja się boję. Zmierz temperaturę, daj lekarstwa. Zrób komu trzeba zabieg, tak jak zapisał doktor." Ja nie tylko to wypełniałam, ale w wolnych chwilach siadałam przy łóżku 15 letniego Miszy. Starałam się coś mu opowiedzieć z wolności, ukoić jego tęsknotę. I co powiecie? Gruźlica nie zaskoczyła mego wyniszczzonego organizmu, a ona - wolna siostra, młoda, szczęśliwa, żona oficera, która bardzo rzadko wchodziła do pokoi gruźlików, zwykle ^{tylko} podczas obchodów lekarskich - zaraziła się, zachorowała i chociaż mąż wywiózł ją do sanatorium - umarła. Przyznać się, gdy wracałam od łóżka Miszy często oczy moje były pełne łez. Umarł po pewnym czasie. Wyzwolił się. Odpoczywał. A jednak niektórzy ^{mierni} zazdrościli gruźlikom. Nie myśleli udręczenia na dalszą metę: "Leżą. Mają tyle białego chleba." Kiedyś, zdumiona wypędziłam jakiegoś zekę z pokoju gruźlików. Kradł z misek jedzenie, które ^{były} zostawił, prawie wypłuł jakiś umierający. Mówię: "Zarazisz się" A on: "Ale przed śmiercią odproczębym sobie i najadł". Innym razem ^{jak} ~~jak~~ więzień zabierał do flaszeczki jakiś plwocin z banek gruźlików". Co robisz - pytam. - "Powiem, ale nie" siostra mnie nie wyda. Powiedziałem doktorowi, że mnie bolą piersi i kaszlę. To mi karał przynieść w tej butelce plwociny. Poślę na badania. Jak tutaj wezmę, to napewno znajdą u mnie gruźlicę". Po...

do szpitala

Drugą taką chorobą, która masowo pochłaniała ofiary ludzkie była biegunka. Nie pamiętam dobrze, zdaje się, to był rok 1943/?/ wtedy masowo umierali na biegunkę/ponos/. Nędzne odżywianie się, brak podstawowych składników, potrzebnych organizmowi, często dokarmianie się czym popadło, własnym przemysłem, plus chłód, trudna praca - wywoływał u wielu więźniów rozstrój żołądkowy, biegunkę. Strasznie było patrzeć jak dorośli mężczyźni walili się z nóg jak kłody. Oni, którzy tak marzyli o jedzeniu, przestawali jeść, bez końca biegali do ubikacji, dopóki starczyło sił się podnosić, obozownicy li się i wycieńczeni umierali w przeciągu krótkiego czasu.

A lekarstwa? Bez sensu nosiłam im 3 razy dziennie węgiel drzewny, płyn robiony z roztworu kalii permanganicum, starałam się podawać dużo płynów, ale to nic nie pomagało. Codziennie kilku przenoszono do kostnicy. Najwięcej w tym okresie biegunki zginęło za moich czasów Rumunów i Estończyków. Podobno Polacy, co słabsi wymarli wcześniej. Miejscowa ludność, Rosjanie bardziej zahartowani i zaryzejści. ~~Właśnie~~ Właśnie wśród nich część otrzymywała paczki z dom. A przecież paczek z zagranicy nie przyjmowano. Tak samo i listów nie wolno wysyłać. Świat kryminalny, ten zahartowany też pochodził tylko z miejscowej ludności. Tacy, co po kilka razy siedzieli w obozach - nic im nie straszne. Rumuni wierzyli w powrót do rodzinnych stron, toteż niechętnie, jak już wspomniałam, wyzbywali się dla dodatkowego chleba swoich pięknych kołuchów i koszul. Pochodzili z zamożnych chłopów. Co za widok przejmujący, gdy tak Rumun rozwiązywał swój worek podręczny: można było w nim zobaczyć damską koszulę lub dziecienny mały buciczek i inne nie męskie części garderoby! Pamiętam, gdy taka nowa grupa przyjechała. Opowiadali, jak ich zabierano całymi rodzinami. Siedzieli w jednym wagonie, a później na jakiejś stacji oznajmiono, że kobiety z dziećmi pojedą w inne miejsce. Rzeczy mieli wspólne, więc w gorączce, w piecu dzielili bagaż i dlatego żeńskie i dziecięce rzeczy

dowały się wśród męskich części garderoby..A teraz ojciec martw
się, jak dziecko będzie chodziło w jednym buciczku! Gdzie oni są
-nie wie? I żona nie zna jego adresu. Tęsknił, niepokoił się o los
najbliższych. Ciekawym nadroższym fotografia, *która udeło się w klatce*.
Są wypadki śmierci, które do dzisiejszego dnia nie mogą zapomnieć.
Oto choruje na zakaźną żółtaczkę w średnim wieku, Rosjanin. Często
przywoływał mnie do siebie: "Posiedź trochę przy mnie, siostrzyczko".
A gdy siadałam na chwilę wyciągał spod poduszki plik papierów.
"To są listy moich dzieci, mam ich całą 6kę, no i od żony. Wychowuję
ich na porządnym ludzi". To była zżyta dobra rodzina rosyjska.
Każde dziecko, nawet to najmłodsze przysyłało co tydzień serdeczny
list do ojca. Pisali o wszystkim, o codziennych radościach, drob-
niostkach, o szkole i pracy. Czekali na jego powrót. A ojciec
promieniał z radości, pokazując mi narysowane w ostatnim liście
ręce najmłodszego dziecka. Gdybym miała czas, mogłoby tak bez
końca opowiadać i pokazywać to niedawne rozruszone szczęście.
~~Tak ja~~ Opowiadał, siedział za odmówienie włączenia swego gospodarstwa
do kołchozu. "Chciałem mówić" ^{pr}pracować z moją dużą rodziną.
Dali byśmy radę. "Stęraliśmy się uratować tego ojca dużej rodziny".
Udawalo się nam w tych prymitywnych warunkach wyciągnąć go z choroby.
Raptem przyszła do niego duża paczka żywnościowa a w niej znów plik listów.
Cieszył się jak małe dziecko z paczką i listów, nie pozwolił schować paczki w magazynie.
Wciąż oglądał. Kilkakrotnie ostrzegaliśmy go przed pogorszeniem choroby, gdy
przerwał dietę. "Płdsuwał mi szynkę: "Proszę powąchać, jak to pachnie.
To robota mojej żony. Nigdy mi takie jedzenie nie może zaszkodzić.
Jadłem to w domu i zdrowie mi dopisywało, a teraz właśnie nie osłabłem
ze złego jedzenia..". Ledwo udało mi się zahamować jego apetyt.
Odłożył, chociaż cała sala chorych z entuzjazmem ponierała jego
wywody: "Jedzenie to zdrowie, ono uleczy".

A w ciszy nocnej nie wytrzymał. Cichutko, pod kocem, ten dorosły mężczyzna najadł się szynki i słoniny. Niestety, rankiem stwierdziliśmy silny nawrót choroby, ostre pogorszenie, zatrucie i po kilku dniach zmarł, obłożony listami dzieci. Ciężko przeżyłam tę śmierć. Czy zawsze żał umierającego człowieka? Oto ~~w~~ ^u jednym obozie, w kantorze, pracował rachmistrz-zeka. Zestawiał listy dla chleborozki. (Później codziennie ten chleb odbierał podług spisu brygadier lub jego pomocnik). Rachmistrz walczył o każde 100 gramów więźnia. Serdeczny, miły, oprócz tego koleżeński i ładny cieszył się ogólną sympatią. I oto pewnego wieczoru wszedł do kantorki jeden więzień z reżimnej "brygadzie/kilkakrotny recydywista/": "Wypisano mi o 100 gr za mało chleba". A rachmistrz: "Obliczyłem podług danych, które mi dał dziesiętnik. Zresztą możemy zaraz sprawdzić". Wtedy kryminalista schwycił topór, którym pewnie nielegalnie ukrywał w zonie, i uderzył tamtego silnie w głowę. Rachmistrz zemlał. Zanieśli go na łożko. W obozie nie było aparatu Roentgena. Nie sprawdzono. Ocknął się. Wydawało się, że wszystko skończy się szczęśliwie. Ale po kilku godzinach zaczął narzekać na ból głowy, później stracił przytomność. Prawdopodobnie powstało pęknięcie podstawy czaszki - umarł. Cały obóz zniechęcił się do tego urzędnika, a on, chcąc się chwilowo uchronić przed prawem, postanowił schronić się w szpitalu, słowem - zachorował. W tym celu, ale o tym dowiedzieliśmy się dopiero później - wprowadził do kolana, pod skórę brudną nitkę, namoczoną w nafcie. Zrobił to pokryjomu, o kt nie wiedział. ^{o o parę dni później} Na ~~się~~ ^{się} rozwinęło kolano silnie spuchło, infekcja, wywiązała się silna gorączka. Naprawdę doktor pytał. Milczał uparcie. Chorzy na sali odsunęli się od niego, nawet sanitariusze nie ośmieli go obsługiwać. "To człowiek, a bestia, niech zdycha". Grezani wydawało mi się, że i lekarz tak myślał?/. Wywiązała się ogólna gangrena. Walcząc, chciała pokazać go chirurgowi, ciąć nogę. Pewnie liczone, że nie

warto

dla niego wyważyć specjalistę do "bestii". Gdy już przyznał się do
celowego wywołania infekcji, było już za późno. A jednak strasz-
nie było patrzeć jak umierał w samotności, znienawidzony ^{Prab. 4.5.} ~~nie~~
postawić jego łóżko w oddzielnym kącie, taki silny zapach rozkła-
du uderzał z jego łóżka. Musiałam gniewać się na sanitariuszy, że
nie reagowali na jego wołania. ^{oprac. 2.4.10} Przyzwyczajona do wszelkich wy-
wów, jednak musiałam zakrywać sobie nos chustką, cięć mu dać w
gorętsze trochę picia, zapach rozkładu wiał z tamtej strony. A ch-
rzy mieli do mnie pretensje za tę minimalną pomoc, za ludzki sto-
sunek, jaki jednak obowiązuje personel medyczny. Jakaś etyka ^u obo-
wizuje. ² Każdy chory - to nieszczęśliwy, który cierpi. Prawo powinno
począć za drzwiami szpitala. Umarł w strasznych męczarniach.
Z obrzydzeniem sanitariusze wyciągnęli go i cisnęli do ~~trupa~~ ^{trupa}.
Więźniowie, którzy przybywali z drugich obozów - to po większej c-
ści już inwalidzi i dochodiacy. Obóz rzadko wypuszcza ze swych
granic silnego i mocnego jeszcze człowieka. Tacy, którzy przycho-
dzą z woli. A dochodiacy? Trzeba słyszeć jak opowiadali: "Jaki ² ja był
silny przed pracą w kopalniach Workuty, przed pracą przy kolei
żelaznej. I jeszcze ² jakie tam mrozy. Nie jak tutaj. Oddychać trudno.
Teraz jestem do niczego. Rodzona matka nie poznała swego syna.
A dzieciak mój chyba uciekłby przede mną ze strachu. Inny człowiek."
Prawda. Oto nowoprzybyły więzień z małego miasteczka. Silny, zdrowy.
Aż trudno mu zrobić zastrzyk taki podkład tłuszczowy. "Ocho, ten
ma na sobie spiżarnię. Wystarczy na długo. A jednak nie wystarczy-
cie. Fryzjer, nie przyzwyczajony do ostrego klimatu, Ukrainiec od ra-
zu pierwszego dnia poszedł do lasu. Chciał wykazać się pracą, ra-
bał zawzięcie dzień cały. Długo czekali przed wartą, gdzie akurat
liczono kilka razy. Padał silny deszcz. Przemókł, zaziębił się, dwa
dni leżał w baraku, Brygadier domagał się powrotu do roboty.
Wrócił do lasu. Powtórzyła się choroba, a później galopujące suc

ty. Jak strasznie umierał. Ciało jeszcze silne tego dużego mężczy-
ny bronilo się rozpaczliwie. W gorączce majaczył i ciągle brał
mnie za swoją żonę. Uspokajał się, gdy siedziałam przy nim. Wyślał
o domu, mocno trzymał mnie za rękę, mówił najczulszymi słowami:
"Mierocka, potóż mi. Przecież ja nic złego nie zrobiłem. Posadzi-
łem człowieka za żart o Stalinie, który odpowiedziałem klientowi, go-
ląc go". *Za żart posadził?*

Paradoksem wydaje się śmierć z przejedzenia w obozie. Oto lekarz
po komisji lekarskiej wybiera wycieńczonego człowieka do pomocy
w kuchni: "Pójdź sobie trochę, poprawi się, tam akurat potrzebny
człowiek". A nasz dochodiara jak dopadł kotków, to wszystkie wysk-
bał z resztek, wylizał. I tak jadł przez cały dzień, jak gdyby na
zapas. Obawa, że później nie będzie. I co myślicie? Wieczorem przy-
nieśli go wijącego się z bólu do ambulatorium. Naszymi środkami
nie można go uratować. Lekarz stwierdza zawrót kiszek. Woła o
transport do chirurga. W drodze zmarł.

Wypadek drugi. Przycodzi etapem stara zniszczona kobieta. Wyzna-
czają ją do łatwej pracy za żonę - blisko do pracy przy karmieni-
ku. Wyględzona kobieta, specjalnie po etapach, rzuca się chci-
wie na worki z otrębami dla krów. Psychiczny i fizyczny głód.
Jadła dzień cały. Rezultat wiadomy. Wieczorem przynoszą ją prawi-
nieprzrytną. Zginęła. Nasze prymitywne środki nie pomogły. Ani
płukawia żołądka, ani podobne środki. Masa otrębów ^{ale} zablokowała
cały przewód pokarmowy.

Na jednym obozie postanowili wziąć się za leczenie "dochodiar"
Zebrano ich do jednego pokoju, zabrano im wierzchnią odzież.
"Leście, nie pracujcie, poprawiajcie się". Wypisano szpitalną normę
żywienia. I oto mnie lekarz kazał dyżurować w jadalni szpitalnej
wśród odchających chorzy. Przycodzą owinięci kocami. Zieniste
twarze, chudzi, zgarbieni. To są łeży chorzy. Lekarz wierzy, że od-

po cynie i trochę lepsze jedzenie postawi ich na nogi. Jest dobrej
myśli. Przysnęłam się nie podzielałam tego optymizmu. Treść tęsknota
za domem, bliskimi, są tak wyniszczeni, że poprawa warunków w prze-
ciągu 2 tygodni nie wiele zrobi. Brak podstawowego warunków
sanej pacjenta, żeby wyzdrowieć. A większość ciał jak naddu-
chorować i nie opuścić szpitala. Ja ich rozumiałam. Przecież
patrioci, komuniści załamywali się. Pamiętam coś to była za radość
nas wszystkich, kiedy od konwojentów przypadkowo dowiedzieliśmy
się o zwycięskiej bitwie pod Stalingradem, o klęsce Hitlera. Może
niedługokoniec wojny! A tymczasem trudne dni w obozie posuwały
się tak wolno naprzód. Warunki żywienia przy trudnej pogodzie,
przy pracy w prymitywnych warunkach, jak za czasów króla Cwieczki
odstręczały od pracy i załamwały najuczciwszego robotnika.
Eksploatacja rasowa lasów w Komi, specjalnie tam gdzie ją prze-
walałam odbywała się kosztem sił, potu, krwi i życia więźniów.
Materiał stąd wywożono do całego Związku Radzieckiego. Drzewa
w stanie surowym na budowę np. mostów. Płynęły rzeczkami ~~Wód jest~~
~~na z nich siedziałem / Wyczerpa, wysola?~~, jechały maszynami, gdzie
była możliwa droga, a później koleją żelazną. Brak maszyn do wyci-
gania i nakładania na ^{ciągników} maszyny. ~~Do wszystkiego robiło się ręcznie, po-~~
~~tem, krwią a często i śmiercią ludzką.~~ Padły pod toporami więź-
niów olbrzymie świerki (tajga) - Lubią cień i wilgotny grunt.
Najgorzej zimą, wtedy najgorsza pogoda i najczęściej pada śnieg.
A właśnie wtedy nasilenie robót, bo wszędzie śnieg i najłatwiej
wtedy wywozić saniami z głębi boru. Istem zdradzieckie błota wsz-
ędzie. Na tych wszystkich obozach, gdzie przeżywałam, pracowano na
drzewem. Południową Komi w tym okresie to były leśne kombinaty
Pracowałam w lesie, przy spławie nad rzeczką, nie pamiętam / Wycze-
da, wysola?/, pracowałam na sawodach / Lesopilnyj zawoż / - Wożąc / r-
siołok /, żeleznodorożnyj i inne. Tam pracowano nad materiałem do

małutkie drzewy

drzewny. Przygotowywano materiał drzewny i nocne. - deski, pod-
kłady kolejowe. Wywożono do stolicy Komi Tyktykwaru i tam na
miejscu też obracowano drzewo na dygi/faniera/ i inne. W inyc
z odpadów wytwarzano spirytus i drożdże. Piszę to wszystko, by po-
kazać jaką ogromną wartością przemysłową stanowiła praca więźni
I to tylko w samym Komi-południowym. W tym okręgu kombinatu le-
no-drzewnego mało miejsca poświęcano gospodarstwu rolnemu i to
też wpłynęło na trudności żywieniowe więźniów. Większa część pro-
duktów trzeba było dowozić. Przy trudnościach transportu-ważniej-
sze ^{by} naładowywać sprawnie wagony z deskami i całymi ^{stworami} niż
otrzymywać wagon z kasza lub mąką.

Dziurkowałam, tupałam żarliwie moim chorym w stołówce przysp-
talnej, jakie znaczenie ³ ma ² dla nich to dodatkowe ¹ żywienie dla ich
osłabionego organizmu. Dostają lepszą żywność, poprawia się, a pr-
cież kiedyś wyroki każdego z nich skończą się. Patrzą na mnie, ni-
by słuchają, potakują. A jednak lekarz nie ufa im, każe mi ^{nieśmiało} oglądać
chorych przy wyjściu, czy wszystko zjedli. Nienawidzę tej roli.
Dorośli ludzie. Od nich zależy, czy chcą żyć. Potwierdzają: -tak
zjedli. A naprawdę? Po drugiej stronie koca przyszywają ze szmat
małą kieszonkę i tę odrobinę cukru-jedną łyżeczkę-porcję zsy-
pują ukradkiem do tej skrytki. Ile chytrości zużywają, by wynieść
kawałek białego chleba. Nawet szyją woreczki i umieszczają je
między nogami. Wszelki sposób dobry! Później w szpitalu przez luf-
cik w ubikacji podają ten cukier za szczyptę tabaki-samosiejki.
Albo już lepiej biały chleb zamieniają na dwie porcje czarnego
więcej do jedzenia. Palacze obozowi-to najłatwiejsza ofiera korb-
torów obozowych. Faktycznie papieros w obozie może tylko palić
szczęśliwiec, otrzymujący paczki. A wśród tych można znaleźć praw-
dziwe hieny ludzkie, ...żerujące na nieszczęściu ludzkim. Taki co-
sto sam nie pali, a pisze do domu, prosząc o przesłanie papierosów

lubi ta ^{hymn}ski/sarosiejka/. I będzie później taki podlec handlować i
wystawać pod oknami szpitala, i będzie kusić ludzi i namawiać do
sprzedaży chleba lub tej odrobiny cukru ^{lub} tłuszczu. Nie wolno
handlować, ale urieli i tacy przekupywać strzelca-^uudawali, że nie
widzą. Nienawidziłam ich z całej duszy, toteż chowali się przede
mną. A palenie w obozie to wróg okrutny zeka. Palacz gotów na
wszystko, byle ci ociąłby razik zaciągnąć się. Gina. Oddają ostatni
kęs chleba. A głód męczy. Ile razy później latem wdziałam w lecie
jak taki palacz zbiera ^{lub} jękowskie trawy, grzyby i gotuje w zardzew
kiej blaszance przy ognisku. Często albo szpital, ^{przechodzi} chwilowa przyst
przed śmiercią albo odrazu koniec. Gotowali, co popadło pod rękę
Przynoszono takich zatrutych grzybami do szpitala. Popadali w
jakiś dziwny sen z silnymi drgawkami, rzucali. Czasami trzeba ich
było wiązać. "To opijki-mówił mi jeden były kołacznik. Zdechły
krowy ^uvon pastuch-posadzili, / "Ja się znam na grzybach. "Nabrał, u
tował i umarł w strasznych męczarniach.
Oprócz spekulantów, co toż jedno papierosa potrafił zabrać
więźniowi całą rację żywnościową, byli złodzieje obozowi. Jeżeli
ktoś posiadał jakieś dobro-żywność, odzież nie miał spokoju ani
w dzień ani w nocy. Chyba, że swoje rzeczy zostawi u magazynier
a i tam musi okupić się magazynierowi, bo inaczej ^{bo} sam sobie wo
mie. Kradli wszędzie i wszystko. Kradli przeważnie krytycznie.
Przypominam sobie. Jeden z Rumunów stale był dręczony. Przyjeżdżał
z domu z dużym workiem. Widać zamożny, wprost z domu. I produkty
miał. Każdy dzień po powrocie z pracy konstałował jakieś bra
ciocią opłacał dniwalnego, żeby mu pilnował. Gdy mu ukradli
ostatnią jesionkę, którą nosił i okrywał się w nocy-powielniał
z wisielczym humorem: "Teraz przynajmniej będę mógł spać spokojnie.
Bo tak każdej nocy próbowali ze mnie ściągnąć. Nie mogli
opać". Wszyscy kradzione rzeczy spławiali za zong. A wolni ci
nie natywali za produkty. Złodzieje mieli w zonie sobie tylko

wiadome różne skrytki pod podłogą. Zrywali specjalnie deski. Tam też c'owali zadekowane torory, noże i t.p. A przy okazji rzeczy wy nosili za zong. Wiedzieli u którego wartownika można, ^{można} niejednego przekupywali. Zresztą wartownicy niechętnie zadzierali z krymina nyri, którzy trzymali się zwykle całą "sitwą". Byli faktycznymi s podarżami obozu. Po przyjeździe do obozu i ja postarałam się o jakiś drewniany kuferek i w nim trzymałam trochę własnych rzecz (w których przyszłam). Ubrałam ^{złoty} mundur, łatwiej prac. Na szczęście część była u magazyniera. Stale wracałam niespokojna z pracy: "Cz nie ukradły?". Najwięcej kradły w baraku kobiecym. Złodziejki nie przypisywały wielkiego znaczenia rzeczom. Wieczorem potrafiła ^{te} taka urka/recydywistka/, gdy miała ociotę na papierosa, otwierała swój kuferek i krzyczała: "Oddaję wszystkie rzeczy za papierosa." I odlatywała. Później na nowo kradła. Kiedy pewnego dnia dokuczali bardzo komary, schwyciły czyjąś suknię i podpaliły, żeby dym wygonił z baraku komary i muszki. Wygoniły. Ale suknia zginęła przy tej operacji. A cóż mogła zrobić właścicielka? Spałam na górnej pryczy, więc wieczorem zabijałam kuferek i kładłam na niego głowę.. Nie pomogło. Któregoś ranka budzę się. W porządku: jest kuferek i moja głowa na nim. Kuferek zamknięty, ale wydaje się dziwnie ^{le} ki. Otwieram - pusty, a w środku jeszcze ^{na} ^{karta} "Pożyczony". Zako nikowałam komendantowi na warcie z prośbą o pomoc. Chodziło mi o ostatnie listy, które otrzymałam w Białymstoku, o adresy towarzyszek z Moskwy. Nie pomógł. Gdy zapytałam główną prowadzącą złodziejką w baraku, może wie, kto wziął te papiery - tak silnie ud rzyła mnie w klatkę piersiową, że musieli mnie zaprowadzić do ambulatorium. Pęknięcie żebra. Zaprzestałam poszukiwań. Rzeczy wpadają w wodę. Podobno czymś mnie odurzyły, bo nawet nie poczułam, że zdejmowały głowę z kufereka. Nieraz jeszcze podziwiałam artysty reżote złodziejstwa. Jeden młody - to artysta prawdziwy. Ludzie ba

stał koło niego. Potrafił na żarty wyciągnąć wszystko nawet samemu komendantowi, tak że nikt tego nie zauważył. ⁴Haracz ²placił o mu ¹wielu, byleby tylko ich nie ruszał. A gdy psuł się jakiś zarek, ginęły klucze, posyłali po niego. "Czkoda takiego w obozie, marnuje się" - mówili kryminalni. "Ma złote ręce". Nie zmarnował się. Podczas wojny pewnego dnia na rozkaz komendanta ogłosił: "Kto z 'bytowików' chce pójść na front i tam dzielnie, walcząc w obronie kraju-dokazać, że żałuje swych błędów-może zostać zrehabilitowany". Znalazło się wielu ochotników. Czy wszyscy zostali zrehabilitowani? Czy wszyscy w ogóle dotarli do wojska? Raz tylko odczytano nam na apelu, że jeden z więźniów Komi odznaczył się czynem bohaterskim. ~~(Jesienią 1941 roku i jeszcze)~~ Na początku 1942 roku formowano na terenie ZSRR wojsko polskie i wtedy z obozów wyjechało wielu Polaków. Ogłoszono amnestię dla Polaków. Niektórzy wycieńczeni tak, że zastanawiałam się w jaki sposób dotrą do formujących się oddziałów. Zazdrościłam im. Coraz mocniej tęskniłam za polskim językiem, za Wisłą, Warszawą. Ważnym przywilejem, siostry stanowi pobieranie "próby" jedzenia. Lekarz - więzień sam często korzysta z tego przywileju. Wolny wolno jeść u siebie niż w mało apetycznej kuchni obozowej. A że ktoś musi przed posiłkami "próbować" więc wolna ^{lekarz}prosi mnie o zastępowanie jej w tej czynności: kontroli produktów i jedzenia, przygotowania dla zeka. Idę do kuchni w białym fartuchu, a tam już na stole, w małej kliteczce koło kuchni stoi przygotowana "próba". Na ładnym talerzu zupy pływa duży kawałek masła (?), oddzielnie mięso i słodka herbata z pasztecikiem. Wszystko jest tak niepodobne do żywności więźniów ani do ich dań! Przecież znam to jedzenie. Jak często ^{stałam}stałam przy okienku, modląc się w duszy, żeby czerpak nabrał trochę gęstego! A tutaj kucharz z uśmiechem podaje mi gęsty, by po smotyciu "próby"-stwierdzić jej dobrą jakość.

kość. "Prawda, jedzenie dobre można zacząć wydawać? - pyta kuc^{har}arz.
Próbowałam kilka razy bezcelowo przeciwstawić się tej komedii.
"Pokażcie mi jedzenie w kotle". A tam czarna kapusta. Mówię: "Taki
podobno urodzaj na kapustę, a w kotle same zielone liście. Dlaczego
so?". A magazynier: "Tutaj nie pensjonat, a obóz. Biała kapusta dla
kierownictwa, wolnych". Kiedyś, idąc do kuchni, słyszę podnieconą
rozmowę dochodzącą, co zawsze kręcili się koło śmietnika: "Przysła-
li na świętą-mięso." Wchodzę do kuchni a, ż z daleka uderza w nos
drza zapach zepsutego mięsa. Kucharz podaje mi sławetny zeszyt.
Nie chcę podpisać. Jakość produktów oburzająca. Wtedy kucharz
biegnie do księgowego, co zrobić. A ten mnie wzywa: "Jak to może
być. Wydane pieniądze, a gdzie teraz znajdziemy na drugie mięso.
Przecież to pierwszy maj-rokaz więźniowie dostają lepszy posi-
łek". Prowadzę go do kuchni. Ogląda ^{wpis} mięso. Neguje moją obecność i
padzi się lekarza. Biorą z apteczki dużą porcję ^{niebezpiecznego} kaliiypermantra-
cum i każą kucharzowi w tym roztworze wymyć mięso. I do kotła,
Będzie doskonałe. A zeka tego dnia chciały mnie rozszarpać-ktos
im przekazał. "Bo jak byłoby dobre, to dla innych", a tak to nie
odejdzie na strony. Będzie mięsna zupa i coś do owsianki". A ku-
charz odbił swoje niezadowolnienie na moich próbach. Nie dawał ju-
stą słodkiej herbaty ani dodatku. Faktycznie to on ma też życie
niełatwe. Przychodzą do niego i ten, który pracuje w magazynie,
chlieboriesce, ci z biura, czasami ktoś z wartowniów i kto tam
ich jeszcze wyliczy. "Wszystkim musi coś dać, niektórym wsunąć ^{pr}pr-
cuszkę", wszystkich lepiej karmić, bo inaczej prędko wyleci z pr-
cy -do lasu lub na etap. Instynkt samozachowawczy każe mu lawi-
wać. A to odbija się na kotle, jedzeniu więźniów. Każdy z tych g-
ci na kuchⁿⁱ trochę skubnie tych podanych produktów i ostatec-
nie zamiast kaszy, jakaś rzadka ciecz, a w zupie nie zobaczymy
jednego ocka tłuszczu. Podczas jednego buntu więźniów krymina-
nych, postanowiono, że codziennie trzy więźniów dyktować będzie

inny interes

na kuchni. Myślicie, że o porośło? Każdy z nich został tak nałamany przez kucharza, że więcej niczem nie interesował się. Chyba, że musiał 1. cieć do ambulatorium po ratunek. Jak trudno w stołówce uchronić się przed niemiłą prośbą głodnych oczu, łódzających każdy twój ruch, specjalnie jako, bardziej sytych - kobiet. Przypominam sobie jednego więźnia politycznego. Dusza człowiek, wspaniały buchalter, pracowity. Po jakiejś ciężkiej chorobie, dali mu pod opiekę suszarnię ziarna. Blisko tej suszarni pracowała inwalidzka brygada, same dochodiaki. Kiedyś przyszli do niego i proszą: "Daj trochę owsa, ugotujemy kaszę". Wzbraniał się przed tą prośbą: "Nie wolno, znajdą przy rewizji". Wyrzucą wtedy z pracy. Dostanę nowy wyrok." Ale później ustąpił przed tą niemiłą błagalną prośbą głodnych ludzi, głodnych oczu. Tylko kilkakrotnie zastrzeżił się: "Nie wydajcie". Wypali trochę owsa do butów. Przeszli szczęśliwie przez wartę. W baraku postawili wodę w blaszanym kociołku, utłukli owies na kaszę. Szczęśliwi czekają z łyżkami wokoło aż się ugotuje. Tyżli każdy zwykle nosił w walenkach. Nieoczekiwanie o tej porze wszedł do baraku komendant. Czy też jakiś podlec zdradził? Nie zdążyli schować. Pytania: "Skąd wzięli, ukradli, kto dał?" Milczeli. Pytał, potar mosi kogoś. Pytał długo, nie ustępował, groził. Aż jeden uległ się: "Myśmy nie ukradli, dał pracownik suszarni". I w rezultacie za ludzką dobroć, tak jak przewidywał, wyrzucili go z ciepłego miejsca i podali do sądu. Dostał nowy wyrok. Tylko zdrójcę o mało brakowało^a byliby rozszarpali w nocy. Ledwo uratował się ucieczką na wartę. Zawsze to samo: głód to był najstraszniejszy wróg. Nie zamknięcie, nawet nie praca, a głód, który zamieniał człowieka w prawdziwe zwierzę. Kiedyś dyktuję w Kuchni X szpitalu, w nocy. Zebrałam od chorych chleb - ufają mi. Idę do kuchni, kładę na noc, na ciepłą blaczkę chleb na suc'ary. Lekarz radzi jeść suc'ary chorym na ciężką biegunkę. A oni nie mogą wcale jeść, więc suc'ary trochę poczekają. Nalewam duży garnek skwaśniałego mleka

Przeżycie o kradzieży:

.Ogrzeje się-będzie jak wola cięczy kwaśne, zsiadłe. Jest głęboka noc. Nagle drzwi otwierają się gwałtownie i wpada czterech mężczyzn, z zakrytymi czarnymi szmatami twarzami/przód nakomarni/ i w ręku samoczynne noże. Jeden staje przy mnie każe milczeć. Porwają z pieca cały chleb, nawet garnek z kwaśnym mlekiem: "Pamiętaj, jeżeli będziesz krzyczeć-zabijemy".. Uciekają pośpiesznie ze swoją zdobyczą. Wysuwam głowę, krzyczę. Ciemno nie widać. Dokąd uciekli z ostatnim skarbem, umierających ludzi? Zawiadamiam wartę. Trudno znaleźć w nocy winowajców wśród tej masy ludzi. A jednak przypadek pomógł. Dwóch z tych złodziei, nie przyzwyczajonych do takiej dużej ilości jedzenia dostało ^{dużo} rozstroju żołądkowego, przyszli w opłakanym stanie do ambulatorium. To byli z reżymnej brygady. Pyta się doktor, chyba doryslił się: "powiedzcie, kogo okradliście i czym tak się objeśliście. Czy to przypadkiem nie mleko chorych? Przyznali się. Obawa przed głodem uczyła kraść sbe jednostki nawet chorym, umierającym. Zresztą chleb stanowił główny pieniądz obiegowy. Nie martwili się, że chleb bywa brudny wyschnięty, pod poduszką ciężko chorego. Ale robiły to najsłabsze jednostki, dużo mętów społecznych. Oto idę po chleb dla chorych do chleboriezki, gdzie szukają dla ^{ciężko} chorych biały chleb. I chleborieza trzeba pilnować, bo i on jak kucharz ma zb wielu odwiedzających, przyjaciół i naczelników. Ze mną chodził do bezpieczeństwa sanitariusz z drugim koszykiem. Podpisywałam odbiór chleba. Chleboriezka znajdowała się w jednym końcu dużego baraku. Wszłam do baraku po otrzymaniu chleba, nagle słyszę jak gwizd, gaśnie światło/ktoś przeciął przewody elektryczne/ i czuję jak tłum ludzi rzuca się na mnie. Padam w ciemności na ziemię, trzymam kurczowo koszyk z chlebem. Dziesiątki rąk wyrrywają mi z ręki, deptają po mnie, szarpią, szukając koszyka, który już dawno wyrwano mi z ręki. Słyszę teraz bójkę, szamotaninę się o ten kup.

Krzyczę : "Ratunku, pomocy, Zatruli chleb chorych." Nikogo. Wożan sanitariusza, strzelca. Bez rezultatu. Wokoło już spokojnie, napastnicy rozbiegli się ze swoją zdobyczą. Wtedy zjawia się strzelec. Podnosi mnie i usadawia na jakiejś ławie, to wszystko przy świetle latarki kieszonkowej. Później dowiedziałam się, że był blisko, ale bał się interweniować. Może sam oberwać! To wszystko zorganizowała 7 brygada reżimna. Nikogo nie boją się, z nikim nie liczą się. Zachciało im się białego chleba. Cóż, że chorzy zostaną bez jedzenia? Co ich obchodzi, że mogli człowieka pokaleczyć? To wśród nich znajdowali się, co potrafili okaleczyć się, by nie pracować. Niezawsze udało się. Oto młody, ładny Grisza. Chciało mu się parę dni urlopu. Pokaleczył rękę, brawurował, wywiązała się infekcja - trzeba było całą rękę zdiąć. Smutny widok, młody ładny chłopak chodził z pustym rękawem. Dostał nowy wyrok, ale kpił sobie z niego. Mógł teraz siedzieć w zonie, nie pracować, tylko zarabiać "na lewo". Wyszedł później - kaleka patrzył, gdy inni szli na wolność - do armii. On kaleka został. I wtedy widziałam łzy w jego oczach. Walka o prawo do choroby, o łóżko w szpitalu ludzi na zwolnieniu. Temperatura podniesiona - to szczęście. Mgła chciała trochę poczuć się człowiekiem, wyjść z ogólnego ciężkiego jarma obozowego. Mierzę chorym temperaturę w izbie chorych? Nie mogę wyjść do pracy, mam gorączkę" - mówi młody chłopak, a widzę jak układa ^{wó} kiem do termometru, który włożyłam mu pod ramię wsuwa kawałek cegły którą nagrzał przy piecyku w baraku. Kobiety zawieszały sobie buteleczki z ciepłą wodą lub zmieniały termometr na swój, który gdzie dostały, ale już "nabity" na 38.5. Ale wolny lekarz przejrzał te mądrości i kazał zdejmować koszulę. I to niezawsze pomażało. Oto mierz jakiemuś silnemu tragarzowi gorączkę i widzę przestraszona: powyżej 40 stopni. Jestem w duszy oburzona na lekarza, który śmieje się, patrząc na termometr. "Niech u nas posiedzi, ten ciężko chory tylko jedną podziwkę - zobaczymy". I rzeczywiście po 1/2 godzinie gorączka

3
odrazu spadła. Podobno znają sposoby, by miejscowo podnieść temperaturę. Jakież ostre środki, chemikalia, czy pieprz? Często starałam się przy tej pracy wpływać na lekarza, by kogoś bardzo zmęczonego, załamanego zostawić na dzień, dwa w zonie. Robił to na moje usilne argumenty, ale sam bał się, bo korendant czasami chodził po zonie i sprawdzał, krzyczał na cały personel medyczny, że przez nich plan zawali. Radziłam takim chorym, by się chowali przed władzą. Przy tej pracy o mało co nie zarobiłam drugiego wyroku: oto podczas mego dyżuru zginął z szafy duży szpryc, strzykawka i igły do zastrzyków. Ktoś ukradł, gdy na chwilę wyszłam do szpitala. Długo szukałam, rozpytywałam - przepadł. ~~Ale~~ po pewnym czasie zaczęto przechodzić z opuchniętymi, zaczerwienionymi kończynami. Trzeba ludzi zwalniać, robić opatrunki. Lekarzowi wydała się podejrzana masowość tego zjawiska w ciągu kilku dni. Zawsze były flegmony/złe odżywianie/, ale tutaj nawet u mocniejszych i zdrowszych. Co takiego? Ostatecznie, gdy lekarz zagroził jednej urce, że jej nie będzie leczył, aż wyzna skąd ma tę flegmę - odpowiedziała mu w sekrecie o więźniarce, robiącej za pieniądze lub za c'lebs te "cudowne" zastrzyki. Lekarz porozuriewawczo spojrzał na mnie i pogroził mi surowo palcem. Po nitce do kłębka znaleziono moją strzykawkę z igłami. Mniemana pielęgniarka wprowadzała jakiś brudny płyn do moich żył. W ten sposób wytwarzał się stan zapalny, infekcja. Dla niej zarobek, a dla jej pacjenta zwolnienie od pracy. Ledwo ubłagałam lekarza, by nie opowiedział o tej sprawie upośledzonemu, który tylko czatował, by ktoś z politycznych otrzymał nowy wyrok. Solennie obiecałam, że nigdy nie pozostawię instrumentów bez opieki. Muszę powiedzieć, że praca przy chorych uratowała mnie nie tylko fizycznie, ale dała namiastkę pracy społecznej. Dzień cały spędzałam wśród chorych. Pomagałam doraźnie jak mogłam w tych warunkach. Czasami więcej serdecznością i dobrym słowem, zainteresowaniem niż lekarstwem. Ale zrobić w tych warunkach można bardzo.

do ich choroby

- 152 -

Trudne godziny.

g. Szmon - inwentaryzacja

W życiu obozowym jasnych, pogodniejszych ciwil bardzo mało, a płaczących, nie egipskich, a (wystarczy) - obozowych - znaczna ilość.

Oto te co mi mocno zalażły za skórę. Dzisiaj często gniewam się, podchodząc do sklepu, gdy wisi niewinna kartka "Remanent". To słowo kojarzy mi się z tak zwanym "Szmonem" w języku więźniów. A naukowo to inwentaryzacja inwentarza obozowego. Inwentarza martwego, bo żywy albo nawpół żywy inwentarz - ludzie - tych liczą kilkakrotnie dziennie. I chodzących, i leżących w szpitalu, no i tych w kostnicy.

A kilkakrotnie w roku - "szmon"^{pałki}. Od rana Sodoma i Gomora. Inwentaryzacja odbywa się najczęściej w niedzielę. Nie traci się dnia pracy Zeka, którzy posiadają niedozwolone rzeczy, takie skarby jak nóż, nożyczki, podwójną parę butów lub waleno^u głowia się, kombinują, gdzie to schować. Urki w ostateczności odrywają gdzieś deski i tam wypychają mniejsze przedmioty albo gdzieś zakopują wśród ścięci. Tego dnia wszystkich wypędzają za zonę z całym jego bogactwem i tym w baraku i w magazynie. Siedzą za zoną i czekają. Czekamy dzień cały, niezależnie czy pada deszcz, śnieg, czy mróz przenika kości. Czekamy aż komisja zrewiduje i obejdzie wszystkie budynki

A tym Chodzi cała gromada wartowników i przewraca wszystko do góry nogami: zagląda do pieców i na piece, pruje sienniki i poduszki, zabiera wszystko i oddaje magazynierowi, który liczy cały inwentarz. Nie chodzi im tylko o inwentarz obozowy, szukają kradzionych i niedozwolonych rzeczy. Tam za zoną zeka warzy: "Żeby nie znaleźli mego nożyka. Bo jak bez nożyka żyć? I w lesie się przyda, i w polu jeżeli pracujesz przy burakach. Pożyczysz sąsiadowi, a on da ci za to pociągnąć choć razik papierosa". Nie wie nieborak, że już oko wartownika zauważyło ten skarb, zatknęty w szparze za piecem.

Gdy już sprawdzono cały inwentarz w zonie, wyrzucono z każdego baraku całą kupę "skarbców", wtedy następuje druga część programu:

skontrolowanie i obliczenie co państwowego posiada więzień na se-
biei i ewntualnie w worku lub skrzynce, jeżeli ją wogóle posiada
Sprawdzenie, czy posiada te rzeczy, które ma na swoim koncie u ma-
zyniera. Bieda, jeżeli ^{i inakich rzeczy} koruś czegoś brak. Odrazu spisują protokół.
Radzimy sobie w ten sposób, że jeden pożyczka u drugiego, a później
cichaczem odnosi. To dosyć kłopotliwe, bo tych co już skontrolo-
wali, sadzają oddzielnie. Ale zeka dużo potrafią, a strzelcy też
już zmęczeni i mają dosyć oglądania tych szmat. Bywa i tak, że
niejednemu z nas udało się przełożyć parę zapasowych waleń na
zmianę. Niezawsze obuwie wysycha w ciasnej suszylce. Jak w trzask-
jący mróz ubierzesz wilgotne - to męka. Nogi napewno odmrozisz. Tu-
che nogi to skarb zimą. Wpychają w walenki szmaty, strużki, kawałki
,oderwane z państwowego koca. Jak mokre, nic nie pomoże i cały cz-
będziesz marzł. Masz nielegalną zmianę, te drugie wyschną przez
dzień, nawet na piecu w baraku. Teraz, jeżeli znajdą, musisz się
z nią pożegnać. Więc dają tym co brak, przerzucają. Jakoś przecho-
dzi. Kobiety walczyły o bieliznę. Masz czystą koszulę. Doprałaś, do-
czyściłaś. Ale co tydzień zmiana. Przychodzi nowy etap i akurat
tobie wypadnie koszula po nic. Gnidy w szwach dadzą znać o sobie.
Masz dwie koszule, potajemnie pierzesz i dobrze. Szmon bezlitoś-
wszystko zabiera. Znow jesteś tylko numerem. A dostać taką zap-
sową koszulę niełatwo. Miałam w obozie znajomego "bańszczyka", tę-
go, co pracował w łaźni/bani/. Kulturalny, inteligentny, ogólnie
lubiący. Często zbieraliśmy się u niego w bani, a on, ciętawy ga-
wędziarz, często opowiadał ciekawe wypadki ze swego życia i
pracy. Optymista i niezmiernie dobry, wrażliwy na niedolę ludzi.
Pracował niegdyś w marynarce wojskowej w stopniu vice-admirała.
W obozie zrobiono go zarządzającym kąpieliskiem. I to właśnie
on wydawał czystą bieliznę po kąpieli. Ale często przybiegał
ktoś z zeka z prośbą: "Daj czystą koszulę, później oddać". Wie-

"bańszczyka"

rryż, nie umiał odmówić. Dawał jednemu, drugiemu. Podczas kontroli okazały się duże niedolory. Jasne, odpowiedzialny "bańszczyk". Więźniowie wykorzystali jego dobroć, wiarę w człowieka. W rezultacie zrobiono protokół. Podali do sądu za roztrwonienie mienia państwowego. Przyjął pogodnie nowy wyrok: "Trochę więcej, trochę więcej na jedno wychodzi. Nie należał mi się ten pierwszy. A drugi? Ludzie nie prosili o luksus-o koszulę na grzbiet. Jak tu odmówić? Nie umiem być wrogiem ani Państwa, ani ludzi". Dziwna była dalsza kariera obozowa. Wyjątkowa. Oto pewnego dnia przyjechał do obozu sznur samochodów. Wychodzą z nich wojskowi, z marynarki wojennej. Kartę zawołać naszego kierownika bani. A ten idzie naprzeciw eleganckim limuzyn-om stracił popatrzyć. Olbrzymie buty na wysokich szpilach, spódnie, wyświecili tana fufajka. Obrońnięty i opuścił. Jakieś okulary na sznurku, w drucianej oprawie. Wojskowi stają przed nim na baczność. Wzywają komendanta, pokazują mu pismo: "Nakaz natychmiastowego oswobodzenia więźnia Y. Nakaz z Moskwy, od samego Stalina." Rzadki wypadek. Opowiedział jeszcze przed wyjazdem: "Miał serdecznego przyjaciela, który nie wyrzekł się go, jak większość innych, drżąc o swoją skórę. Teraz ostatnio przyjaciel jego awansował, zajmuje ważne stanowisko. I teraz Nie wyrzekł się przyjaciela. Zabierał, walczył, żądał rewizji sprawy i ostatecznie wycoznał z opresji swego przyjaciela. Teraz ten sympatyczny i luźny człowiek wyjechał. Został po nim i pierwszy i drugi wyrok. Długo komentowaliśmy w obozie ten fakt. I niejedni z goryczą myśleli o rodzinie i bliskich, którzy o nim zapomnieli. A ile marzyli "Jednak są amnestie. Trzeba napisać podanie."

Najgorzej dostawało się podczas "szmonu" kobietom politycznym. Podchodzą do nas za zoną strzelcy i ktoś ze strony gospodarczej. Rewidują pojedynczo każdego. Wszystko, co ma w kuferku lub w worku brutalnie wysypują wszystko na ziemię. A niektóre urki, zające

w obozie składzie i, tylko na to czekają. Otaczają kołem tę, która akurat rewiduje się. Specjalnie ciekawe, jeżeli to ktoś nowy. Widać umawiają się między sobą. Jak tylko ukazuje się coś prywatnego, coś kolorowego, jakaś szmatka kołorowa. ^{potem} wtedy jedna z urek bierze do ręki, takowe, podaje drugiej: "Zobacz to fajne". Ta przerzuca frzeciej, robią jakieś zanieszanie. Patrzysz.... już nie ma twojej rzeczy. Nie poroga protesty, nawoływania. Przepadło jak kamień w wodę. A wartowników i intendenta nie obchodzi ta sprawa. Ich obchodzą tylko rzecz państwowe. "Niech baby same załatwią swoje obrachunki. Próbujeś prosić, grozić. Jak groch o ścianę. Jeszcze czasami poszkodowana może oberwać. Naiwnie pobiegłam do jednej wiczniarki, która brała czynną ^{moją} akcję w tej akcji przeciw politycznym. I co myślicie? Ta na moją prośbę, tak trzasnęła mnie pięścią w pierś, że znów poleciałam z wielkim trzaskiem aż na przeciwległą ścianę. A wartownik widział tę scenę i stał spokojnie na boku. Było wiadomo, że niektórzy strzeżycy korzystali z przychylności młodych urek i nie chcieli z nimi walczyć. No i przepadł mój sweterek, dotychczas pieczołowicie przechowywany w magazynie.. Później pewnie ktoś z przepustką wyniósł go za zonę i sprzedał wolnym za jakieś produkty. W każdym razie w zonie nikt go nie nosił. Gdzie w tej atmosferze można mówić o wychowawczym znaczeniu obozów/wospitatelnyje/. Bezprawie, przemoc, brak jakiegokolwiek zasad moralnych. Siła, pięść, chytrość. Najwięcej żał mi było tych młodych, co po raz pierwszy dostawały się do obozu. Po takim uniwersytecie, to już będą stałe mieszkanki, które wracają będą do obozu niejeden raz.

W taki dzień "szmonu" posiłek otrzymujemy bardzo późno. Kucharz przeszedł rewizję jako jeden z pierwszych, ale był bez pomocników. A w baraku strasznie: zimno, brudno, wszystko na narach poprzewraca, pościel rozrzucona. W takiej atmosferze ludzie rozdrażnieni, wciąż słychać podwójną niż zwykle ilość soczystych słów i dochodzi do rękoczynów. Zawsze źle, ale taki dzień - to istne piekło na ziemi.

4) Etapy.

A jednak najsłabszą plagą obozową to - etapy. W przeciągu 5 lat/1941-1946/ przesłałam przez kilka etapów, nie licząc tych po uwolnieniu z obozu na zesłanie. Przyczyny etapów? To likwidowano dany obóz, przeznaczając go dla jeńców wojennych, to znów nas-cudzoziemców zbierano ze wszystkich obozów na jeden reżymny, to oddzielano kobiety od mężczyzn, to znów wysłano do obozu dla matek. Przyczyną była ta straszna godzina, gdy szykowano już w kantorze listy. A my już od rana denerwowaliśmy się: "Kto jest na liście? Caki etap to wstręś dla wielu. Nigdy nie wiadomo. A może ja? Każdy komendant stara się pozbyć niepożądanych dla siebie ludzi: buntowników. a przede wszystkim "dochodiąg", ci co nie podnoszą planu pracy obozu. Tutaj ma głoś i operupożnomoczenny. Często mówią spławiają obozowe "żony" które im sprzykrzyły się. A że to są możni, arystokracja obozowa, starają się w kantorze wkręcić to nazwisko do listy-wykaz wyjeżdżających. Pójść na etap, to być może stracić jakieś małe przywileje i własne "cudoty". Tutaj kucharz nakłada większe łyżki kaszy każdej kobiecie. Tutaj udało mi się dostać pracę w zonie. Tutaj śpię na dolnej pryczy, a tam znów może przyjdzie poleżeć na górę. Najważniejsze tam nieznani, obcy. Na miejscu starym każdy może znaleźć sobie jakąś przyjazną duszę. Ktoś z kim możesz porozmawiać, poradzić się, wspominać. Najgorzej wychodzą na etapie pracownicy techniczni robotnicy administracyjni i inne ważne osobistości w obozie. Znów walka od początku. Wiedzą z jakim trudem wywalczyli to cenniejsze stanowisko. Nieraz wszystkie paczki porzuciły na ten cel. I dlatego w dzień etapu podniecenie niebywałe. Ci, co wyszli do pracy-uspokoiли się: oni nie idą, bo ich nie zatrzymali w zonie. A w zonie ile bieganiń, tajemniczych szeptów, przekazanych cicho do rąk rączy lub pieniędzy..... żeby tylko uratować się i pozostać. Czasami komuś udaje się te zaiezi i w ostatniej rodzinaci następują przeniesienia i zmiany nazwisk. Możliwe, że na nowym miejscu będzie lepiej.

Ale tu już trochę przywykłam się, a tam wcale nie wiadomo, jak będzie? Momentami tutaj jak mówią "Fies". Tylko znasz jego foc? i wiesz kiedy i co. Tak samo znasz wartowników. Kiedy i co można przynieść do zony. Masz poczucie krzywdy: "Dlaczego ja, a nie ktoś inny". Ważne strach przed drogą. Czasami wiele kilometrów przejść trzeba. Od nowa szczegółowa rewizja, zdawanie rzeczy i inne formalności. Mam tego powyżej uszu. Znowu zbieramy swoje "bogactwo". Tradycją jest, że każdy obóz zabiera lepszą odzież, a daje najgorsze na drogę najgorsze łachy i obuwie. Tak jakoś wypadło mi, że szłam na etap w obozie prawie zawazę zimą. Latem ludzie potrzebni i do pracy łatwiejszej i nawet dochodzą, może się na coś przydać. Ma się rozumieć, że dobrych drwali i tragarzy nie wysyłano na etap, chyba że władza miała z nimi jakieś obliczunki. Ale jak długo można być w obozie sprawnym? Wiele jeden dochodzi dzisiaj - to niegdyś dobry drwal. Zbyt dobrze pracował, zbyt prędko spalił się. Stare zapasy organizmu wyczerpały się dawno. Skąd nowe? Z racji obozowej? Wiele z tych dochodzi ginie w drodze. Idą resztkami się. Czy możecie wyobrazić sobie pochod takich ludzi? Odziani w wyświechtaną odzież, obuwie ledwo trzymające się na nogach, czasami podarte walenki z wierzchu okryte jakimiś workami, szmatami za pomocą sznurków lub kawałka drutu. Tak przyodziani ludzie idą w pochodzie skuleni, skurczeni we dwoje, jak gdyby instynktownie odczuwali najmniejszą powierzchnię ciała wystawioną na działanie zimna, wiatru i śniegu. Ledwo wloką się. Powstają wyrwy, bo silniejsi prą naprzód, żeby jak najprędzej dotrzeć do nowego obozu. Konwojenci krzyczą: "Dołacz", klą soczystym językiem obozowym zatrzymują grupę. Cóż - to pomaga tylko na chwilę. Jeżeli odległość jest większa - zdarza się, że słabsi padają, mdleją. Czasami na końcu pochodu wloką się jakiegoś sanie. I wtedy takiego ordłałego kładą na sanie. A ilu z tych ludzi odrazu po przyjeździe na nowe mi-

-15-

sce, co wielu kilofetac drogi, podczas mrozu czy zamieci śnieżnej, musi pójść do szpitala, czasami żeby więcej nie wstawać. W każdym razie los ich często przesądzony. Jeżeli przeżyje ten etap, ~~znów~~ nowa władza postara się znów gdzieś dalej go posłać. I tak ci nieszczęśliwi ludzie, przetrzucani z miejsca na miejsce, bez sił, to jeszcze bardziej przyspiesza ich koniec. Dziwny i straszny w swej wymowie obraz: śnieg, bezkresne przestrzenie, wloką się te niedobitki ludzkie, otoczone trzaskającą konwojentów. Idziesz godzinami. Nad tobą olbrzymie niebo, przed tobą śnieżna przestrzeń.

Po pracy w szpitalu nabrałam sił, praca pod dachem, lepsze odżywienie postawiło mnie na nogi, toteż droga była dla mnie nie tak ciężka jak dla ludzi ze Słabkomandy. Żał mi było ich serdecznie, znałam wielu z nich - starych pacjentów szpitala. Próbowalam słowem podtrzymać niektórych na duchu, poprosić konwojenta, by na słabym chociaż na krótko pozwolili przysiąść się na sianie.

Miałam świadomość swej bezsiły wobec chorujących, z których niektórzy po tej podróży prędko zakończą swoje nieszczęśliwe życie. I chociaż czasami przechodziliśmy koło pięknych lasów świerkowych, osłanych srebrzystym śniegiem, w piękną pogodę śnieg iskrył się aż odlepiał swoją bielą, specjalnie skarżyli się ci, co chorowali na kurzą ślepotę. Zjawisko dosyć częste w obozach nagle człowieka przesadnie widzieć, jako rezultat złego odżywiania, braku witamin. Frowadziś takiego pod rękę, ale on nie jeden. Znowu sznur ludzi rozciąga się. "Poczekajcie trochę" - ktoś błaga - "nie mam już sił". Jak tutaj stanąć, kiedy jedyny ratunek jest w ruchu? Staniesz, spocony, przemarzniesz i gotów, bratku. A tutaj jeszcze co parę kroków ktoś nabiera garść śniegu i niesie do ust. Odezwia.

Nareszcie gdzieś na horyzoncie ukazują się "wyżki". Witamy je, z ironią, rażąco. Jak coś bliskiego, najazego. Obóz. Skończy się męka. Może znów jakiś dach. Kilka łyżek ciepłej strawy. Jak mało człowiekowi czasami potrzeba!

Obozy.

1. Reżymny

Najtrudniejszy obóz dla więźniów - to reżymny. Ten, do którego ja się dostałam nazywał się "obóz o zaostrożonym reżymie". Podobno były jeszcze straszniejsze obozy zamknięte, w których (podobno) zginęło wielu komunistów polskich. Nasz obóz został przeznaczony wyłącznie dla cudzoziemców t.j. dla więźniów politycznych. Przypominam sobie znajdowali się na nim Grecy, Chinczycy, Rumuni, Niemcy, trochę Polaków. Surowe prawa rządziły w tym obozie: prawo pisania listów, nawet na terenie ZSRR, ograniczone, tak samo i otrzymywania paczek. Ma się rozumieć o łączności z zagranicą nie do pomyślenia. Nie dawano czytać gazet. Nie wolno zbierać się gromadnie. Natomiast częstsze apele, wszelkiego rodzaju kontrole. Więcej strzelców. I psów. Odręczenie od świata wolnych ludzi, ponieważ nie było przepustek. Stąd -
trudno dostać cokolwiek z zewnątrz. Brak kryminalnych. Ci jako odważniejsi walczą, kłócą się o swoje prawa. Nie liczą się z nowym wyrokiem. Bunt kryminalnych mogą wpływać na łagodniejszy kurs, z którego i my polityczni korzystamy. W Polsce sanacyjnej sytuacja wyglądała inaczej. Tam właśnie więźniowie polityczni walczyli o lepsze warunki w więzieniach. Ale tutaj była władza radziecka, a przecież znaczna część więźniów uważała za konieczność pomagania podczas wojny. Podporządkowali się. Jak już pisałam różni byli wśród politycznych. Moi znajomi z Moskwy i pierwszego obozu rozjechali się, kto został wśród żywych, do innych obozów. Władza obozowa nie toleruje przyjaźni, stara się ludzi zmieniać, tasować. Tak bezpiecznie. Nowi ludzie. Co tam u kogo na duszy - nie wiesz. Oprócz kółka najbliższych, lepiej milczeć. Przy obozie znajdował się bardzo surowy operupol moczony. Miał, wszystkim było wiadomo, swoich donosicieli, którzy donosili mu o wszystkim, co go mogło zainteresować. Specjalnie brzytyka rządu radzieckiego. Rozmawiał z nowym człowiekiem. Nie wie czy przypadkiem nie jest on jednym z "poroczników" władzy. I lepiej

milczeń. Bo i tak co pewien czas ktoś zarażał nowy wyrok za nieprawnomyślność... za niepotrzebne słowa. Podlecę wszędzie się zjadą. Wszyscy pracowali za żonę. Najczęściej w lesie. Robiono brzośki podług narodowości. Najgorzej żyło się Niemcom. To nie byli jacyś wojenni. Ci żyli na oddzielnych obozach. Niemcy, znaczna część żyła w komunie nad Wołgą. Teraz dawano im najcięższą pracę, na najdalszym odcinku. Czuli w stosunku do siebie podczas wojny ogólną niechęć... nawet zaka. Zbyt wiele krzywdy cierpiał cały świat przez ich wodza i jego pomocników! Wśród tej brygady znajdowała się młoda jasnowłosa Niemka. I ją też poryłano do najtrudniejszej pracy w lesie. Codziennie rano stawała przy warcie w pierwszym szeregu swojej brygady. Starła się dodać otuchy swoim towarzyszom. Czuli, ile wysiłku ją to kosztowało. Mówiła w baraku: "Przecież żyłam w ZSRR. Cóż mnie Hitler obchodzi?" Specjalnie przybierała dumną postawę wobec komendanta i konwoju. W baraku była pogodna i często umilała nam smutne godziny-piosenką. Grecy też tworzyli dużą brygadę. Sporo wśród nich młodych Greków. Trzymali się oddzielnie. Zresztą nikt nie znał ich języka, I oni przybyli z terenu Związku Radzieckiego/?/. Ciekawe: z Chinczyków, o których często mówią, że są leniwi wzięła się obsługa żony. To ich wybierano na kucharzy i ich pomocników. Oni potrafili zastępować kobiety-pracznice. Należeli do bardzo pracowitych. A jednak stosunek do nich trochę pogardliwy. Pamiętam kiedyś znajdowałam się blisko ich brygady. Patrzę coś w kociołku pitraszą, kombinuję jakiegoś jedzenie. Co oni tam znaleźli? Okazało się, że złapali szczura, opracili go, a teraz gotują. Patrzałam jedli ze smakiem. Rozurkiem głód. Ale szczur? Wiadomo było, że w żonie ginęły wszystkie koty, nawet wolnych, które przypadkowo trafiły do żony. O psie to już mówić nie trzeba. Ale to wszystko nie szczur. Oni podobno jadają. A gdy kiedyś dziwiłam się, powiedzieli: "A jak u was głodnie jedzą, a we Francji..."

Złikwidowane 15

cji ślimaki i krewetki?". Nawet w tym kotle narodowości i po-
pracę trzymały się każdy w swojej grupie. Najchętniej pomagali
bie wzajemnie. Kucharz i karmił lepiej swoich rodaków i chętnie
brał ich do pomocy. Zrozumiałe. Łączyła przeszłość, przede wszystkim
język, tradycje. Po roku 1945 wychodzili szczęśliwi też raze-
Polaków najwięcej z terenów zajętych: Białorusini, Ukraińcy i z te-
renu Wileńszczyzny. Podczas wojny i od razu po jej zakończeniu zmi-
nili się mieszkańcy obozów. Opuściły obozy różne grupy cudzoziem-
ców. Wyszli Polacy, Grecy, Niemcy, Rumuni - a napłynęli nowi skazańcy
wojenni. Za to, że dostał się do niewoli, za to, że z niej uciekł, a
trzeba było nie dostać się w ręce Niemców, raczej popełnić samo-
bójstwo.

Pomimo trudności życia w obozie "zaostrzonego" reżymu, mimo częste
karcerów, posiadał on dla nas - kobiet duże plusy. Przede wszystkim
nie było więźniów kryminalnych. W baraku inne życie. My, kobiety
wolałyśmy gorsze warunki, ale jak najmniej w baraku kryminalnych
urek. W baraku czystiej i ciszej. Nie słyszeć ordynarnych wyrazów.
Ustały stałe kradzieże. Można w wielu sprawach porozumieć się, nie
zawsze decyduje siła. Zamiast tego więcej koleżeńskiej pomocy, lud-
kiego zainteresowania, pomocy w miarę naszej możliwości. W wolnych
godzinach rozmawialiśmy o sytuacji na frontach. Nadal życzyliśmy
Niemcom klęski. Rozmawialiśmy szeptem o tym strasznym koszmarze,
jakim jest wojna, o głodzie, prześladowaniach. Mówiłam im o terrorze
w Warszawie, o prześladowaniach Żydów, o których dowiedziałam się
w wolnych. Zupełnie ukradkiem - komuś bardziej zaufanemu - o tym stras-
nym koszmarze jest naruszenie w ZSRR praworządności, o tysiącach nie-
słusznych aresztowań - o porządkach w obozach. A szeptem mnie cudzo-
ziemce na uli o: "Dawniej tak nie było. Skrzywiłoby myśli Lenina, spa-
czono jego zasady".

Pamiętam strusieczkę - siedziała za to, że Niemcy zabrali jej krowę
a trzeba było zaprowadzić ją do lasu, do partyzantów. Druga uli o

miodem skonfiskowali. Ciesiadka podała, że sprzedawała. Coś mogłam zrobić jak przyszli i zabrali? Dobrze, że mnie starowinę nie posyłali pod ścianę". - ~~uśmiechała się~~

Kiedyś, zdaje się to zdarzyło się w niedzielę - siedzę przed barakiem i czytam rosyjską książkę. Ktoś potrafił ją ocalić. Drukować słowo - to gratka nielada. Brak papieru. Palacze zebrali o kawałek starej gazety. A tu cała książka! Wtem doszedł do mnie komendant, wziął z moich rąk książkę, przewertował całą, oglądał ze wszystkich stron /A może coś ukrytego!/. A później: "Po co, wy faszyci, wrogowie, czytacie naszą literaturę? A ja mu na to: "Nawet w więzieniu wypożyczano mi książki. Przecież to są wychowawcze obozy. A czyby książka wychowuje". Oddał mi książkę. Innym razem stoją kilka osób przed barakiem. Rozmawiamy, a tu wartownik: "Co to za zebrania? Nie wolno zbierać się w grupie. Rozejść się!".

Bolały te rzeczy, ale byłyśmy bezsilne. Komu skarżyć się. Przecież nie ma kogo zapytać za jakie "zbrodnie" siedzą osoby, które otrzymywały na wolności tylko listy za granicą, albo wprost miały kłopoty z granicą.

Ludzie tak jak i na innych obozach dużo myśli poświęcali sprawie jedzenia, tylko poziom moralny jeszcze jakoś się trzymał. Jeszcze nie ma jedności między człowiekiem a zwierzęciem. Smutne - ludzie niegdyś myślący o internacjonalizmie, o współistnieniu narodów tutaj z niechęcią patrzą jak kucharz pomaga przede wszystkim chinczykom, jak w chleboriezce pracuje Żyd. Są piękne myśli, uczucia, które ulegają w chłodnej atmosferze zamrożeniu, jak kwiaty od przymrozków wczesną wiosną. Jak trudno być człowiekiem w złych warunkach! Jak często normy moralne były w niezgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Jak często stara myśl "nie będziesz kradła - nie będziesz jadła" kusiła. - występowała i kusiła. Nie u towarzysza niedoli, ale przy drodze buraki, kapusta na wozie. I zdrowy rozsądek zwyciężał u więźnia. Brał. Przedkładał życie. A może słodczy...

2. Komendanczy

Po zlikwidowaniu obozu "reżimnego" i przeznaczeniu go dla więźniów wojennych, znalazłam się na Komendanczy. Jak już zaznaczyłam tutaj bliżej władzy mniej kradli, częściej przyjeżdżały różne kontrole, stąd racja żywnościowa więźnia ~~trochę~~ ^{mniejsza} poprawiła się. Stan mego zdrowia był już fatalny. Z kobiety kiedyś 65 kg - zostało 40 kg,

Pierwsza komisja lekarska. Już daleko pozostały w tyle naiwne marzenia pokazania poprzez pracę swojej miłości do istniejącego ustroju

^{pracy} pomożenia na tyłach, by łatwiej pokonać wroga. Nie, nie wstydzę się. W mojej myśli - ^{to obywatelska} ta jedna zasadnicza "Żeby kategoria inwalidzka, ^uwycisnąć gdzieś blisko do prac gospodarczych. Tylko nie te długie kilometry drogi. Tylko nie gonić za normą". Oto stoję goła przed Komisją. Gdzieś podział się dawny wstyd. Oglądają opuchnięte nogi, naciskają na opuchliznę, czy robią się jamki, oglądają chwiejące się zęby. Słyszę wyrok: zły stan serca, silne osłabienie." I najważniejsze teraz dla mnie: "Inwalidka II grupy. Niech pracuje blisko zony w Słabkomendzie. Jest, jak widać z papierów, piśmienna. Będzie u nich pracować, tabelszczycą i obliczać codzienną pracę". Jestem w tej chwili szczęśliwa. Już na drugi dzień mój entuzjazm słabnie. Oto wychodzę z brygadą inwalidów/Słabkomanda/. Trzymam w ręku uniwersalny papier obozowy - deseczkę z dykty. Na deseczce wypisane na wiska. Moim zadaniem jest obliczyć i zapisywać, ile każdy z brygad wypracował. Praca niedaleko zony. Zwykle coś łatwiejszego. Ułożyć jakieś drzewa, uporządkować określony teren. Cóż z tego. Ci ludzie ledwo ciągną nogi. Wyniszczeni. Wygłodniali. W oczach niektórych czuć bliski koniec. Sami mężczyźni. Jeden konwojent. Po przyjeździe na miejsce, siadają apatycznie, gdzie kto może. Nie pracują. Namawiam do układania polan drzewa. Sama dla zachęty też trochę pracuję. Jak ta praca brygady wygląda! Położą dwa, trzy kawałki i znów siadają, I tak mniej więcej wygląda praca przez cały dzień. Wiem, że ode mnie teraz zależy ich racja żywności. We mnie rozterka: wrodzone uczucie

uczciwości nie pozwala mi oszukiwać, ale jak obronić się przed tymi zażawionymi oczyma, które patrzą na ciebie z niemałą prośbą. Czy mam prawo tak pedantycznie postępować z tymi nieszczęśliwymi ludźmi, zabierać im ostatnie obruchy chleba i w ten sposób przyspieszyć dzieło zniszczenia obozowego i skracać w ten sposób ich życie? Namawiam do pracy, tłumaczę moje trudne położenie. Siedzący rozmawiamy o tej sprawie." Co takiego² mówi jeden z nich "obóz widać mało nauczył cię. W tym morzu krzywdy ludzkiej ty jeszcze deklarujesz o uczciwości. Zobacz wokoło. Przecież wszyscy oszukują, nie wypełniają normy. A przecież i nas codziennie wszyscy okradają: kuchnia, kierownictwo, chleboriezka. Wszędzie łapownictwo. Moralność obozowa - to starać się przetrwać. Wszystkie środki są dobre." Przyznaję się skrzywiłam duszą. Wypisałam mojej brygadzie normę chleba. Ale w tej roli naganiacza i oszukiwania czułam się niezbyt dobrze. Zaczęłam starać się o pracę w szpitaliku na Komendancim. Lekarzem był znany uczonec, socjolog. Znał kilka języków, uczestnik wielu kongresów i zjazdów międzynarodowych. Autor kilku prac naukowych. Siedział jak łatwo domyśleć się za te stosunki międzynarodowe. Długo walczyłam z sobą. Pociągała mnie praca w szpitalu. To było jedno z młodzieńczych marzeń. Pomagania drugim, chorym. Jeżeli nie można pracować z dziećmi, to chociaż pomagać chorym. Poszłam do lekarza. Opowiedziałam o swojej pracy o studiach w Belgii, o kursach Czerwonego Krzyża. Zaczął ze mną rozmawiać po francusku, zrozumiał, że mówię prawdę. Po kilku dniach wyprosił mnie u komendanta na sanitariuszkę. Doktorowi pomagały dwie wolne siostry, które przychodziły z ża żony. Gdy po pewnym czasie dowiedziały się o moim wykształceniu, znajomości łaciny zaczęły stopniowo część swojej pracy przeplądać na mnie. One rwały się do swoich domów, do dzieci, a ja byłam szczęśliwa, przebywając z chorymi. Więc mierzylałam gorączkę, dawałam lekarstwa, robiłam wszystkie domięśniowe i inne przypadek zabieg

Stechm

Lekarz rąbał wszystkie zlecenia na deseczce, a później niea-
tualne zlecenia ścierał kłody szkiełkiem. Całe leczenie jak i na-
poprzednie obozach było bardzo prymitywne, brak historii choro-
by chorego, brak narzędzi do pracy. Najważniejsze to wyrwanie człowieka z codziennego kicatu i położenie go poza barakiem do kła-
ka. I znów powoli twarz moja traciła ziemistą cerę, nabrałam tro-
chę ciała i drżałam na myśl o mojej poprawie fizycznej i ewen-
tualnym powrocie do lasu. Już nie zatłuszczona fufajka i spodnie
na wacie, a biały fartuch, czyste ręce, ^{czyste} kosynka na głowie.
Pewnego dnia wzywa mnie do siebie upoźnoczennyj. Przyznam się:
strach mnie obleciał. Upoźnoczennyj rzadko wzywał w dobrej spr-
wie. Już i sąsiadka spogląda na mnie z pewnym rodzajem współczucia.
Nowy wyrok? Ktoś coś "doniósł"? Gorączkowo przebiegam myślą wszy-
kie ostatnie rozmowy i czyny. Nie mogę złapać siebie na jakis
przestępstwo. Trudno - w oznaczonej godzinie trzeba pójść. Dyscypl-
I oto zdumiona i zrozpaczona słyszę następujący rozkaz: "Pójdzie-
do pracy z maską "rojąną" brygadą. Nie bój się - nie do pracy w la-
sie. Oni pracują przy spalaniu drzewa. Zostaniesz ich tabelszczycą,
będziesz obliczała ich pracę. Tam zmieniło się ostatnio kilka osób.
Wszyscy oszukują razem z brygadą, sprzedają się za jedzenie. Patr-
już dawno na ciebie, piśmienna, pracowita. I chorzy mówią, że uczciwa.
Wychodź jutro z brygadą. Do szpitala znajdziemy inną sanitariuszkę.
Błagam ze łzami, wiem co to jest ta osławiona brygada, postrach c-
łej zony. Nawet konwojenci mają z nimi kłopoty. Dużo wśród nich re-
dywistów, szalonych głów, dla których zabić człowieka - to niewielka
rzecz. I tak całe życie żyją w obozach. "Władza" zostaje nieporuszona.
Moje słowa i łzy nie działają. Wracam do szpitala. Tam wolnej sio-
oznajmiam o rozkazie. A ona nie chce tracić tak wygodnej dla siebie
sanitariuszki. Idzie do komendanta i oznajmia, że jestem potrzebna
w szpitalu. /Jest żoną jednego z jego sierżantów/. Na interwencję

Mój - od pierwszej chwili, kiedy mi go podano, zawiniętego w smutny szary obozowy koczyk. Spojrzałam na drobną, pomarszczoną czerwoną twarzyczkę, na wykrzywioną płaczem buzię. Nie był ładny, jak normalny, zdrowy noworodek. Skóra zwisała na nim jak złe uszyte, zbyt duże ubranie, a z boku sterczały dwa nierówne uszka (jedno zupełnie małe). Długi, kociasty. To mój syn. Skąd takie uszy: upadek (upadek ze schodów w czasie ciąży - przyp. mój, tzn. przepisującego), złe odżywianie?

Leżałam w obozowej klinice dla położnic po bardzo ciężkich porodach. Dziecko przyszło o 3-ej nad ranem 3 marca 1947 roku. Wyczerpaną musiano wzmocnić zastrzykami i lekami. Próbowałam zasnąć, żalostny płacz dziecka męczył. przyszedł wolny lekarz. Słyszę jego gniewne słowa: "Coś ty zrobiła z dzieckiem. Chyba głodowałaś, gdy byłaś w ciąży? To prawie mały szkielecik, brak mu mięśni. Trzeba będzie dużo pracować, jeżeli chcesz go wyrościć". Czy mogę powiedzieć im prawdę? Zamykam zamknięte oczy. Położna i lekarka odchodzą od mojego łóżka i sądząc, że śpię mówią między sobą: "Lepiej, żeby umarło. Takie niedane dziecko i z tym defektem uszonym. A ona, matka, sama jedna. Ani paczki, ani listu lub pieniędzy. Cudzoziemka, z Polski. Ojciec dziecka gdzieś wywieziony. Chyba takie niedane dziecko umrze. Tak będzie lepiej dla niej i dla niego". Leżałam i słyszałam te okrutne słowa. Niedane dziecko! Czy one wiedzą, że większą część mojej racji żywieniowej dla ciężarnych kobiet (trochę tłuszczu i cukru) zamieniałam na bieliznę, z której szylałam koszulki i pieluszki dla przyszłego dziecka. Popłeniłam okrutny błąd: Mój syn miał wyprawkę, ale nie miał najważniejszego - mięśni na sobie. Głupia - myślałam, że jakos wyciągnie potrzebne sobie części składowe z mego organizmu. Prawda, ja wyschłam zęby coraz silnie wyskakiwały z dziąseł, włosy wypadały - stałam się głodna. Ale jemu widać to nie wystarczało. I to ja pedagog, zapomniałam, że tworzącemu się organizmowi potrzebna określona norma dla rozwoju. A teraz słyszę jak te kobiety skazują go na śmierć! Nie, nie dam go! Spojrzałam na biedną małą buzię. Słotce marmocze upadło akurat na jego twarzyczkę. ~~I taki~~ ~~był~~ bezradny. Jak gdyby skarżył się, że go wydałam na ten smutny świat. I

taki wydał mi się drogi, jedyny na całym świecie. Postanowiłam: "Mój syn będzie żył, nie dam go śmierci. To moja rodzina, mój cel życiowy, moje wszystko". Jeżeli uprzednio często myślałam o śmierci, w więzieniu usiłowałam odebrać sobie życie - to teraz nabrałam ochoty do życia i do walki o życie mego syna. Wyrosnie na silnego i wartościowego człowieka.

Teraz płakał - jak zwykle nie pozwolono mi od razu karmić go piersią. Płakał, krzyczał boleśnie, a ta jego skarga podniecała mnie więcej. Zapomniałam o swojej słabości, bólu. Poprosiłam o dziecko i powoli go połam lekka herbatą. Gdy otwierał małe usteczka, wlewałam ostrożnie płyn. Na chwilę cisza, a później znów krzyk. Nie płacz, a bolesny krzyk. Położna podchodzi: "nie łenerwuj się, tak jest tylko na początku. A może on u ciebie wyżyje, bo widzę po twojej twarzy jak bardzo go kochasz. I będzie jeszcze z niego silny i piękny chłopak. A uszy u chłopaka to nie ważne, to nie dziewczyna". Mała istota nareszcie śpi. Dam mu na imię Eugeniusz - jak chciał ojciec. Gdzie on teraz? Czy zobaczy kiedyś syna?

Przyszła potem ta dziwna i piękna chwila, gdy podałam pierwszy raz piers synowi. Chwytał bezradnie usteczkami i znów krzyczał łakośnie, na początku - trudno - brodawki nie wyrobione. A ja zaciakałam zęby z bólu, gdy ciągnął i kręcił głową. Później popłynęło ożywcze mleko. Usnął krzyk. Cmrkał cicho, oparł główkę o pierś - zasnął. Ostrożnie ułożyłam go koło siebie i leżałam oichutko, nie chcąc go zbudzić. Patrzyłam na dziecko i z każdą minutą stawał mi się droższy - jedyny. Zapomniałam, że jestem w obozie. Ten okres prawda krótki - stanowił dla mnie jeden z najszczęśliwszych. Odziesiąt zapomniane więzienie, wyroki, paragrafy. Jest dla kogo żyć i walczyć.

Od razu z izby porodowej przesłano dziecko do szpitalika dziecięcego w zonie. Dziecko było nędzne, chorowało na żóładek, miało od pierwszej chwili w yciek z ucha. Tam, kobieta, lekarz, sama też więzień, zainteresowała się nią i stanęła przy mnie do walki o podtrzymanie życia dziecka. Leżał całe trzy miesiące w szpitaliku. Do wszystkich poprzednich dolegliwości dołączyło się silne uczulenie. Stale występowała ostra wysypka. A ta, chcąc mi pomóc i widząc mój serdeczny stosunek od dzieci, wzięła mnie do pracy w charakterze pielęgniarki w szpitaliku dziecięcym. Byłam szczęśliwa, stale widziałam

syna. W pierwszym okresie miałam mleka pod dostatkiem. Dokarmiałam nawet cudzie dzieci. Teraz już sama spożywałam wszystkie produkty. Dbałam o mleko. Powoli twarzyczka dziecka zmieniała się, stawała się bielsza, okrąglejsza. "ładny twój chłopak" - mówiły drugie matki. "Ma brązowe oczy, czarne włosy, wcale nie podobny do ciebie, do mamy". Uśmiechał się już, wodził za mną oczyma - oczyma swego ojca, który dał dziecku, co miał najpiękniejsze - oczy. W szpitaliku było przepełnienie. Dzieci często chorowały, brakło miejsc, to też po 3 miesiącach lekarka wypisała nas ze szpitalika. Małego do żłobka, a mnie na szczęście do pracy w żłobku. Kochana, chciała mi dać możliwość wychowania syna. Przebrałam go w własną bieliznę, otuliłam w kokderkę i włożyłam go do wiklinowego łóżeczka w jednym szeregu z innymi dziećmi. Obok niego stało łóżeczko dziewczynki Natasy. Z jej matką zaprzyjaźniliśmy się od pierwszej chwili. Ona w więzieniu politycznym, Rosjanka, dostała się do obozu już w ciąży. Cała rodzina została aresztowana, rozszlana po różnych obozach. Żenia wypychał palec do ust i patrzył na sąsiadkę, a ona na niego. W żłobku duszno, kwasny zapach niepranej bielizny, bolesny płacz dzieci. Łóżeczka stały ciasno jedno koło drugiego. Trochę starsze sadzano w kojcu. Tam siedziały bez zabawek często silniejsze tłukły słabsze, niezaradne.. Część siedzi na podłodze, pełza, czeka na przyjazny, zachęcający uśmiech. Nie wie, biedactwo, że to jego zwycięstwo, pierwsze kroki, to początek klęski. Już prędko pójdzie od matki do domu dziecka za zoną. Nianki oznajmiają rano lekarce podczas obchodu "O, ten już chodzi". Lekarka rozpoczyna swój dzień od obchodu wszystkich łóżeczek i wyrzucenia wszystkich smoczków, które matki podczas karmienia wepchnęły do ust swoim dzieciom. One boją się: "Z krzyku dostaną przepukliny". "To zaraza" - gniewa się lekarka, która często leczy małych pacjentów na różne zapalenia gardła, dziąseł. Tak samo ulegają zagładzie różne samorodne zabawki, zrobione przeważnie z różnych kolorowych szmatek. Szmatki wiszą nad głową dziecka, a ono wodzi za nimi oczyma i próbuje chwycić je rączką. Lekarka zrywa te rozsądniczki kurzu. Skąd wziąć grzechotkę, kółko kosciane, dzwoneczek? Jak ma się rozwijać dziecko w tej monotonii szarego koloru i wiecznego płaczu. Żadnych wrażeń, tylko ten zakosny, monotony płacz. Nianki nie dają przewijać

placzące dzieci. Latem łatwiej suszyć pieluchy. Nie płuczą je. Prosto mokre wynoszą na słońce, a później podkładają drugiemu dziecku. To samo z wietrzeniem zina. A sprzątanie, gdy trudno przecisnąć się między łódeczkami? I dlatego jak tylko dziecko staje na nóżki odsyła się je za zonę. A tam już łatwo, gdy ciasno - wysyła się je w świat, do domów dziecka - dalej od "złych" mattek. Trzeba obserwować te matki, gdy podczas pracy przychodzą karmić dzieci. Miałki bały się tych bardziej zadziornych i dlatego ich dzieci najczęściej leżały w suchych pieluchach. Niechby takie dziecko było mokre - to by dopiero była awantura. Dochodziło wprost do rękoczynów. Matki pracowały blisko zony i karmiące miały prawo w oznaczonej porze przychodzić do zony i karmić dzieci. Podchodziły do okienka gdzie podawano im małe tłumoczeki do karmienia. Nikogo nie obchodziło, że śpi. To pora karmienia, później może krzyczeć - nie nie pomoże.

Rzadkie momenty spokoju Żenia przerywał krzykiem. Widział mnie krzającą się po sali - wtedy podnosił główkę i krzyczał. Kryłam się przed nim, skulona przemykałam koło łódeczek, żeby mnie nie zauważył. Mało pomagało. Czuł mnie instynktownie. Chciał, żebym jemu oddawała cały czas i uwagę. A ja uważałam: "Tmate dzieci nie mają przy sobie matek i dlatego im się należy jeszcze większa uwaga i opieka". Nie dochodziłam do łódeczka syna, więc krzyczał bardzo często. Miałki mówiły: "Coś ty za wyrodna matka, dojdź do niego, popatrz jak: czerwony z tego krzyku. Już mu się zrobiła przepuklina pępkowa z tego płaczu. Poskarżyły się na mnie lekarzowi. Stwierdziły, że dziecko bardzo często płac. Lekarka zbadała dziecko i wydała wyrok: "Masz teraz mało pokarmu. On głoduje. Trzeba - niech go ktoś dokarmi. Jest niedźmy i mleko kobiece to najlepszy pokarm dla niego". Prawda, sama po 3 miesiącach zauważyłam mniejszą ilość ożywczego płynu w moich piersiach. Spłakałam się, ale to nie pomogło sprawie. Miałam obcej kobiecie odstąpić najmiłsze minuty współtęcia z własnym dzieckiem. Znalazłam z polecenia lekarza zdrową kobietę, która zgodziła się za produkty karmić chłopca. Oddawałam jej w ten sposób wszystkie produkty, jakie otrzymywałam karmiące matki. W ten sposób syn mój dociągnął do 6 miesięcy. Wt zaczęłam go karmić z buteleczki. Nadal jeszcze należał do najślabszych dzieci

Każdą wolną chwilę spędzałam przy nim. Wróbowatała go do nury. Gładziłam go na brzuszku, umiechałam się, nawet muciłam piaseczkę. Otulałam go w kołderkę w ten sposób, że tylko pozostawała otwarta twarzyczka i wynosiłam na dwór. Kruszył oczy w słońcu, wodzik oczyma za fruwającymi wróblami. Edumiony tym światem, tak innym poza salą kuchową. Uważnie patrzył na mnie, na moje usta, gdy próbowałam rąwać otaczające przedmioty. Na bledziutką twarzyczkę występował powoli rumieniec. Karzyłam wtedy o owocach dla niego, o witaminach. Pokiłam wszystkie dzieci sokiem z marchwi, ale to była znikoma ilość, po jednej łyżeczce na każde dziecko. No i w rezultacie przeczytałam w oczach lekarki drugi wyrok: "rachit - angielska choroba". Prawda - nóżki proste, ale wąska ptasia klatka piersiowa. Przypomniłam sobie jak w Polsce leczy się tę chorobę. Tutaj byłam bezsilna. Brzydą zimą, ani kwarcowej lampy, ani owoców. Ta zima, która trwa 9 miesięcy. I dzieci w dusznym pokoju. Dzieci zdrowych młodych matek prezentowały się lepiej. Ale śmiertelność była wśród takich dzieci duża. Wiele chorowało na biegunkę. Matki ukradkiem wpychały do ust niemowlakom kawałki burki, słodyczne - co tylko udało się im dostać. Wśród bytowiek wciąż były kłótnie z lekarzem i pieluszkami. To pieluska źła, to chcą spać pod różeczką dziecka, gdy chore, nie chcą wynosić na spacer, nie chcą kąpać. Nie ma dnia bez awantur. Dla niektórych dziecko to tylko sposób, żeby nie pójść do pracy, uzyskać jakieś przywileje.

Już Żenia ma 4 zęby. Siedzi na początku w różeczkach, później w kojcu. Już mówi: "daj, mama, na, na". Patrzę z zazdrością na inne dzieci, jego rówieśników - już wstają, już chodzą. Głupie matki przyspieszają moment aż mały stanie samodzielnie i pobiegnie w kierunku przyjaźnie wyciągniętej ręki. Zazdrościliłam, niemądra. Bo te dzieci w pierwszej kolejności podpadały pod okrutne prawo. Zarząd obozów uważał, że matki - to wrogiowie, wrogowie kraju. Ich dzieci - to wolni obywatele ZSRR. Potrafią już już bez aleka matki, więc matka już im niepotrzebna. Matka - wróg. Dziecko jako wolne idzie na wolność, za sobą do Domu Dziecka. Matki pozostają w zonie. Tylko raz w tygodniu pod opieką konwojenta mogą w niedzielę pójść na 2-3 godziny w gości do swoich dzieci. Codziennie, gdy matki są w pracy, kilkoro salek wchodzi się do budynku-do-

mu dziecka, który jak na igraszkę stoi tuż za plecami żony. Jaki straszny, »
gdy matka po pracy idzie do łobka, a tam zostaje już puste łóżeczko. Łzy,
przekleństwa i pierwszy oddech - pod na wartę. Ale tam warta nie puszcza. Wra-
cają do baraków, część skorzecząc lekarzowi, a inne leżą dzień cały, gorzko
płacząc. U jednych żal za utraconymi przywilejami, u drugich ból, żal i tęskno-
ta. Teraz pozostaje tylko liczyć dni do niedzieli- dnia odwiedzin w domu dziec-
ka z żoną.

Okrutne prawo pozwalało na pozostawienie dzieci matkom przeciętnie do roku
życia. Stedy cho było jej własne. Karmiła je, przebiarała, śledziła za jego
rozwojem, miała z nim stały kontakt. Po roku ten kontakt raptownie urywał się.
Dom stał blisko żony, ale broń konwojentów zagrażała matkom dostęp do własne-
go dziecka. Teraz dziećmi opiekowały się nianie. To były albo walne lub byto-
wiczki, które miały przepustki. W każdym razie nie więźniarki polityczne. Raz
w tygodniu, w niedzielę matki pod opieką konwojenta mogły odwiedzić swoje dzie-
ci. Wystarczyło czasem jakiegos powodu, by ogół pozbawić tej wizyty. To jakaś
grupa matek nie pracowała, to nie przyjechał strzelec, to dzieci chorowały.

Mój syn należał do tych, którzy poszli ostatni. Jego rówieśnicy już dawno
poszli z żoną. Lekarka może i pottrzymałaby go dłużej w żonie, ale inne matki,
widząc jak chodzę z dzieckiem na ręku - protestowały, szeptały po kątach: "Dla-
czego syn Mironowny tak długo w żonie? No, bo pracuje z lekarzem. Wiemy, para-
graf 58 - to się zostawia dłużej!". Musiał odejść ode mnie. Pewnego dnia lekar-
ka oznajmiła mi: "Chłopiec musi pójść z żoną. Już jest mooniejszy i chodzi."
Nie próbowałam sprzeciwić się. Wiedziałam: nie mogę być wyjątkiem. Inne matki
też cierpią.

Następnego dnia owinałam go w kołderkę, gorąco ze łzami ucałowałam i odda-
łam przy warcie niani, która szła w tamtą stronę. Dziecko zapłakało na rękach
obcej kobiety, ale prędko uciszkłam i patrzyłam tylko z daleka, jak niosą go do
szarego domu. Praywarkam oczyma przy szparze w płocie, skąd widać nianie z
dzieckiem, a później już tylko same drzwi. I już koniec. Długo stałam przy pło-
cie, obserwując tamten dom, który wchłoniął mego syna, jak tyle innych dzieci.
Dom był daleki, cichy. A

A mnie wciąż w uszach brzmiał płacz tego całego bezbronnego syna. Czy teraz mojego? Przecież mi go zabraliś Ironia - mały wolny obywatel, który ma matkę-przestępcę! Przestępcę, który nie ma prawa do własnego dziecka. Mój syn prawie okrągły sierota: zabrali mu najpierw ojca, a teraz matkę.

Na drugi dzień stałam przy warcie. Czekałam na nianie, która codziennie przychodziła do magazynu po produkty, to znów do lekarza. Staralam się ją sobie sjeżdzać. Prosiłam o nowiny - "No jak tam? Czy płakał? Jak spał? Czy jadł?" A ona krótko: "Jak każdy. Najpierw płakał, teraz już przestał. Cichy, grzeszny". I poszła za swoimi sprawami. A ja przecież chciałam wiedzieć o wszystkich szczegółach jego życia, nowego życia. Ta niania to teraz dla mnie bardzo ważne osoby. Od plotu odpędziła mnie warta - "Nie wolno". Jedyne ratunek na tę tęsknotę i niepokój - to praca. Łóżeczko mojego syna już było zajęte przez inne dziecko. Pracy dużo. Termometry, lekarstwa, kompresy, lewatywy, okrycie kołderką, a czasami gdy czas pozwala - uśmiesze i pogłaskanie tych wszystkich jasnych i ciemnych główek, skrzywdzonych tak przez los. Lekarka, widząc moją złąkę, nie ma respaos, poszła z wizytą na zamek do Doma Dziecka i przyniosła mi dobrą wiadomość - "Już mniej płacze, przyswoił się prędko".

Teraz my, matki, czekamy na niedzielę. Gdzieś złożyłam u wolnych kawałek cukru, słodki suchar, trochę kwaśnego mleka, kolorowy obrazek. Godzinę wcześniej już stałam gotowa przy warcie. Tam zbierały się matki, które miały dzieci za zamek. Każda z nas miała coś z trudem zdobytego, trochę czystej bielizny dla dziecka, co kto mógł. Już pora. Czekamy na strzelca. Młody chłopak z karabinem. Prosimy, żeby już ruszał, a on czekał na wyznaczoną dokładnie minutę. Później uprzedza - "Jak nie będziecie się słuchały, już więcej nie pójdziecie. Jak dwa znak, że wracamy, natychmiast wszystkie zbierają się". Ale prędko rozchmurza się: są wśród matek ładne bytowiczki. Można będzie pozartować. Nareszcie otwierają się drzwi za zamek. Idziemy, raczej pedzimy. Ale uprzednio liczą nas. Pochód zamyka nasz konwojent z bronią w ręku. Oto i dom dziecka. Ale dzieje się cisza. Matka oznajmia - "Dzieci zawsze po obiedzie śpią". Protestujemy: "Dlaczego kładziecie dzieci do łóżek, kiedy to nasza godzina. Czekamy przecież cały tydzień na te krótkie godziny". Matki waruszają ramionami. A zegar nie

czeka. W domu dosyć czysto, tak samo i łóżeczka, ale stołówka i jednocześnie pokój do zabaw smutny, szary. Puste ściany. Niskie, długie stoły i do tego ławki. Jeszcze w korytarzyku dwa szeregi nočników. Klękam przy łóżeczku mego syna, posapuje śpi. Głowa na poduszce zupełnie mokra. Spocik się we śnie - słabutki. Nie wie, nie czuje, że matka jest przy nim. Tymczasem niektóre matki ukradkiem budzą dzieci, później pozostałe, jedna po drugiej robią to samo. Miarki milczą, nie chcą się kłócić. Zresztą teraz będą kilka godzin wolne. Żal mi budzić obłopca i żal mi omasu, który tak bezlitośnie pręży się naprzed. Czekuję cichutko zupełnie ogoloną łepetynę. Pod pocałunkiem śpi już teraz niespokojnie. A wokół już gwar, hałas. Poruszam go lekko. Otwiera oczy, patrzy z natężeniem, jak gdyby nie poznał. Później uśmiech radosny: "Mama". I dwie łapki obejmują moją szyję. Płacze, a on coś szumielosne, gdy przebieram go w czystą bieliznę. Całe ciało na rozdrapanie, mrowienie uśmolenie, wysypka. "Czy pokazano dziecku lekarzowi?" - pytam ostrożnie nianię, żeby jej nie urazić. A ta odrazu: "Rospieszszony, nie chce siedzieć na nočniku, a później robi w majtki". - "On się przyswycał, tylko go nie bijcie, dużo chorował. Ja sama wszystko będę prała, przynieście mi tylko do zomy. Będę codziennie czekała przy warcie". Teraz rozumiem skąd ten strach u małych dzieci. ~~Wszystko to~~ Dopiero po roku opowiedziały mi starsze dzieci. Miarki straszyły dzieci sznurami, które grasowały koło domu. W pustym pokoju, gdzie stały nočniki i godzinami siedziały dzieci, była w podłodze dziura i omasami wysuwała się głowa sznura. Maledźstwo siedziało i drżało ze strachu. Miarki niekiedy zapomniały o nim. A sznur wychodził sobie z dziury. I raz ugryzł dziecku-Edkowi-palec. Niektóre dzieci omasami robiły w majtki, bały się okropnie tego sznura i wolały biec. byleby nie siedzieć w strasnym pokoju. Gienek należał do tych bojących się. Nie rozumiałam na początku, gdy ze strachem szeptał mi po cichutku: "Krysa" (sznur). Dopiero po miesiącu jakaś matka przyniosła kawałek deski, ukradkiem gwoździe. Zabiłyśmy dziurę. Może to trywialne, co powiem, ale cieszyłam się, gdy miarki rano, przychodząc do zomy przynosiły mi brudną bieliznę. - "Masz podarek od swojego Żeni". Cieszyłam się, że mogę go

uchronić od bicia. My, matki, nigdy nie brzydzimy się prac pieluch i brudnej bielizny naszych dzieci. Martwiłam się tylko: "Słaby, chory, Jeszcze nie nau-
czony jak powinien zachowywać się młody oszkowiek, który ma 2 lata". Nakarmi-
liśmy trochę dzieci, popłeszciliśmy. Chciałoby się za Hamletem krzyknąć: "Godzi-
no, stój". Wizyta dobiega końca. Już konwojent przychodził, uprzedzał. Prosimy
o jeszcze kilka minut. Ale i te mijają. Gdzie się podziały 3 godziny? Rośnie
napiecie, rozdrażnienie. Starsze dzieci już wiedzą, co to znaczy przyjście kon-
wojenta. To nie pierwsza wizyta. Mój syn instynktownie nie chce zejść z moich
rąk, obejmuje szyję mocno rączkami. A ten konwojent gniewa się - pora wracać.
Cicho co szepose dziecko, próbuje go zagadać. Niewruszony. Już grupa matek
zebrała się. Krzyczy na mnie konwojent, krzyczą kobiety: "Wracamy". Większa
coś dzieci płacze i rozpaczliwie krzyczy. Żeracam się o pomoc do niani. Ta
siłą odrywa dziecko ode mnie. Żenia zanosi się od płaczu, szarpie się w jej rą-
kach. Uciekam, pędzę ku wyjściu, gdzie przyjmują mnie wynórkami i pogródkami.
Konwojent liczy nas. Wracamy. Słyszę krzyki dzieci, a płacz mego syna, chociaż
to dziwne, w tej masie dźwięków wydziela się dla mnie wyraźnie. W pewnej chw-
li odwracam głowę i widzę płaczące twarzyczki dzieci przy oknach. Patrzę na swo-
je matki.

Jak bić muszę te małe serca - tak wczesnie, na zaraniu życia już cierpiące.
Zabiera się im najważniejszą w tym wieku witaminę potrzebną dla rozwoju, witami-
nę M - miłość macierzyńską. Później gdy leżałam bezsenne w nocy w ciemnym ba-
raku, rozmyślając o tej pierwszej wizycie, przyszła ponownie myśl: "czy miałam
prawo w tych warunkach mieć dziecko. Już teraz cierpi. Jest opóźnione w rozwoju
fizycznym i umysłowym". Przypominam sobie poglądy pedagogów, poglądy Adlera o
wzrastającego ^{wczesnego} dzieciństwa na kształtowanie się osobowości oszkowiek. Przy-
pominałam sobie dwuletnie dzieci w przedszkolach, w ogrodzie Ujazdowskim, w Ła-
zienkach. Czyste, rumiane, uśmiechnięte. Chyba bez frustracji i kompleksów. Wier-
zę są inne, te z Woli, Powązek, ale i one szczęśliwsze niż nasze obozowe. Czy
walczyłam dziecko, aby siebie uratować przed beznadziejną pustką uczuciową?
Główny poprzedni życiowy cel - wychowanie sierot, odsunął się daleko. Więc cho-
ciaż jedno, własne? Ale czy wolno wyrościć słabe i nędzne i już nieszczęśliwe?
Pocieszam

Pocieszam się: już rok 1949, niedługo wyjdę na swobodę. Konczy się termin wyroku. Pojadę z dzieckiem na wolność. Mam przecież dyplomy, znajdę pracę. W dobrych warunkach chłopiec nadrobi braki. A później razem z nim pójdę pracować z dziećmi-sierotami. Taki jest mój plan życiowy. Ta mała istota weszła do mego życia. Wzbogaci mnie uczuciowo, ale nie odsunie od pracy społecznej.

Niestety, najmiłsze teraz moje chwile, gdy go chorego przynoszą do sony, bo tutaj jest szpitalik dziecięcy. Wtedy każdą wolną chwilę spędzamy razem. Pielęgniuję go, leczę, otaczam serdecznością i dziecko odtywa, rokwita. Jego biedny słownik bogaci się masochem nowych słów. ^{Jednak} Choroba przechodzi i nadchodzi czas powrotu do domu dziecka. Teraz już nie krąży przy rozstaniu, tylko podnosi swe piękne brązowe oczy, pełne łez. Nauczyliśmy się spiskować. Podczas spaceru pokazuję mu najdalszą dziurę w płocie i umawiam się, że tam na niego będę codziennie czekać. I cud się zdarza. Następnego dnia, w porze, gdy dzieci z sony z polecenia lekarza wypuszczają na powietrze, stoję i obserwuję te drobne figurki, drepcące po trawie. Żenia nie biega z dziećmi. Wzruszona widzę, jak mała figurka posuwa się w kierunku umówionej szpary w płocie. Po chwili coś tam majaczący i słyszę cichutki głos "Mama". Coś mnie dawi w gardle. Przerzucam w tym miejscu malutki okierek. Nachyla się, bierze do rączki i trzyma mocno w zaciśniętej dłoni. I znów słyszony szept "mama, moja mama". Ani płaczu, ani krzyku, nawet chęci na okierek. "Drogi mój, kochany" - mówię - "już idź, bo zobaczą i będą się gniewać na mamę. Jutro znów się zobaczymy". Później odchodzę, mała figurka stoi jeszcze dobrą chwilę, aż któraś z nianiek szarpie go i odciąga od płotu. W ten sposób spotkaliśmy się kilka razy, jak w więzieniu podczas widzenia. Tam kraty, tutaj płot i druty na górze. Większość matek też próbowała przez płot przesłać coś swemu dziecku. Czasami leciał jakiś sucharek biały, owinięty w szmatkę. Czasami jakaś uszyta ze szmatek - laleczka. Te drobiazgi wnosiły trochę radości w życie dzieci. Gorszej było, gdy padały deszcze i nie wypuszczano je na dwór. Prawie całą długą zimę siedziały w domu, nie miały odpowiedniego obuwia i płaszczy. Jeżeli jakieś matce udało się skombinować ze starego waciaka paletko, to i tak nikt nie wychodził z pojedynczym dzieckiem. Chyba w dzień wizyty. Ale najgorsze miało jeszcze przyjąć. Wiedzia-

łyśmy, że dzieci, co pewien okres, wywoła do innych domów dziecka. Ale nie wierzyłyśmy. Czy to możliwe, żeby nam, matkom, zabrali dzieci. Nasze dzieci? Kiedyś, wchodząc do szwalni, widzę, jak więźniarki, krawcowe szyją male dziecięce paletka. Już ich leży cały stos. Pytam - "Czy nowe dzieci przyjeżdżają?". Odpowiedzią w drodze wyjątku, matkom wychodzącym z obozu, zwracano dzieci i pozwalano zabrać je ze sobą. wiedź była straszną: "Każdego roku od nas ośmiesz dzieci z ma sony, z domu dzieci

ka wysyła się do dalszych zakładów. To dla nich palta, na wyjazd." - "Na wyjazd" Przecież jeszcze chłodno, a palta rękawie cienutkie". Wiadomość potwierdziła się. Krążyły wieści, że w domu dziecka ciasno i chyba dzieci wywiozą. Pytałam zrozpaczona - "Dokąd?" Ukrywają przed nami. Dowiaduję się przypadkowo od pracownika kancelarii, który robił wykazy dzieci (niestety i mój syn tam figurował!), że po drugiej stronie Pieczory jest dom dziecka. Przeprowadzanie takich maluchów przez dużą rzekę - niełatwa. Jeszcze chłodno dla takich dwuletnich maluchów. A później jak je odnaleźć w tym wielkim ZSRR? Przecież dzieci przesyłano z jednego domu do drugiego. Najpierw dla dzieci w wieku żłobkowym, później przedszkolnym, w wieku niższych klas szkolnych itd.

Jedną z matek, która w obozie miała już drugie dziecko i pierwsze wyszła, opowiadała nam, że teraz pisze i pisze i nie otrzymuje odpowiedzi. Rozpaczaliśmy. Napisałyśmy zbiorowe podanie. Nie pomogło. Nie wyszłyśmy do pracy. Kilka kobiet posadzono do karceru. Szyto już jakieś majteczki, spodenki dla chłopców, bo dotychczas wszystkie dzieci chodziły w sukienkach dla ułatwienia pracy matkom: zmoczy się - nie widać. Bytowski codziennie robiły awantury komendantowi, nawet operupolnomoosennemu. Nawet te, zbyt mało przejmujące się dziećmi. Może niejedna gdzieś głęboko w duszy była zadowolona, że poszła się kłopotu i łatwiej jej samej będzie na swobodzie, ale większość rozpacziała. Wobec tego nie chcieli nam powiedzieć, kiedy dzieci wywiozą. Nawet lekarka, tak serdeczna dla mnie, bała się mi zaufać. Chciano wywieść dzieci potajemnie, w nocy, kiedy więźniowie śpią. Ale my, matki osuwałyśmy. Każdej nocy, na zmianę, któraś siedziała w ukryciu na dachu, za kominem. Pewnej nocy jakieś poruszenie koło domu dziecka. Samochody, światła. Wszłyśmy wszystkie matki wyjeżdżających dzieci, na dach. Warta ostrzegła nas, ale bała się strzelać. Trum płaczących kobiet na dachu, wyciągających ręce do swoich maluchów.

~~Złamanogłosem~~ Każda woła po imieniu swoje. Z domu wynoszą je zaspiane i płaczące do maszyny. Na dworze - noc. Daleko słyszy głos swojej matki, swoje imię - więc odpowiada głośnym płaczem. Okropna scena. Samochody ruszyły, unosząc dzieci i chyba dwie opiekunki. Dochodzi do nas warta i każe nam natychmiast ~~zjechać~~ schodzić z dachu. Leżymy na pryzach, z głową mi w poduszkach. Niektóre zanoszą się płaczem. Na drugi dzień czeka praca. Chodzę jak we śnie, wciąż myślami i obrazami z minionej nocy. Napróżno pocierza mnie lekarka, daje jakieś krople na uspokojenie. Załamalam się zupełnie. Nie chce się jeść, tyć. Roschorowałam się - gorączka. Ale i to przeszło. Człowiek jest przecież taki silny i wszystko wytrzyma. Najgorsze są niedziele. Wloką się szare, ciężkie dni. Nie ma od dzieci wiadomości. Nagle gruchnęła dziwna wieść. Radość nas ponosi. Wieść prawdziwa, potwierdzona przez lekarkę: "Wróciły dzieci". Szalejemy teraz na odmianę z radości. Nie wierzymy w taki cud. Czekuję lekarke, błagam, żeby poszła za żonę. Wracą i opowiada - "Dzieci miały się przeprawić przez Piesczorę. Była kra. Żaden przewoźnik nie zgodził się w takiej sytuacji przewieźć kogoś na drugi brzeg, a tutaj jeszcze małe dzieci. Postanowili czekać, aż kra spłynie. Wepohnięto małe dzieci, całą gromadę, do jakiejś chaty rybackiej. Ułożyli je na podłodze, na słomie. I czekali. Mijały dni, a na rzece nie nastąpiła zmiana. Nie można przeprawić się. Dzieci głodowały, trudno w małej osadzie o żywność. ^{podobno} O higienie małych lepiej nie mówić. Postanowiono wracać. Dzieci wyglądają bardzo źle, ale wszystkie są żywe. A Żenia? - pytam i trzy ciurkiem płyną mi z oczu ze szczęścia. Oczy lekarki są też wilgotne. Miłosy. A jednak radość dodaje nam skrzydeł, byleby wytrwać do niedzieli. W niedzielę, mimo naszych błagań, nie puszcza nas do dzieci. Władza łagrowa boi się, urki podniosą bunt, gdy zobaczą jak dzieci wyglądają po tej wyprawie. Miłosy. Nie protestujemy. Wiemy, że nasze małeństwa są blisko nas. Pakujemy w ręce przybyłej do sony sanitariuszki, co kto może. Byleby je nam tutaj blisko zostawili. Nawet te najbrutalniejsze matki przycochły. Po tygodniu słowa okazały się piękną prawdą. Zobaczyliśmy nasze dzieci. Radość była obustronna. Uoił ból. I znowu popłynęły dni. Praca. Chęć niesienia pomocy tym małym, pozostającym przez cały dzień pod moją opieką. Żal mi je straszenie, w tych prymitywnych warunkach, śmiertel-

ność była bardzo duża. Nasze dzieci teraz już spokojnie czekają na niedzielne wizyty. Znów poprawiły się, rosła. Tak przeszło kilka spokojnych miesięcy.

Raptem przed końcem roku budżetowego przyszła kontrola finansowa. Księgowy oburzył się - "Jakto, były takie wydatki, związane z wysłaniem dzieci, szyciem odzieży, a dzieci są na miejscu?". Postanowiono natychmiast skandal - jeszcze przed końcem roku kalendarzowego trzeba wysłać dzieci. Teraz będzie łatwiejsza. Pieszoła stoi skuta silnymi mrozami. Dzieci muszą wystać na miejsce saniami. Znów nocami nie spałam. Niedługo wyjde na swobodę, i teraz tracić dziecko? Podczas ostatniej niedzielnej wizyty zauważyłam, u żeni wysypkę uczuleniową. Nie pamiętam, co wtedy zrobiłam, jakie "przestępstwo", by ratować swoje dziecko. Nakarmiłam go po ichu jajkiem, które wymagało wyuzytkę, podsypałam jakimś drażniącym proszkiem. Silnie swedziało, dziecko nie spało całą noc, rozdrapało skórę na całym ciele. Miałem na drugi dzień przynieść żenię do żony, do szpitalika. Całowałam lekarke po rękach - "Niech Pani mi dziecko zostawi w żonie, uratuje". Dziecko pozostało w szpitaliku. Nie było poprawy, ja natomiast nie wysilałam się, by je wyleczyć. Po dwóch dniach, gdy dano lekarce listę dzieci do podpisu, wykreśliła nazwisko mojego syna. Żeby zabezpieczyć się przed zarzutami, że polityczni popierają się, zawezwała komendanta i wolną siostrę i pokazała im dziecko. Skóra była czerwona, w wysezkach. "Jasne - powiedziała komendant - takiego tam nie przyjmą, powiedzą podejrzenie chorego nam przysłali". Na drugi dzień wywieziono dzieci. Ułożono je jak śledzie, rzędami i przykryto sianem i kocami.. Razem z wolnym felczereś pojechali dwie nianie. Każde sanie prowadził furman. Mróz straszny - koniec grudnia. Dzieci w ciemnych paletkach. Sanie ruszyły. Po kilku dniach wróciły niarki. Sanie, blade, wystraszone. W drodze mróz się wzmacniał. Od strony rzeki wiał silny wiatr. Mróz silnie dokuczył nawet dobrze ubranym dorosłym. Furmani i felczerek postanowili ogrzać się po mesku. Sanie stawały przed zajezdami, kobiety piły coś ciepłego, a mężczyźni wódkę. "Dzieciom pod sianem ciepło" - mówili i mrów wchodziłi do nowego zajazdu. Najwięcej nalegali mężczyźni. Dzieci na początku popłakiwały cichutko, pewnie za potrzebą (nie wysadzano je), a później z tego płaczu przeszły. Było cicho. Po przyjeździe do nowego domu dziecka okazało się, że na niektórych sanich część

dzieci na podmurzane kołczyny. Trzeba było je natychmiast odprawić do szpitala. Czworo dzieci przyjechało od razu martwych. Pijany furman, rozgrzał się i zachciało mu się trochę przespać. Leżał w kokużu na sianie i przydusił czworo małych. Kierownictwo obozu chciało zatuzować sprawę, snadząc całą "opiekę" do karceru. Ale matki podniosły straszny krzyk, pobiegły ze łzami i awanturą do upokornionego. Ten kazał mężczyznom aresztować, także i felosza, za niewypełnianie obowiązku opieki i podać ich do sądu. ~~Wszyscy dostali po 5 lat więzienia.~~ Również dostali po 5 lat więzienia. Matki natychmiast zdjęto z pracy. Bały się o swoje życie, bo matki groziły im śmiercią i trzeba było je wysłać w pierwszej kolejności do innego obozu. Nie mówiono, jakie dzieci zginęły. Pamiętałam, jak układano je na sianach alfabetycznie, - zginęli sąsiedni kółek mego syna. Wiedziałam, że cudem uniknął śmierci. Dalszy los dzieci z tego transportu jest mi nie znany.. Ile z nich, ciężko chorych, zmarło, nie wiadomo. Wypadek ten wstrząsnął wszystkimi.

Po tym zdarzeniu, więcej nie mówiono o wysyłaniu dzieci. Syn mój, cudem uratowany, stał mi się jeszcze droższy. "Nie dam go już więcej" - powtarzałam bez końca. Napisałam podanie do Zarządu Obózów, żeby mi dziecko nie zabierali, bo wkrótce pójdę na swobodę i sama chcę dziecko wychować, żeby nie obciążać skarbu państwowego. Zaakceptowali. Chłopaczek mój rósł sobie teraz spokojnie. Podczas pobytu w zonie stał się rozmowniejszy, wszystko go interesowało, stale zadawał pytania. Tylko słabiutki był nadal. Później wrócił ze żoną. Wiosną dzieci wybiegały na dwór i jak dawniej mogłam rozmawiać z nim w umówionym miejscu przez szparę. Kiedy miałam dużo roboty i nie podchodziłam do szpary, w niedzielę mówił mi zawiedziony - "Żenia tak długo czekała na ciebie. A ciebie nie było". Opowiadałam mu o biednych, chorych dzieciach i pocieszałam - "Kiedzigo stąd wyjedziemy i będziemy cały czas razem, nawet w nocy".

Już zaczęłam myśleć o wyjeździe. Cieszyłam się na myśl o zakończeniu wyroku. Wyobrażałam sobie - jakie piękne życie czeka nas na wolności. Ukochana praca z dziećmi i wychowanie syna. Swoboda! Pracować, gdzie się chce! Na razie trzeba ograniczać się w jedzeniu. Zebrać trochę jedzenia na drogę dla dziecka, trochę pieniędzy. Obuć siebie, ubrać w najbardziej niezbędną odzież dziecko.

Odmień lepszej jakości rekwirovano przed wyjazdem z obozu.

W nocy często myślałam o przyszłości. Czy uda mi się oczyścić swoje imię? Czy zostanę zrehabilitowana? Jaki będzie los mego syna? Czy zobaczę kiedyś Warszawę, Polskę, za którą coraz silniej tęsknię. Niezależnie od tych wątpliwości cieszę się, że to już koniec niewoli. Straconych 10 lat życia! Zmora śledstwa i dni więziennych. Patrzę w lustro wolnej siostry. Siwe włosy, brak zębów. Czy taka dam sobie radę w nowym życiu? Radosna, wymarszcha swoboda, ale i obawa przed nieznanym! Tyle listów wysyłanych w ciągu tych 10 lat bez pozytywnej odpowiedzi na moje pytanie - "Dlaczego jako polska obywatelka nie zostałam razem z innymi Polakami zwolniona?". Czasami przychodził papier ze stemplami - "Oswobodzeniu nie podlega". Tak było w obozie. Wierzyłam, że na swobodzie będzie więcej możliwości, że dobiję się rewizji sprawy.

Doświadczeni więźniowie pokpiwują sobie z moich marzeń o swobodzie. Ich dla nich ta swoboda jest bardzo okrojona i ograniczona. Gdzieś w głuszy - mówią - będziesz na zesłaniu - pod "opieką". Nie daję się zbić z tropu - "Jednak nie zona, konwojenci, wiele wartownicze, apele i wspólny barak. A najważniejsze, że syn będzie mój, tylko mój. Zresztą i zesłanie kiedyś się skończy". Śni mi się często po nocach zmora wyprawy za Pieczęć. Jak najdalej od obozu! Skrzętnie zbieram dokumenty - zaświadczenia lekarskie o chorobach i szczepieniach, metrykę syna (w języku rosy jakim i komi). Są już suchary i kasza na drogę. Zbieram to wszystko w dużym worku, a na szyi schowam woreczek na dokumenty. Po raz ostatni obchodzę ciemną stołową, banie, smutny dziecięcy szpitalik.

Żal mi niektórych ludzi. Dobrej lekarki, która i mnie i wielu dzieciom starała się pomagać w miarę swych możliwości. Czasami marzę o spotkaniu niektórych osób, które nawet w obozie okazały swoje człowieczeństwo. To one sprawiły, że żyję, podały dłoń w najtrudniejszych chwilach, pomogły... ~~Krypana...~~
~~Krypana...~~ Są ludzie, których nazwisk nie pamiętam, ale ich twarze, ich czyny. Zostali ludźmi w morzu upodlenia i krzywdy, pomogli nie stracić wiary w człowieka. Nie spotkam ich nigdy, ale te okruszki dobroci skrzętnie chowam w swojej pamięci. Może to stary romantyzm, sentymentalizm niemodny, ale zrozumiały i zawsze piękny jak stare dzieło sztuki. Być dobrym, żyć dla innych

w tym piekle, gdzie prawo pięści i podłogi zwycięża - tak mogą tylko ludzie.

Niechętnie wspominam najtragiczniejszy okres mojego życia - więzienie i obóz, a także zesłanie. One jednak wracają - miesiące i lata upiorne w snach, przy oglądaniu filmów, lekturze książek. A jednak w tych ~~minutach~~ wspomnieniach są ludzie, którzy jasną plamą, serdecznym obrazem odbijają od ogólnego tła. Można ich spotkać w więzieniu, w obozach, na zesłaniu. Miłość i dobroć ^{solidarność} matki, krewnych, a nawet i niekiedy złomków powiązanych tradycją, związkiem krwi jest zrozumiała, zgodna natura człowieka. Szlachetność ludzka, tak rzadka i wyjątkowa, w warunkach, gdzie panuje ucisk, niesprawiedliwość, a głód przytłacza wszystkie godniejsze ludzkie odruchy - wydaje się dziwnym zjawiskiem przyrody, które świeci i promieniuje, grzeje w tym strasznym lesie życia. To nie patos. Brak słów, by przekazać piękno i walory tego przeżycia.

z rodzicami

Wciąż stajęmi przed oczyma Lena, Polka z pochodzenia, przybyła do Rosji w 1914 roku. Po rewolucji 1917 pozostała tam na zawsze. Mądra, inteligentna, zna kilka języków. Pracowała w Inturbacie, w Moskwie. Szczupła, przedwcześnie osiwiła. Siedzi tak, jak ja, z paragrafu 6, za "szpiegostwo". Zna obce języki, rozmawiała z cudzoziemcami, otrzymywała od nich pocztówki z pozdrowieniami. To wystarczyło, by otrzymać etykietkę szpiega. Mieszka w jednym baraku ze mną. Patrzę na jej drobną postać, gdy siedzi przy kaganku i reperuje męską odzież. Patruje mężczyznom - więźniom politycznym, obszywa ich - łata, ceruje i radzi. Oto jej drobna postać zbliża się do stołówki. Staje w kolejce, bierze swoją miskę zielonej wody i wyciąga gliniastą porcję chleba, a już koło niej krąży kilka "dochodzą". Znają Lenę i czekają cierpliwie. Przykucnęła na ławie, nie się drewnianą łyżką (każdy więzień zawsze taką ma przy sobie) do ust. Naprzeciwko niej stoi dwóch, pilnie obserwują ruchy łyżki. Z góry na dół śledzą rozgrzane oczy. Lena zjadła połowę i wstaje. Obaj rzucają się do niej. Jednemu wsuwa miskę. - A ty jutro - mówi do drugiego. W drodze do baraku spotyka ogólnego ulubieńca Miszę, prawie dziecko. Wszystkim żal chłopca, ale tylko Lena potrafi od swego chleba odłamać jeszcze kęs dla niego. Z czego ta kobieta ozerpała taki hart ducha? Szała zawsze tam, gdzie łzy i cierpienie. W końcu tak osłabła, że zostawiono ją w zonie jako dniewalną. Miała wtedy jeszcze więcej z

okazji, by poradzić i pomóc. Staramie suszyła nasze stare walonki i odzież. Opiekowała się chorymi w baraku. Pisała wszelkie podania. Aż administracja obcowa wzięła ją do pracy biurowej. Wtedy także pomagała gdzie i jak tylko mogła. Później przesłano ją do innego obozu. Straciłam ją z oczu, a lenigdy z pamięci i serca.

Spotykałam lekarzy, którzy narażając się na represje uratowali w obozie niejedno ludzkie życie. Znałam wypadki, gdy karnie wysyłano ich do innego obozu lub do pracy w lesie. Co trzy miesiące odbywały się przeglądy wszystkich nadawano wówczas kategorie przydatności do pracy. Lekarz Żukow spotykając wśród więźniów wartościowych ludzi starał się ich ratować, przydzielając im niższą kategorię. Administracja piekliła się - "tylko inwalidów" że zbyt łagodny. itp. Lekarz Makowski co pewien czas wyrywał kogoś z szeregów i kładł do szpitala. Ludzi wycieńczonych, nie zawsze chorych zgodnie z normami obozowymi, więźniów którym groziła śmierć biologiczna z powodu depresji i apatii życiowej.

Lekarka Sorokina pomagała przede wszystkim matkom. ~~Stawała się dla nich jak matka~~ ~~racjonalizowała, pomagając im w ich trudach~~. Władza ją nienawidziła, a ona robiła swoje - ratowała matki i ich dzieci. Udzielała pomocy jednak głównie tym, które wykonywały jej fachowe wskazówki opieki nad dziećmi.

Pracownica kuchni - Kozicka. Sama skóra i kości. Jakaś apatia w spojrzeniu. Przeszła ciężkie śledztwo (dopros). Oczy prawie martwe. A jednak ta kobieta potrafiła wydając jedzenie dla chorych zawsze mnie i innym wsunąć coś lepszego, lepszy tak zwany "pajek". - "Co robisz, przecież wyrzucą cię z takiej dobrej pracy". - "Zapię?, i tak nie jestem już żywym człowiekiem". Gdy wzbraniałam się, że to nieuczciwe i niesprawiedliwe, uśmiechała się. - "A te druty i płoty są ^{nie} sprawiedliwe? Jak ty weźmiesz, wszystko jedno, dam innym. Dla komendanta dosyć zostanie". Mogła w każdej chwili stracić pracę. A jednak jak długo ją widziałam, ryzykowała. Ale nie pomagała wszystkim. Pomagała tym, co ludźmi pozostali, pomagała samotnym kobietom i współtowarzyszom z obozu w Butyrkach.

Nawet w obozach występowała solidarność wśród więźniów tej samej narodowości. Myślę, że to nie szowinizm, że za tym kryły się ludzkie uczucia, wspomnienie kraju. Więc Grek Grekom poradzi, obroni, postara się, jeżeli ma ochotę o lepsze

pracę. Tam, gdzie Chińczyk kucharzem - żaden Chińczyk nie umrze z głodu. Tam, gdzie jakiś "nacmen" pracuje w "chleboriesce" - brygada "nacmenów" otrzymuje staranniejsze porcje chleba. Ale trzeba to robić bardzo ostrożnie. Urki czuwają. Niejeden już karnie poszedł do pracy w lesie. A politycy chętniej pomagają politycznym. Więcej w nich osławieńców. Kryminalni lepiej sobie dawali radę.

W więzieniu. Hass otrzymuje paczkę. Cenna rzecz! Dostaje raz w miesiącu. Otwiera z nabożeństwem - cebula (skuteczna w walce ze skorbutem!), cukier, słonina, papierosy. Cieszymy się - już nie będzie więcej głodować. Osiem par oczu patrzy. Hass bierze nóż i kroi każdą po kawałeczku słoniny, dzieli cebulę i papierosy. Robi to zwyczajnie, prosto, jak zwykłą rzecz. I oto zamiast jednej dużej paczki - osiem małych. Hass nie potrafi postąpić inaczej. To przecież nie Kondratowicz, która ogłosiła głodówkę, w nocy zaś po kryjomu wszystko zjada, sądząc, że nikt nie widzi. Wśród politycznych takie zdarzenie jest bardzo rzadkie. Tradycją było dzielenie się ze współwięźniami.

A dwa j bracia na zesłaniu. "Bracia"-anabaptyści. To już prości rolnicy. Jeden nie chciał wstąpić do kołchozu, drugi z powodu przekonań religijnych - d armii. Zginęłabym bez nich na zesłaniu, zwłaszcza w pierwszych dniach samotności i opuszczenia, z małym dzieckiem na ręku. Od pierwszych słów, chwili, gdy napojenia zesłanki zmarznięta i głodna napiła gorącą herbatą o północy wstała z nieoskoniętej ościarówki, po 400-kilometrowej jeździe w zimową syberyjską noc, od serdecznych słów, które dały mi wiarę w wytrwanie przez całe 6 lat zesłania, w najtrudniejszych chwilach podawali mi bratnią dłoń. Nie prosikał, zawsze inicjatywa wychodziła z ich strony. Ile razy syn mój przechodził koło ich chaty, wołali go i nie wypuszczali, aż dobrze nie nakarmili. Bronili go przed kobuzami, gdy słaby nie mógł dać sobie rady. Dźwigałam na plecach chrust z lasu, żeby ogrzać pomieszczenie. Ciężko i nieporadnie. Idzie mi naprzeciw Borych i z uśmiechem wsuwa mi do ręki szmurek do małych sanek. Znajstrowa łą je po pracy - "Będzie łatwiej woić chrust, a Żenia będzie miał na czym zjeżdżać z góry, jak inne dzieci". To mów przynieśli dla chłopca oddzielne miejsce do spania, deski na małych stojakach. Oni właśnie pomogli mi uratować w nocy kartofle (już zaczynały się przymrozki), gdy bezrad-

nie stałam w ciemnościach w polu przy kopcu kartofli. Któraś z kobiet pożyczyla przydzielonego mi
mojego wołu i już nie oddała. A ja czekałam do pierwszej w nocy, żeby uratować
ten główny dla mnie pokarm na długą zimą. Przy mnie małe ^{zawracali się} dziecko. Sami ^{zawracali się} zacią-
gnęli wóz aż do mojej chaty. Trudno zliczyć dziesiątki ciężkich chwil, kiedy
podali mi swój dół bratnią. Prosto, zwyczajnie, bezinteresownie. Nigdy nie wy-
sunęli do mnie, jako do kobiety jakiejś nieprzystojnej propozycji. Zbierałam
skrzętnie w pamięci okrucieństwa dobroci i szlachetności tych trudnych lat. Niestety
czas młocera szeregóły.

Jak często pod pozorem dobroci kryła się interesowność. Świna gospodyni na
zesłaniu proponuje mi, żebym do jej piwnicy złożyła mojej kartofle. Kłosego nie
podejrzewając składam je tam. Tymi ziemniakami karmi ona swą krowę, a ja,
na wiosnę, w okresie najtrudniejszego przednówka musiała kupić je po bardzo
wysokich cenach. Podobnie zachował stary Żyd z Kijowa, inteligent, też zesa-
nec polityczny. Ciężkie miłam życie, dręczona we wspólnej chacie przez gospo-
dynię, która ~~dużo~~ marzyła, żeby mnie wygryźć, pragnąc mieć chatę tylko dla sie-
bie (dyrektor sowchoza przydzielał zesłańców do poszczególnych chat, nie zawa-
lił się z żywością głównych lokatorów). Dużo tam też w tej chacie ja i moje
dziecko wylało. I oto ten starszy człowiek, "dieduska" zaproponował, żebym
się sprowadziła z dzieckiem do jego mieszkania. On mieszkał wtedy w dyżurce ko-
ło tartaku, gdzie pracowałam przy noszeniu wody do lokomobila. - "Mnie ciężko
staremu samemu gospodarzyć, gotować, prać. Ty nie masz mieszkania. Razem bę-
dzie nam łatwiej żyć. Do pracy będzie ci blisko". Mieszkał za wsią, pracował
jako stróż. Było dużo miejsca koło domku na założenie ogródka warzywnego. Blisko
rzeczka, drzewo na opał na miejscu. - "Będziecie wspólnie gotowali". Po dłu-
gich rozmowach uległam jego namowom. Już pierwszej nocy przyszedł do mojego
łóżka. Otrzymywał z domu pieniądze i paczki. Swoje produkty trzymał oddzielnie
w skrzyneczce i nie kładł do wspólnego kotła. Kupował codziennie pół litra mle-
ka i sam wypijał. Mnie stać było tylko na herbatę. Trochę mleka, które kupowa-
łam było dla chłopca. Mój syn instynktownie go nie lubił. Potrzebna mu była ko-
bieta. Mnie on napawał wstrętem. Wymyśliłam, że jestem w ciąży. Przerażony za-
hamował swoje zapędy. A ja szukałam nowego mieszkania. Na szczęście przedtem

wo został zwolniony z zesłania. Wyjechał, zostawiając mi w dziedzictwie, prócz wcześniej już podjętego noszenia wody do lokomobilu-parowozu, pracę nocnego stróża w tarataku, ogródek i kilka garrków. We wsi uważano go za mego dobroczyńcę. Dzień jego wyjazdu był dla mnie wyzwoleniem.

Najbardziej bolał wrogi stosunek niektórych Rosjan, patriotów, gorąco przekonanych o mojej winie. Inteligenci, urzędnicy, nauczycielstwo na przykład rozumowało - "Jak to? Zna dobrze rosyjski, francuski, ma ukończone wyższe studia uniwersyteckie. U nas brak nauczycieli! A ona wozi drzewo, nosi ciężary. Nie pozwalają jej pracować w zawodzie. Musi być wrogiem socjalizmu". Tak myślał i dyrektor sowchozu i cała administracja. I dlatego właśnie przekonałam się nie-raz, że okruszków życzliwości i sąsiedzkiej pomocy można spodziewać się prędzej od prostego człowieka. Przecież ta "góra" powinna zrozumieć, że są możliwe omyłki, bo i wśród nich często zdarzali się ludzie zdegradowani i służbowo przemieszczeni na dalekie peryferie. Z Moskwy do Komi, na Syberię lub jeszcze gdzieś dalej! Ten sam stosunek do mnie zauważyłam w okresie słynnej sprawy lekarzy moskiewskich. Właśnie ta wykształcona inteligencja przypominała sobie, że w moich papierach podana jest narodowość^G żydowska. Wydawało mi się, że w Związku Radzieckim nie ma antysemityzmu! Ale w tym okresie usłyszałam dużo przytyków: kpilin pod adresem Żydów. Cała sprawa była rozdmuchana i jadowite odgłosy dochodziły do naszego sowchozu i częściowo dotknęły i naszą małą rodzinę. Nie znałam języka żydowskiego, nie świętowałam innych świąt jak radzieckie, a jednak etykieta, którą zawsze opatrywali moje papiery - wystarczała.

WYJAZD Z OBOZU

obozu

Rok 1950. Ostatni rok, miesiące i tygodnie odbywania kary 10 lat. Zrobiłam sobie coś w rodzaju kalendarzyka. Wypisałam wszystkie, pozostałe mi do końca dni - proste pałeczki, i codziennie rano radośnie akreślałam jedną z nich. Co raz ich mniej i coraz bliżej "swoboda" i szczęście życia bez spaków konwojentów z bronią. Naiwnie wyobrażałam sobie swobodę! Nie wiedziałam, że zawsze będę pożądanym wrogiem politycznym, że pozostałam nim na zawsze w oczach władz i rodzinnych mieszkańców. (w tekście-trudności- przyp. mój) I utrapienia mojego pochodzenia żydowskiego ciągnąć się będą za mną przez te wszystkie lata. Wszędzie na zesłaniu podkreślano - jęwiejka - w każdym oficjalnym papierku. "Swoboda" - tylko w określonym miejscu zamieszkania. Nie wolno było go opuszczać, nawet kilka kilometrów dalej.

Marzyłam o pracy z dziećmi. Pragnęłam wybrać sobie odpowiednią pracę według swoich możliwości i umiejętności. W ten sposób wejść między wielomilionową rzeszę mieszkańców ZSRR. Okazało się jednak, że zesłańcy nie mają prawa wychowywać i uczyć dzieci.

W więzieniu nie pojmowałam postępowania kobiety, która złożyła podanie z prośbą o odbycie wyroku w więzieniu, a nie w obozie, tak samo teraz dziwiłam się tym, co szydziły ze mnie, gdy mówiłam o swobodzie. Z przekazem kobiety mówiły o zesłaniu, o rzekomej wolności. - "Tutaj zawsze dostaniesz 300 gram chleba i miskę zielonej zupy (bażandy), a tam trzeba zarobić i to jeszcze z dziećmi! Nieraz zapłaczesz za tę wolność! Gdyby jeszcze mężczyzna - teraz po wojnie brak mężczyzn, do kobiet jest niechętny stosunek. Po wsiach i miasteczkach pełno kobiet-wdów i dzieci sierot". - "Swoboda. Każdego miesiąca przyjeżdża z milicji czy z innego urzędu kontrola sprawdzić czy jesteś. Podpisać się trzeba. A spróbuj pojechać gdzieś dalej, skapiesz, podadzą do sądu i znów znajdzieś się w obozie, a twój mąż w domu dziecka. Wiecznie jesteście pod opieką. Albo w obozie przysepią ci nowy wyrok albo na zesłaniu. Już nigdy nie będziecie wolnymi ludźmi, aż do śmierci".

Przypominałam sobie, jak blisko dwukrotnie o mnie otarło się widmo nowego wyroku. Pierwszy raz za rzekomą ucieczkę (pobieg), gdy zabłądziłam w lesie, z drugim

drugim razem, gdy mi skradziono strzykawkę z igłami z ambulatorium obozowego.

Mimo wszystko cieszę się z końca wyroku ze względu na dziecko. - Będzie już zawsze razem ze mną. Bezpieczniej. Nikt mi go nie zabierze. Nadrobimy jego opóźnienie w rozwoju fizycznym i psychicznym.

19 listopada 1950 roku nastąpił długo oczekiwany dzień. Ukończony wyrok 10 lat pozbawienia wolności. Aresztowana zostałam 7 stycznia 1941 roku. Ogółem 9 lat 9 miesięcy 12 dni. Ktoś kiedyś wymyślił "stachanowskie dni" dla więźniów. Za dobrą pracę odlicza się dni od wyroku, więc i mnie odliczono za ciężką pracę w lesie 80 dni kary. Za pracę w zonie nie odliczano, chociaż chwaliła mnie lekarka i wolne pielęgniarki.

Nadszedł mój dzień opuszczenia obozu. Razem ze mną wychodziła grupa mężczyzn i tylko ja jedna - kobieta. Mój cały majątek to syn i worek z jego bielizną i trochę produktów na drogę. Białe sachary, trochę cukru i kasza manna.

W listopadzie w Komi już dawno zima. Śnieg i mróz. Koło bramy wejściowej zebrała się duża grupa żegnających. Z boku już czeka konwojent z bronią. ~~Żegnają się z nią i mówią jej na głos~~ Za bramą jeszcze dwóch. Pociesza lekarka na pełne oczy kęs. Przytuliła się do mnie. Jej samotność teraz pewnie będzie jeszcze większa. Wydostała gdzieś, jakimś cudem od wolnych duże, rumiane jabłko i daje żeni. A ten rozpamiętniony. Takiego nie widział jeszcze w swoim całym życiu. Ma trzeci rok życia, ale życia w zamknięciu. Małutki i słaby, chorowity. Bierę go na ręce. Nie waży dużo, ale opatulłam go, jak mogłam, w kołderkę. Ciężko. Mój worek konwojent daje do noszenia jednemu z więźniów. Ciężko mi dźwigać, ale na sercu radośnie - "Koniec niewoli, jestem wolna". Nastrój trochę psują konwojenci z bronią. Jak gdyby dalszy ciąg obozu. Więźniowie pocieszają - "To chyba blisko obozu, później ich nie będzie". Jeszcze odtatnie uściski ręki, jeszcze spojrzenie na płoty, wyłki (wieże strażnicze - przyp. mój) i żłobek, skąd wyglądają twarze nianiek, i ruszamy.

Radość w pierwszej chwili jest dominującym uczuciem. Stopniowo mój radosny nastrój pierzcha. Więźniowie są bardzo źle ubrani, w podartych waciakach. Tylko ja szykowałam się trochę do drogi. Teraz bez bagażu idę bardzo szybko, żeby rozgrzać się marszem i jak najprędzej znaleźć się w wagonach. Powoli zaczynam odstawiać od nich.

odstawiać od nich. Cięży mi dziecko. Na nogach mam ciepłe burki, ale ślisko, boję się upaść z moim cennym ciężarem. Na dworze mróz, a mnie gorąco i pot spływa po twarzą. Za mną idzie jeden z konwojentów, młody rekrut. Pogania mnie, ale to mało pomaga. Przestrzedź między mną a grupą coraz bardziej się wydłuża. Podchodzi do nas naczelnik konwoju i mówi do mojego konwojenta - "Idź pójdziesz szybciej i wejdź do pociągu, a ty z nią i z dzieckiem idź wolniej. Przeprowadź ją do pociągu. Odpowiadasz za nią głową". I poszli. Wkrótce zniknęli nam z oczu. A ja zostałam z moim ciężarem na ręku. Niepokoiłam się o worek z jedzeniem dla Żeni. Niosą go więźniowie, sami też głodni. A jeżeli zostanę bez jedzenia dla Żeni? Za mną konwojent z bronią. Idziemy. Wojaś idziemy. Pytam go, dlaczego tak długo idziemy, czy dobrze znam drogę? - "Wielka rozgawarłat". Wątpię taki, odpowiedzialnością, chyba pierwszy raz w życiu. Żenia opuścił głowę śpi. Boję się, żeby we śnie nie zamarał, potrząsam nim, budzę go. Otwiera oczy by po chwili zasnął na nowo. A my wojaś wleczeni się. Jestem u kresu sił. Gdzieś daleko - czy to nie halucynacja? - słyszę gwizd lokomotywy. Staję. - "Dalej nie pójde. Już i tak napewno spóźniliśmy się. To pewnie pociąg odjechał". Konwojent niewzruszony, dotyka mnie kolbą & "Idź. Ja tutaj rozkazuje". Patrzę na śpiące dziecko. Konwojent ma prawo użyć broni, zastrzelić, jeżeli go nie posłucham. Młody jest, niedoświadczony. Wlokę się dalej - kosciała przyklejona do cięła. Czuję strumki potu. Świta. Nagle słyszę szum goniącego nas samochodu. - "Stój, durak - krzyczy ~~niebezpiecznik~~ ^{z szofarki} ~~niebezpiecznik~~ ^{z szofarki} z samochodu naczelnik konwoju. Gdzieś ty z nią poszedł? Już bardzo dawno minął dworzec. Trzeba było skręcić pod lasem. Inni już dawno pojechali. Dobrze, że wiesz, widać jeden przemyślny, w ostatniej chwili zrzucił worek". Miałam rację, konwojent nie znał dobrej drogi. Niepotrzebnie męczyłam się tyle kilometrów. Naczelnik konwoju kazał z powrotem odprowadzić mnie na punkt przesłankowy, gdzie mam czekać, aż się zbierze nowa grupa, wychodząca w nowy etap na zesłanie. Worek naczelnik konwoju obiecał przysłać furmanką. Widać było, że wkurzył go mój wyczerpany wygląd, z dzieckiem na ręku. Nie chciał być gorszy od tego więźnia, który w ostatniej chwili, sam głodny, zrzucił worek z żywnością z wagonu.

I znów wędruje droga bez końca. Teraz żołnierszawstydzony już nie krzyczy

nie pogania, gdy staje na chwilę, by trochę odetchnąć. Stwierdzam się. Staje i chociaż jest mroź, zdejmuję palto - tak będzie lepiej. Nawet konwojent proponuje mi, że na chwilę potrzyma uśpione dziecko. Zauważyłam w ZSRR wyjątkowy stosunek do dziecka, dobroć, nawet w więzieniach i na etapach. Często kobiecie z dzieckiem, -paradoksalnie - lepiej. Na etapach ma więcej swobody, dziecko lepiej karmi. Dla dziecka znajdźcie się kawałek białego pieczywa i cukru. Biedni więźniowie uśmiechną się, coś z trudem zdobytego wsuną do rączki. Widziałam więźniów, a przede wszystkim więźniarki, płaczące na widok mojego synka. Patrzą na niego, a myślą znajdowali się pewnie przy swoich dzieciach, tam na płocie niewoli, gdzieś daleko w kraju i w świecie. Pamiętam ten straszny dzień, gdy jakaś młoda kobieta poprosiła mnie o potrzymanie na chwilę dziecka. Stałam ~~blisko~~ obok z moim synkiem na ręku. Zamyśliłam się na chwilę o tym dokąd nas powiodą. Nagle widzę, nie ma kobiety, ani Żeni. Wołam, szukam, bez rezultatu. Jedna z kobiet się odzywa - "Coś ty zrobiła. Przecież to pomyłona, jeszcze zabije dziecko". Zrozpaczona szukam, proszę o pomoc. Mówią mi, że pobiegła za ustęp, schowała się. Mam ją. Właśnie na mały daszek ustępu, trzyma dziecko i krzyczy - "Nie oddam go, on taki malutki, jak mój". Proszę błagam, nie schodzi. Żenia słyszy mój głos, zaczyna głośno płakać. Kobieta na nic nie reaguje. Biegnę do donku warty. Proszę o pomoc. Nie wierzą.- "To chyba kawał". Wreszcie jeden ze strzelców, widząc moją rozpacz, podnosi się i wychodzi razem ze mną. Kobieta nadal kurozowo trzyma chłopca. Patrzy na mnie jak na wroga, patrzy czujnie. Żołnierz przystawia za donkiem, za plecami kobiety drabinę, ona nie widzi. Po pewnym czasie zostaje obezwładniona przez silne ręce konwojenta, który zabiera jej zanoszącego się od płaczu chłopca. W jestem sekundzie jestem na drabinie i biorę z rąk strzelca mego syna. Prędko pędzę z nim na miejsce ogólnej zbiórki. Długo jeszcze przeraźliwy krzyk kobiety - "Oddajcie mi dziecko, moje dziecko" - brzmi mi w uszach. Postanawiam już nigdy nie wypuszczać go ze swych rąk. Trzeba być dla niego czujną ochroną-osłoną - wyrosnąć. Przez syna straciłam wszystkie sąby, ale on mi uratował życie. Nieraz zmuszałam się, zbierałam całą siłę woli i zylałam, by on żył.

Po kilku dniach zebrał się komplet więźniów i wyznaczono nas na etap. Nau-

ozony doświadczeniem, naczelnik konwoju zdobył gdzieś dla mnie z dzieckiem sanie. Podczas gdy inni szli, ja z dzieckiem jechałem saniami na stację kolejową. Przy mnie leżał ocalony worek z produktami. Mówię - więźniowie, bo chociaż formalnie już wolni, jechaliśmy pod strażą na zesłanie. Ciężki to był okres. Z nami wieszono nas na Syberię. Etapami, od wieszania do wieszania w większych miastach. Nigdy nie zapomnę kosmaru tych niesliczonych pociągów, bram więziennych, rewizji, pytań. Straciłem poczucie, że już jestem po odbyciu wyroku. Wciąż widzę te niesliczone tłumy więźniów. Wydawało się jak gdyby świat cały - to grupy maszerujących z workami lub bez worków. Ludzi pochylonych, o ziemistych twarzach, z beznadziejnym spojrzeniem głodnych i szlabniętych zwierząt. Jedni wychodzili z więzienia do obozu, inni przechodzili etapem do następnego więzienia.

Jechaliśmy w więziennych, stołypinowskich wagonach. Miby wolni, w wagonach z kratami! Do przedziału nagrychano ludzi i zamknięto na klucz. Po korytarzu bez przerwy krążył żołnierz z bronią. Jak dalekie to wszystko było od pojęcia swobody, wyzwolenia. Co kilka godzin otwierano kraty i wypuszczano nas do ubikacji. Ludziom chorym, ze słabym pecharem trudno było czekać. Ich krzyki i prośby nie odnosiły skutku. Żołnierz nie puszczał. Syn mój, niezwykle zjawisko w tych warunkach, swoją miłą buzią przyciągnął uwagę i serce żołnierza. Pozwolił mi biegać po korytarzu, a ja zostałem w zamknięciu. Co chwilę przybiegał do mnie z jakimś skarbem w ręce. To w więźniowie w sąsiednich przedziałach przez kraty podawali mi co mogli - okruch okrusu, czarny od brudu, wysperany w starych spodniach, kolorowy papuszek, kawałeczek suchara. Bałem się o obłopca i wyprosiłem konwojenta, żeby mnie wypuścił na korytarz. Mógł sprzątać korytarz i ubikacje. Zgodził się ze względu na dziecko. Chodziłem z miotłą i szufką, sprzątałem i widziałem tego Żenię, jak szwabiosce koło krat przedziału, a ta głowy z górnych i dolnych półek uśmiechają się do niego i wyciągają ręce. Straszne były te twarze - obrosnięte, dawno nie golone, niektóre chorobliwie obrzękłe. Wśród politycznych znajdowali się także urki, ci na widok kobiety rozpoczynali sprośne żarty, jak zwykle w obozie.

Jakaś stacja. Schodzimy. Konwojenci po bokach. Idziemy przez miasto. Prze-

chodnie zatrzymują się, patrzą. Czasami ktoś z kobiet podniesie chusteczkę. Ktoś chce podejść do mnie z dzieckiem. Konwojenci zagrażają drogę bagnietami. Króć dyscyplinowany. Steć, milowy, patrzą z daleka. Kotłas, Gorkij, Nowosibirsk. Trudno zapamiętać wszystkie etapowe więzienia. Jako matka z dzieckiem byłem więzieniem uprzywilejowana. Nie było mi byle chodzić po podwórku więziennym, bo dziecku potrzeba spacer, powietrze. Zawsze spałem na dolnej macie, bo jak spać na górze. Jeszcze daleko może upaść. W niektórych więzieniach były specjalne pomieszczenia dla matek z dziećmi. Pożywienie dla dziecka też wydawano lepsze, z kotła dla chorych, z większą racją mleka.

Podczas tych spacerów przyglądałem się tłumom bez końca przychodzących i wychodzących więźniów, trasom poszczególnych etapów. Oglądano ten towar ludzki: łączono w różne grupy i wysyłano w różne strony do pracy. Sądzę, że ten wieczny ruch był wywołany przede wszystkim "utrakowaniem" ludzkiego towaru, przez dochodzący, których posypywały się różne obawy. Kilkutgodniową wędrówkę na zamknięcie pamiętam jak przez mgłę. Zostały w pamięci szczególnie ciężkie chwile. Na jednym z etapów spotkałem się z dzieckiem do pociągu. Nie mam siły, niosę opatulonego ojca i wózek, który teraz już boję się oddawać innym do noszenia. Czasami ktoś głodny nie wytrzymuje i biega do worka po suchar. Konwojent w jednej chwili, obawiając się przyspieszyć mój krok, daje karabin koledze, bierze dziecko z moich rąk i prowadzi na peron, gdzie już pociąg pełen więźniów, szuka się do odjazdu. Konwojent wrzuca dziecko do wagonu, wrzuca mój wózek... i w tej chwili pociąg rusza, a ja zostaje na stacji. Żołnierz pociesza mnie - "To nie, nie płacz, kupa się chłopcom. Pojedziesz następnym pociągiem". Dobrze, że chociaż nie powiedział, etapem. Po tak na pewno by było. Śmieję się z rozpaczą. Rzuca się do oselnika stacji. Całuje go po rękach, obejmuję za nogi, gorzko płacząc, a on w końcu bardzo wzruszony, daje sygnał i pociąg maulnia biegnie. Jeszcze jest w ruchu, a już wypychają mnie do środka, do ostatniego wagonu. Pociąg znów idzie. Po chwili znajduję w nim chłopca, płacącego na samą zgnębioną matkę.

Ostatni etap, więzienie w Nowosibirsku. Cały czas nie wiedziałam dokąd jadę. Część grupy z mojego obowodu już dawno została rozszlana do różnych miejscowości. Teraz jadę z ludźmi z innych obwodów. Mało kobiet. Więźniowie komentowali trasę

pociągu, snuli różne przypuszczenia. Ani administracja obozu, ani konwojenci nie chcieli nam powiedzieć, dokąd jedziemy na zesłanie. Dopiero w Nowosybirsku powiedziano nam, że pozostaniemy w tej okolicy.

Mrós był straszny. Trudno było oddychać. Bałam się z dzieckiem wychodzić na dwór. Cały ten okres zajęła mi kłótnia, badanie przez komisję lekarską, wypełnianie ankiet. Jako zawód podałam - pielęgniarstwo. Poznałam tę pracę od strony praktycznej w obozie. Teoretycznie na kursach Czerwonego Krzyża w Belgii. Teraz czekam na rezultat. Gdzie będzie potrzebna pielęgniarka? Gdzie jest żłobek lub przedszkole dla chłopca w tym okresie, gdy będę w pracy? Po tygodniu oczekiwałam pewnego wieczoru wywołają mnie. Przyjechał dyrektor jednego z szpitali. Potrzebni mi ludzie do pracy. Chcę nabrać samochód ludzi i zawieźć na swoje fermy. Podobno i pielęgniarkę. Cieszę się. Nareszcie skończą się etapy, więzienia. Będę wolnym człowiekiem. Nie chcę, by Żenia tak długo przebywała w więziennych murach.

Dyrektor swochomu - zadowolony, dobrze odżywiony, w futrze, w walonkach, w ciepłej uszance. Obiecuje mi, że będę pracować jako pielęgniarka. Jest także żłobek. Przed wyjazdem dyrektor otrzymuje nasze papiery. Nabiera maszynę pełną ludzi, zdaje się 25 osób. Ostrzega ku mojemu zdumieniu, że jest teraz za nas odpowiedzialny, żebyśmy nie próbowali uciekać, chociaż nas sporo, pojedziemy już bez straty. Wokoło są duże bory i zimą grasują wilki. Po tym zachęcającym dyktum wychodzimy z ciepłego pomieszczenia na dwór. Przed domem stoi ciężarówka bez plandeki. Biało, śnieg akrypi pod nogami. Pięknie, księżyc jasno świeci. Silny mrós. Widzę, jak Żenia chowa na mej pierśi twarzyczkę przed mrosem. Co robić? Już mężczyźni zaczynają się wspinać na ciężarówkę. Zdeteminowana podchodzę do szofera: - "Weźcie mnie do kabinki z dzieckiem, inaczej zamrzam". Szofer - "Chętnie, ale ze mną jedzie dyrektor swochomu. Zwróćcie się do obywatela dyrektora". Wtedy idę do dyrektora i proszę, żeby wziął do kabiny chociaż dziecko, jest mało, nie zajmie dużo miejsca. Był gdzieś, bo wątki, dużo choro- wał. A obywatel dyrektor: "Za ciasno. On będzie przeszkadzał. Niech się hartuje". I wsiada w swoim futrze, walonkach i uszance do ciepłej kabiny. Szofer strapiiony zatrząskuje drzwiczki. Moi przygodni towarzysze podróży już są na ci

zarówce i krzycom. - "Przedzej- bo zamarzniemy". Podają im dziecko i z trudem granolę się na górę. Ruszamy. Zostawiamy wiezienie nowosybirskie. Jedziemy do jednego z olbrzymich rejonów Nowosybirskiej oblasti, do Wiengierowskiego rajonu. Żenia piszczy z zimna. Ostry, syberyjski mróz daje się wszystkim we znaki. Wiele do tego i wiatr, który przenika przez wszystkie szpary, hula po naszych wychudzonych ciałach, swosypie każdą otwartą część ciała. Przed wyjazdem z obozu zabrano nam waciki. Ja ubrałam moje własne jasiernie palto. Wokoło nas olbrzymie lasy, zaśnięte. Cudny widok, iskrząca się biel, jasno jak w dzień. Samochód pedzi. Czasami na drodze pojawi się ciemniejsza plama. Wilk chyba? Nagle w pewnym momencie ukazuje się duże zwierzę, jak gdyby łos. Stał, majestatycznie rozłożył swe rogi i oświecony patrzył spokojnie na samochód.

Żenia popłakiwał cichutko. Był cały siny z zimna. chociaż starałam się ochronić go przed zimnym wiatrem. I wtedy towarzysze, którzy jechali ze mną, zaproponowali mi, że usiądę w małym ciasnym kółku, a ja z dzieckiem pośrodku. W ten sposób osłonią je przed wiatrem i zmniejszą napór zimna na biedne, małe ciało. I tak zrobili. Ile razy przypominam sobie tę chwilę, że wzruszenia dławia mnie w gardle. Sami Obdarci i zaśnięci, nie stracili ludzkich uczuć. Sami zamarznięci, skuleni, skupili się ciasno, stworzyli jak gdyby ciepły mur, żeby uchronić tę małą istotę. Jeden z nich, wysoki, pochylił się nad Żenią. Było mu ciężko, ale tworzył jak gdyby daszek ochronny. W tym samym czasie tego pan siedział w ciepłej kabinie, w futrze i walonkach. Dziecko, ukolysa na bieżym maszynę w zaciszu ludzkich serc i ciał, spało. Ale współtowarzysze, bo byli mi współtowarzyszami, ci wrażliwi na ból cudzy ludzkie, radzili, abym nie dała dziecku spać. Zaśnie na mrozie - na zawsze. Więc trzęsłam nim, uderzałam lekko po twarzy, nie dawałam mu spać, chociaż płakał tak cicho.

Po pewnym czasie samochód zatrzymał się. (Odległość od Nowosybirska do miejsca zesłania wynosiła ponad 400 km). Jesteśmy na jednej z osterch fern sowchozu nr 161. Dyrektor kazał zejść pięciu motocyklistom. Tutaj potrzebni ludzie z posiadanych przez nich kwalifikacjach. Zesali, a my pojechaliśmy dalej. Ile to już ludzi w ten sposób poznałam, przeszli przez moje życie, znikali później na zawsze. Po pewnym czasie znów schodzi kilka osób. To już druga ferma. Robi się na

coraz mniej, ale teraz jedziemy przez las. Zaciśnij, kilka kilometrów. Znowu
schodzi grupa. Uścisną dłoni i znikają w ciemnościach nocy. Ostatni etap podróży:
Ciążarówka
Oto i ferma, na której spędziłam przeszło 5 lat. Samochód zatrzymuje się przed
niewielkim drewnianym budynkiem.